



LAURIE GRANT

Jak Maggie

pokochata dziwaka

PROLOG

- Było mi z tobą bardzo miło, moja Maggie - powiedział kapitan Richard Burke, wstając ze smutnym uśmiechem z sofy przed kominkiem. - Obawiam się, że małżeństwo jest wykluczone. Bo widzisz... na Wschodzie mam żonę.

Znaczenie tych słów docierało powoli do Margaret Harper, lecz mimo to nie mogła przestać myśleć o tym, jak elegancko Richard wygląda w mundurze, z lśnącymi dystynkcjami na granatowych pagonach. Kapitan Burke był pociągającym mężczyzną. Nawet teraz, gdy zaczynała rozumieć, jak straszne jest to, co przed chwilą jej powiedział, wciąż widziała w nim żołnierza z obrazka.

- Je... jesteś żonaty? - Wargi, na których jeszcze czuła smak pocałunków, nagle jej zdrętwiały, ledwie mogła je zmusić do wypowiedzenia tych słów. - Przecież mnie... Przecież mieliśmy się pobrać... Zostaliśmy kochankami! Jak mogłeś wprowadzić mnie w błąd... Jak mogłeś powiedzieć, że mnie kochasz, skoro należysz do innej kobiety?

Richard westchnął, znowu się do niej uśmiechnął i chciał ująć ją pod brodę. Uwielbiała ten gest, tym razem jednak się wzdrygnęła. On ją zdradził! Jak mógł sobie wyobrazić, że po tym, co zaszło, będzie mógł nadal jej dotykać?

- Och, Maggie, kto by cię nie kochał? Kto mógłby ci się oprzeć? Przecież jesteś niezwykłą kobietą. Nigdy nie spotkałem nikogo podobnego. Wcale nie kłamałem, mówiąc, że cię kocham. Naprawdę w pewnym sensie tak jest, kocham cię w taki sposób, w jaki nigdy nie kochałem Beatrice, mojej żony. Ona nie rozumiała mnie tak jak ty. Jesteś szczerą, uczciwą...

- Czym ty z pewnością nie możesz się pochwalić, prawda? - Odepchnęła gwałtownie jego wyciągniętą rękę i zerwała się na równe nogi. - Nie waż się mnie dotykać, ty... ty kundlu! Wynoś się!

- Spokojnie, Maggie. Boston leży setki kilometrów stąd, a to, co razem

przeżyliśmy, jest dla mnie czymś wyjątkowym. Dla ciebie, jak sądzę, też. Chyba moglibyśmy dalej żyć tak jak do tej pory. Przecież będzie ci brakować moich pieśzcot, prawda? A wiem, że i ja tęskniłbym za tym, żeby cię dotykać, całować...

- Ty draniu - syknęła. - Poczulałabym się zbrukana, gdyby jeszcze kiedyś padł na mnie twój cień. Powiedziałam ci, że masz sobie iść, i koniec. Wynoś się albo zawołam ojca.

- Nie robiłbym tego na twoim miejscu, Margaret - odparł Burke. - Czy naprawdę chciałabyś, żeby ojciec się dowiedział, dlaczego wpadłaś w taką złość? Chcesz, żeby twój drogi papa usłyszał, że jego niewinna córeczka przestała być niewinna? Nawiasem mówiąc, po tym, jak się do mnie uśmiechałaś, nie spodziewałem się, że jesteś... nietknięta.

- Niech cię diabli wezmą! - wybuchnęła. Dłonie same zaciskały jej się w pięści, czuła, że niewiele brakuje, by rzuciła się na Burke'a i rozorała mu twarz paznokciami. - Niech cię diabli!

- No, no. Zawsze podziwiałem twój ognisty temperament, kochanie, to często idzie w parze z rudymi włosami, ale dama nie przeklina. Jednak prawdę mówiąc, dama również nie brudzi sobie rąk farbą drukarską. Czy możesz się dziwić, że uznałem cię za doświadczoną kobietę?

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej dłoń ujęła delikatną figurkę stojącą na stoliku przy łóżku, póki figurka nie roztrzaskała się o ścianę kilka centymetrów od głowy Burke'a.

Richard drgnął, zasypany odłamkami porcelany, spojrział na Maggie z gorzkim wyrzutem i szybko znikł za drzwiami.

Maggie usłyszała z piętra głos ojca:

- Czy coś się stało, Margaret? Chyba słyszałem hałas.

- Wszystko w porządku, papo! - odkrzyknęła z nadzieją, że nie słyhać drżenia w jej głosie. - Wychodził pan Burke i przypadkiem strąciłam na podłogę tę figurynkę tancerki.

- Nic więcej? Szkoda figurki, ale mniejsza o nią, bałem się, że to ty zrobiłaś sobie krzywdę. Pożegnaj pana Burke'a w moim imieniu... Może zaprosisz go na obiad w niedzielę?

Niech go wszyscy diabli zaproszą do piekła, pomyślała. Zaraz potem uświadomiła sobie, że musi posprzątać resztki tancerki, zanim ojciec zainteresuje się, dlaczego leżą rozsypane na dywanie w pobliżu drzwi zamiast pod stolikiem. Przyklękła i podwinąwszy spódnicę, zaczęła zbierać potłuczone kawałki do zaimprovizowanego kosza.

Łzy przesłoniły jej widok. Jak mogła być taka głupia? Dlaczego zaufała Richardowi, kiedy zapewniał, że ją kocha, chociaż głos rozsądku szeptał nieśmiało, że stało się to zbyt szybko, że słowa wyrażające uwielbienie i miłość przysły kapitanowi unionistów zbyt łatwo? Oto kara za zlekceważenie ostrzeżenia, wszystko jedno, czy przypisać je sumieniu, czy aniołowi stróżowi, pomyślała ze złością. Przysięgał, że wezmą ślub tak szybko, jak tylko zdoła załatwić formalności, ubłagał ją jednak, żeby wcześniej mu się oddała. Tamtego wieczora, mniej więcej przed miesiącem, twierdził, że umrze, jeśli nie będzie jej miał. Ojciec akurat został dłużej w redakcji, powinna była więc okazać więcej rozwagi i nie wpuszczać Richarda do domu, ale tak długo prosił ją i namawiał, aż w końcu mu uległa.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi wejściowe, zaczął ją uwodzić. Tej nocy czułymi pocałunkami osuszył jej łzy po stracie dziewictwa, powiedział, że jest wspaniała, że ją kocha, i jeszcze raz przysięgł, że wkrótce się pobiorą.

Przez pewien czas żyła w cudownym oszołomieniu. Raz po raz wymykała się na spotkania z Richardem i zaniedbywała dziennikarskie obowiązki w gazecie ojca, która służyła zarówno oddziałom okupującym Teksas, jak i gromadom spekulantów żądnych zysku, którzy ściągnęli na podbite terytorium.

Richard był jej przewodnikiem po świecie zmysłowych doznań, które naturalnie zawsze nazywał miłością. Potem jednak nie wspominał już o małżeństwie, a kiedy Maggie próbowała podjąć ten temat, zrećźnie odwracał jej uwagę.

Tego wieczoru postanowiła wreszcie ustalić datę ślubu, więc po kilku pocałunkach powiedziała z uśmiechem, lecz stanowczo, że muszą zaplanować uroczystość.

Wtedy wyjawiał jej, że ma żonę w Bostonie. Maggie zrozumiała, że nigdy nie zamierzał się z nią ożenić. Była dla niego po prostu miłym urozmaicheniem czasu spędzanego na służbie w oddziałach okupacyjnych stacjonujących w Austin.

Jej życie nagle legło w gruzach. Nie mogła wykluczyć i tego, że nosi pod sercem dziecko Richarda. Nawet jednak gdyby udało jej się uniknąć tej katastrofy, nie miała żadnego sposobu, by powstrzymać kapitana od chępienia się swym podbojem przed całym pułkiem.

Głupia jesteś! - pomyślała jeszcze raz i łzy popłynęły jej po policzkach. Niewiele widząc, sięgnęła po kawałek ramienia rozbitej tancerki i syknęła z bólu, gdy ostry okruch rozciął jej skórę.

To była ostatnia kropla, która przelała czarę goryczy. Maggie bezwładnie oparła się plecami o ścianę i wciąż trzymając w ręku szczątki porcelanowej figurki, zaczęła rozdzierająco szlochać.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bryan, Teksas, styczeń 1869 rok

Dyliżans był spóźniony. Zawsze się spóźniał, więc to, że nie pojawił się w południe, zgodnie z rozkładem, bynajmniej nie wzbudziło obaw Garricka Devlina, który nie mógł usiedzieć na ławce przed hotelem Bryan, gdzie zwykle wysiadali pasażerowie, a obsługa wyładowywała ich bagaże. Nie, Garrick denerwował się, ponieważ wiedział, kto jedzie tym dyliżansem, i wyłącznie dlatego raz po raz spoglądał na zegarek, przeczesywał włosy dłonią, a potem sięgał do kieszeni po grzebień, żeby naprawić szkody, uczynione przez palce.

Przypomniawszy sobie, że to od niej dostał ten rzeźbiony grzebień z kości słoniowej w pierwsze Boże Narodzenie, które spędzili jako mąż i żona. Dookoła szalała wojna, więc odłożenie pieniędzy na podarki i świętowanie było trudne. Devlin dostał w pułku urlop i przyjechał do domu. Był tak zadowolony z tego, że znajdzie się daleko od huku wybuchających pocisków i nieustannego igrania ze śmiercią, że widział w tym zakątku Teksasu prawdziwy raj. Rzecz jasna, działo się to dwa lata przed tym, jak pocisk rozszarpał mu prawą nogę poniżej kolana. Kiedy bowiem ocknął się w polowym szpitalu i stwierdził, że lekarz amputował mu żalosne resztki łydki, zrozumiał, że raj jest miejscem z bajki. Nie istnieje. A teraz wracała, w każdym razie tak zapowiedziała listownie. Cecylia, jego żona, która kiedyś z miłości do niego zaoszczędziła ostatnie centy, by kupić mu w gwiazdkowym prezencie grzebień. Ta sama kobieta, która strwożona uciekła od niego rankiem, nazajutrz po jego powrocie z wojny, gdy przykuśtykał do domu o kulach, z prawą nogawką zakasaną i podpiętą tak, żeby nie trzepotała na wietrze.

Niech to piorun, najchętniej wstałby i zaczął się przechadzać. Ale prędzej by go krew zalała, niż zrobiłby z siebie widowisko dla tych wszystkich obwiesiów,

którzy całymi dniami kręcili się przed saloonem. Nadal pogardzał swym żalonym kuśtykaniem, chociaż kupił w firmie Hanger drewnianą nogę i zamienił znieawidzone kule na laskę.

Okazało się jednak, że i tak nie uniknie niepożądaney uwagi, bo po chwili jeden z włóczęgów, powłócząc nogami, przeszedł na drugą stronę ulicy i zagadnął:

- Co słyhać, Garrick? Piękny dzień jak na styczeń, nie?

- Na to wygląda - odburknął z nadzieją, że natręt właściwie zrozumie znaczenie odpowiedzi i pójdzie swoją drogą.

- Dobrze sobie radzisz, oj dobrze - stwierdził z uznaniem stary, skinieniem głowy wskazując drewnianą nogę Garricka. - Możesz być dumny.

Dumny z tego, że siedemdziesięcioletni mężczyzna chodzi lepiej od niego, też coś! Garrick przesłał staremu spojrzenie, które skułoby lodem jezioro w Teksasie w połowie lipca.

- Przepraszam - powiedział. Pomyślał, że jeśli zajrzy na chwilę do hotelu, to może stary tymczasem wróci do swoich kamratów po drugiej stronie ulicy.

Właśnie wtedy jednak rozległ się daleki tętent galopujących koni, który zapowiedział przyjazd dylizansu.

- Czekasz na dylizans? - zainteresował się stary, najwyraźniej nie zrażony wrogim spojrzeniem. - Kto przyjeżdża w odwiedzin? Znam go?

Garrick zdecydowanie nie życzył sobie, żeby tacy ludzie jak ten wścibski staruch byli świadkami pierwszych chwil jego pojednania z Cecylią. Modlił się, żeby rozstała się ziemia i pochłonięła tego głupca, ale wyglądało na to, że Bóg akurat nie jest w nastroju do wysłuchiwania tak przyziemnych próśb.

Wsunął rękę do kieszeni i wyjął monetę.

- Masz tu dwa centy - burknął. - Idź sobie kupić drinka.

Staruch się zaśmiał, potwierdzając tym, że Garrick kupił sobie święty spokój, a potem wrócił do kompanów po drugiej stronie ulicy. Zaraz potem zza rogu ulicy wyjechał dylizans.

Stało się, pomyślał Garrick, gdy woźnica powściągnął konie i w chmurze pyłu zatrzymał dylizans przed hotelem. Za chwilę miał stanąć twarzą w twarz ze swoją żoną, kobietą, która kiedyś go opuściła. Co skłoniło ją do tego, żeby po ponad trzech latach nieobecności nagle napisać list z zapowiedzią, że wraca do domu?

Boże, jak bardzo chciał uwierzyć w to, że Cecylia przejrzała na oczy. Zrozumiała, że go kocha, że popełniła błąd, odchodząc, i dlatego teraz chce wrócić, by znowu być dla niego żoną. Garrick wiedział, że nie jest przyjemnie na niego patrzeć - co to za mężczyzna, który zamiast prawej nogi ma kikut ucięty powyżej kolana? - ale łudził się, że jeśli naprawdę łączy ich miłość, to może uda im się wspólnie przezwyciężyć przeszłość i wszystko sobie wytłumaczyć.

Woźnica otworzył drzwi dylizansu i Garrickowi serce podeszło do gardła. Pierwszy wysiadł mężczyzna, który odwrócił się i wyciągnął rękę, by pomóc damie.

Cecylia? Nie, ta kobieta miała czarne włosy, nie jasne jak Cecylia, a sądząc po czułym spojrzeniu, jakim obdarzył ją mężczyzna, prawdopodobnie była jego żoną. Potem wysiadł następny mężczyzna, *i* wyglądu domokrażca, i wreszcie znowu kobieta.

To też nie była Cecylia. Starsza pani z siwymi włosami miała wychudzoną, pomarszczoną twarz i trzymała za rękę małego chłopca.

Spłoszony Garrick spojrzał za jej plecy z nadzieją, że ciasne, mroczne wnętrze pojazdu jakimś cudem może pomieścić jeszcze jedną osobę, ale nikogo więcej już nie było. Czyżby Cecylia spóźniła się na dylizans? Może wkrótce nadejdzie telegram, który wyjaśni przyczyny jedno- lub dwudniowej zwłoki.

Siwowłosa kobieta, mrużąc oczy, rozejrzała się po ulicy. Garrick zauważył, że zatrzymała wzrok na jego lasce, więc zdecydowanym ruchem postąpił krok w jej stronę.

- Pan musi być Garrick Devlin - stwierdziła kobieta, a jej przenikliwe spojrzenie dosięgło jego twarzy.

Tknęło go złe przecucie. Przeniknął go chłód, a w nodze, której przecież już

nie było, poczuł pulsujący ból.

- Tak - przyznał zaniepokojony.

- Kim pani jest? I gdzie jest Cecylia, moja żona?

Starsza pani przysłoniła oczy przed jaskrawym światłem słońca.

- Jestem Marta Purdy, sąsiadka Cecylii. Ona nie mogła przyjechać, ale przysłała do pana tego oto małego kawalera.

Garrick zerknął na chłopca, który wpatrywał się w niego śmiertelnie przerażonym wzrokiem. Z całych sił tulił się do swojej opiekunki.

- Nie rozumiem... - Garrick oblał się zimnym potem. - Dlaczego Cecylia nie mogła przyjechać? I kim jest ten chłopiec?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- To długa historia, lepiej niech pan przeczyta list od Cecylii - powiedziała i wyciągnęła ku niemu wyjętą z torebki, pogniecioną, wielokrotnie złożoną kartkę papieru. - Umie pan czytać, prawda?

- Jakżeby inaczej - burknął Garrick.

- Niech się pan nie obraża, ja nie umiem - rzekła pojednawczym tonem, a potem rozejrzała się dookoła tak, jakby czegoś szukała. - Johnny, popatrz jaki tam ładny szczeniak.

- Wskazała kundelka, który leżał zwinięty w kłębek w cieniu bankowej markizy. Pies zauważył chłopca i zaczął merdać ogonem, wystukując nim rytm na drewnianym chodniku.

- On na pewno lubi takich chłopców jak ty. Pobaw się z nim minutkę.

Stojąc w pełnym słońcu, odczekała, aż chłopiec podejdzie pogłaskać kundelka i na pewno nie usłyszy jej następnych słów, a potem zwróciła się znowu do Garricka.

- Nie wiem, co dokładnie napisała Cecylia, ale mogę panu powiedzieć, że ten chłopak tutaj to jest pana syn. Pana i Cecylii.

Ta wiadomość podziałała na Garricka jak cios obuchem w głowę.

- Mój syn? To niemożliwe! On nie może być moim synem! - Czuł, jak pod

wpływem przenikliwego spojrzenia kobiety twarz oblewa mu rumieniec. - To jest jedna z jej sztuczek! To na pewno nie jest mój syn! Czyjego bękarta chce mi wcisnąć jako mojego syna?! Starsza kobieta się wyprostowała.

- Panie Devlin, lepiej niech pan mówi żdziebko ciszej. I niech pan nie plugawi języka, mówiąc o tym uroczym, Bogu ducha winnym chłopcu.

Garrick zniżył głos:

- Chciałem powiedzieć, że Cecylia wyjechała, nie mieliśmy... - Urwał i zrobił minę, jakby poraził go piorun. - O Boże, tylko jeden raz... To chyba niemożliwe, prawda?

Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że wypowiedział tę myśl głośno, póki starsza pani nie zaśmiała się, rozbawiona jego zmieszaniem.

- No, jako wdowa wiem chyba dość, żeby powiedzieć panu, że raz wystarczy.

Garrick zmartwiał. Przypomniawszy sobie dzień swojego powrotu z wojny, niedługo przed tym, jak generał Lee podpisał kapitulację w Appomattox. Bracia jeszcze nie dotarli do domu, ale matka i siostra ze skąpych domowych zapasów żywności urządziły ucztę na jego cześć. Tylko Cecylia stała z pobladłą twarzą i wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi oczami. Nie mogła oderwać wzroku od pustej, podwiniętej nogawki spodni.

Wieczorem, gdy znaleźli się w sypialni, którą zajmowali w rodzinnym domu Devlinów, Garrick próbował jej powiedzieć, jak bardzo za nią tęsknił, jak powtarzał jej imię, gdy lekarz, który dał mu dla znieczulenia tylko trochę whisky, obcinał strzaskaną część nogi. Nieśmiało ją pocałował i spytał, czy może się z nią kochać.

Przedtem nigdy o to nie pytał. Cecylia zawsze z ochotą uczestniczyła w akcie małżeńskim, nawet trochę zbyt gorliwie jak na wiktoriańskie kryteria, ale Garrick to u niej uwielbiał.

Powiedziała, żeby zgasił lampę, chociaż poprzednio lubiła widzieć jego twarz naznaczoną namiętnością. A potem po prostu leżała nieruchoma i zimna jak marmurowy posąg, pozwalając mu skorzystać z praw męża.

Starał się być delikatny i uważał, żeby nie dotykać żony obandażowanym kikutem, ale przypadkiem zawadził nim o jej nogę, gdy już skończył i chciał się położyć obok niej na plecach.

Cecylia syknęła, jakby przejęta obrzydzeniem, a potem wybuchnęła płaczem. Odwróciła się do niego plecami i skuliła po drugiej stronie łóżka. Próbował ją pocieszyć, przeprosić, ale gdy się wreszcie odezwała, powiedziała cichym, napiętym głosem, żeby więcej jej nie dotykał.

Garrick nie zasnął aż do świtu i był pewien, że również Cecylia nie mogła zasnąć. Gdy obudził się późnym przedpołudniem, Cecylii już nie było. Potem dowiedział się, że nie tylko opuściła farmę, lecz wsiadła do dylizansu jadącego na południe.

Oto wynik tej jednej, jedynej nocy, pomyślał, patrząc na chłopca, który głaskał psa. Widział twarz małego z profilu.

Wciąż trudno było mu w to uwierzyć.

- Kiedy on się urodził?

- Nie znam dokładnej daty - odparła kobieta, wzruszając ramionami. - Niech pan przeczyta list. Ona pewnie tam panu wszystko napisała.

Garrick wziął od niej wymiętą kartkę z taką miną, jakby brał do ręki śpiącego grzechotnika. Zanim jednak rozłożył list, powiedział:

- No dobrze, przypuśćmy, że to jednak jest mój syn. Ile on ma... trzy lata?

Dlaczego Cecylia przysłała go do mnie właśnie teraz?

- Niech pan przeczyta list - powtórzyła kobieta.

Zrozumiał już, że Marta Purdy nie zamierza mu ułatwić zadania, poddał się więc i rozpostarł kartkę przed oczami w taki sposób, żeby światło słońca pomogło mu w czytaniu.

Drogi Garricku!

Wiem, że zraniłam cię swym odejściem. Potraktowałam cię okropnie po tym, co przeszedłeś na wojnie, ale to okazało się silniejsze ode mnie. Chyba po prostu zabrakło mi siły i dobroci, żebyś miał we mnie żonę, na jaką zasłużyłeś. Bardzo mi przykro z tego powodu, ale nic nie poradzę, nie mogę być kimś, kim nie jestem. Chcę ci to teraz wynagrodzić, więc posyłam do ciebie naszego syna. Wiem, że nie uwierzysz w to, że naprawdę jest nasz, i nie mam do ciebie pretensji, ale chłopiec urodził się w pierwszy dzień roku 1866, który - jeśli dobrze policzysz - przypadł dokładnie w dziewięć miesięcy po twoim powrocie do domu. Dałam chłopcu na imię John Garrick. Wiem, że mnie znienawidziłeś, masz do tego święte prawo. Jeśli kiedykolwiek mnie kochałeś, to ufam, że będziesz dobry dla naszego syna. Na pewno będzie mu u ciebie lepiej.

Cecylia

Przeczytał cały list dwukrotnie i dopiero wtedy oderwał wzrok od kartki.

- Znam już jego imię i datę urodzenia, ale nie znalazłem odpowiedzi na pytania, które pani zadałem. Przecież Cecylia urodziła go trzy lata temu... Dlaczego dopiero teraz go przysłała? Co zamierza?

Kobieta spojrzała z niepokojem na chłopca, a potem znów na Garricka.

- Bigamia, ot co. Przykro mi to mówić, ale taka jest prawda.

- Bigamia? Cecylia poślubiła innego mężczyznę?

- To właśnie jest bigamia, prawda? - odrzekła starsza pani i współczująco mlasnęła językiem. - Ona teraz nazywa się Cecylia Prentice i tak jest, odkąd w sześćdziesiątym piątym zaczęła pracować w hotelu w Houston. Była śliczna jak malowanie. Mężczyźni lgnęli do niej jak muchy do miodu. Nie minął nawet tydzień i Will Prentice skończył konkury, bo zaciągnął ją do ołtarza.

- Ale ona była, to znaczy jest moją żoną! Nigdy się nie rozwiedliśmy! Jak wyjaśniła swojemu... hm, mężowi to, że jest przy nadziei?

Kobieta zachichotała, a Garrick poczuł, że ogarnia go złość. Wszak w ich

rozmowie nie było nic śmiesznego.

- Kto wie? Wmówienie mężowi cudzego dziecka to sztuczka stara jak świat. Nie wiem, jak ten chłop uwierzył, że takie wielkie, zdrowe niemowlę, które urodziło się za wcześnie, jest jego, ale widocznie był dość głupi, bo zawsze, gdy o nim mówił, puszył się jak kogut.

- „Puszył się”? - spytał Garrick. - Dlaczego więc...?

- Zdarzył się wypadek... Któregoś wieczoru wracali razem z *barbecue*.

Dziecko zostawili przedtem u mnie. Nadeszła burza. Uderzył piorun, koń się spłoszył i poniósł. Bryczka się przewróciła. Pan Prentice wypadł na drogę, ale nic mu się nie stało. Pani Cecylia, niestety, wpadła pod koło. Była ciężko ranna. Tak, tak, musiała się przestraszyć o swą nieśmiertelną duszę, bo wyznała Willowi Prentice'owi, że chłopak nie jest jego.

- Czy ona... czy ona... - Garrick nie mógł się zdobyć na dokończenie tego pytania.

- Czy umarła? - dokończyła za niego Marta Purdy. - Nie, ale od czasu wypadku leży przykuta do łóżka. Opiekowałam się nią i jej chłopcem. Prentice stwierdził stanowczo, że skoro chłopak nie jest jego, to nie będzie go trzymał pod swoim dachem.

Garrick poczuł, że coś w nim pęka. Nie mógł wytrwać we wrogości do Cecylii, która ogarnęła go przed chwilą. Teraz myślał tylko o tym, jak okrutnie postąpił ten Prentice wobec dziecka i jego rannej matki.

- Zatrzymam chłopca, dopóki jego matka... - nie mógł się zdobyć na to, by wypowiedzieć w tej chwili imię Cecylii - dopóki jego matka nie wydobrzeje. Mam nadzieję, że wtedy zostawi tego niby- męża, który nie chciał zaopiekować się dzieckiem, chociaż zawsze uważał je za swoje. Może jej pani powtórzyć, że gdyby chciała... - Omal nie powiedział, że przyjmie ją z powrotem.

- Panie Devlin - przerwała mu Marta Purdy - pan nie rozumie. Cecylia nie wydobrzeje. Ma zmiążdżony kręgosłup. Jest sparaliżowana, nie może poruszać

nogami. Prawie nic nie je i słabnie z dnia na dzień. Nie pożyje już długo... - Rozejrzała się szybko, żeby sprawdzić, czy mały dalej bawi się z psem, i dodała:

- Odkąd Prentice powiedział jej, że nie chce chłopaka, straciła resztę ochoty do życia.

Garrick miał wrażenie, że śni koszmar. To nie mogło dziać się naprawdę!

- Przecież napisała do mnie, że przyjedzie! - zaprotestował. - I ani słowem nie wspomniała o dziecku!

- Może myślała, że nie zechce pan wziąć syna, jeśli dowie się o nim wcześniej. Albo że kiedy pan zobaczy chłopca na własne oczy, to już go pan nie odeśle.

Nie dalej jak tego ranka Garrick przeżywał nerwowe, lecz radosne chwile oczekiwania na ponowne spotkanie z Cecylią, a teraz okazało się, że Cecylia umiera...

- Muszę... muszę do niej jechać, zobaczyć ją - wybąkał, rozglądając się gorączkowo za woźnicą dylizansu, mając nadzieję, że ten wraca bezpośrednio do Houston. Był gotów jechać tam tak jak stoi, w jednej koszuli, nawet nie zawiadomiwszy o tym rodziny.

- Ona zabroniła panu przyjeżdżać, panie Devlin. Kazała mi to powtórzyć, w razie gdyby przyszło panu coś takiego do głowy. Nie chce, żeby pan oglądał ją w takim stanie.

Garrick wlepił wzrok w starszą kobietę, a ona odwzajemniła jego spojrzenie.

- Mówię prawdę, panie Devlin. Proszę, niech pan nie wybiera się w taką długą drogę, bo szkoda pańskiego czasu.

Skinął głową.

- Zostanie tu pani parę dni? Dopóki chłopak... dopóki się do mnie nie przyzwyczai?

- Mogę zostać, ale tylko dlatego, że dylizans nie wraca od razu - odpowiedziała Marta Purdy. - Im szybciej będę w Houston, tym lepiej. Prentice obiecał zająć się Cecylią do mojego powrotu, ale co on tam wie o pielęgnowaniu cho-

rych! Zapomni ją odwrócić albo nakarmić...

Wyobraziwszy sobie Cecylię leżącą bezradnie w łóżku, Garrick zamknął oczy. Nie chciała nawet, żeby jej pomógł.

- Dobrze. Proszę poczekać, sprowadzę wóz. Marta Purdy znów chwyciła go za nadgarstek.

- Wie pan, on naprawdę jest do pana podobny. Ma jaśniejsze włosy, ale oczy... tak, tak, to jest pana chłopak, nie ma dwóch zdań.

Pochyliła się i zawołała:

- Johnny, pożegnaj się z pieskiem i chodź powiedzieć dzień dobry panu Devlinowi.

Garrick zobaczył, jak malec ostatni raz głaszcząc kundelka i posłusznie wraca do Marty Purdy. Był chudy jak szczapa. Garrick wiedział, że jego matka na pewno postanowi go odkarmić.

- Johnny, to jest pan Devlin. Okazało się, że jest twoim prawdziwym tatą i bardzo chce cię poznać. Nie bój się, on nie gryzie.

Chłopiec wyraźnie drżał.

- Jak może być moim tatą, skoro mój tata jest w domu? - zapytał cienkim głosem.

Mimo wszystko może być moim synem, pomyślał Garrick, wpatrując się w oczy małego, które były tak samo intensywnie niebieskie jak jego własne. Jaśniejsze włosy chłopiec mógł odziedziczyć po matce, która była blondynką. Najbardziej jednak uwagę Garricka zwrócił kształt ust i to on zmusił go do zastanowienia, czy przypadkiem list nie zawiera więcej prawdy, niż mu się początkowo zdawało. Chłopiec, wyczuwając, że może nie być życzliwie powitany, mocno zaciskał wargi w grymasie uporczywości, który Garrick doskonale znał z lustra.

Wiedział, że powinien uklęknąć, żeby nie patrzeć na dziecko z wysokości, ale choć z drewnianą nogą Hangerera mógł tego spróbować, wyglądałoby to w najlepszym razie niezgrabnie. A Garrick nie chciał jeszcze bardziej wystraszyć małego.

- Zaszła pomyłka, Johnny. Wszyscy myśleli, że twoim tatą jest William Prentice, ale w tym liście jest napisane, że to ja nim jestem - powiedział wolno, wskazując ruchem głowy złożoną kartkę. - Ten list napisała twoja mama. Prosi mnie, żebym zajął się tobą przez pewien czas, póki nie poczuje się lepiej. A ja nie wiedziałem, że mam takiego małego synka, póki nie przeczytałem tego listu, rozumiesz?

- Nie wiedział pan? - Oczy chłopca zrobiły się jeszcze większe i jeszcze bardziej okrągłe. - Dlaczego?

Boże, co mu miał na to odpowiedzieć?

- Nie wiem, Johnny, ale cieszę się, że mogę cię poznać. Będę się tobą dobrze opiekował, zgoda?

Przełożył laskę do drugiej ręki i wyciągnął prawicę do malca.

Chłopiec chyba dopiero w tej chwili zauważył laskę. Wlepił w nią wzrok, potem spojrział w twarz Garricka i podjął decyzję.

Uczepił się spódnicy Marty Purdy.

- Chcę do mamy!

Garrick poczuł, że twarz mu płonie. Jeszcze nie był pewien, czy wierzy w to, że chłopak jest jego, tymczasem on nie chce mieć z nim nic wspólnego. Nie mógł jednak odwrócić się na pięcie i zostawić malca na łasce losu.

- Niech pan nie zwraca uwagi na te fochy - powiedziała spokojnie Marta Purdy. - Przejdzie mu. On ledwie żyje po długiej podróży w tej trzęsącej się klatce - dodała, wskazując dylizans. - Nie wiem, czy mamy jeszcze jakąś część ciała bez siniaków. Po solidnym posiłku i dobrze przespanej nocy rano chłopiec będzie jak nowo narodzony. Garrick westchnął.

- Wobec tego najlepiej jedźmy od razu na farmę. Mój wóz stoi trochę dalej przy tej ulicy.

Jednak starsza pani ani drgnęła.

- Panie Devlin, chłopiec jest głodny i spragniony. Byłoby o wiele lepiej, gdyby

dostał obiad od razu - powiedziała, znacząco spoglądając w stronę hotelu. -
Śniadanie jedliśmy już dawno temu.

Garrick oderwał wzrok od pleców chłopca. Podejrzewał, że Marta Purdy myśli raczej o własnym żołądku niż o nakarmieniu dziecka. Na szczęście zamierzał zaprosić Cecylię na obiad, więc miał przy sobie trochę pieniędzy. Liczył, że zostało mu jeszcze dość, by opłacić Marcie Purdy bilet powrotny, w razie gdyby Will Prentice tego nie zrobił.

- Dobrze, zjemy na miejscu - powiedział, wykonując gest w stronę wejścia do hotelu.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Taki kawał drogi kazała tłuc się twojemu synowi z tą kobietą, zamiast przyjechać sama! - wykrzyknęła Sara Devlin. Przyglądała się przez okno, jak chłopiec w towarzystwie siostry Garricka, Annie, jego szwagierki Mercy oraz Marty Purdy ogląda niedawno urodzone kocięta. - Co za tupet ma ta... ta...

- Poczekaj, mamó. Jeszcze nie wszystko ci opowiedziałem - powstrzymał ją Garrick, trąc oczy. Był niewyspany. Wieczorem przez długie godziny nie mógł zasnąć. Zdawało mu się, że boli go amputowana noga. Gdy wreszcie zmorzył go sen, wkrótce obudził go płacz chłopca, dochodzący z pokoju w głębi korytarza. Słyszał, jak Marta Purdy pociesza małego, i po pewnym czasie znowu zapada cisza.

Szybko zrelacjonował matce historię bigamii Cecylii oraz jej wypadku, dodając, że żona nie życzy sobie jego przyjazdu.

- Boże wielki, miej litość - westchnęła Sara Devlin, zasłaniając usta dłonią. - Ta biedna, zbłąkana dziewczyna... i twój biedny, mały synek.

- Wcale nie jestem pewien, mamó, czy on rzeczywiście jest mój - zwrócił jej

uwagę.

Sara spojrzała na niego zdumiona.

- Nie ma dwóch zdań, Garrick. Wystarczy na niego popatrzeć. Jest zupełnie taki sam jak ty w jego wieku. Czy chcesz powiedzieć, że pierwszej nocy po twoim powrocie ty i Cecylia... - Odwróciła głowę, zakłopotana. Garrick był nie mniej zmieszany.

- Tak, mam, ale następnego dnia uciekła ode mnie i widocznie poślubiła pierwszego mężczyznę, który ją zechciał. Jak mam wierzyć słowu takiej kobiety?

- On jest twój. Ja ci to mówię. A swojego syna nie możesz odrzucić - oświadczyła Sara Devlin.

Garrick westchnął. Po dwudziestu czterech godzinach przyglądania się chłopcu wcale nie był już pewien, czy Cecylia go okłamała, czy nie. Podobieństwo widział nie tylko w kolorze oczu, lecz również w tym, co Johnny robił, w takich drobiazgach jak sposób chodzenia lub zasypianie z poduszką ułożoną wzdłuż, tak że można ją przytulić i do policzka, i do piersi. To wszystko przekonało go, że ma do czynienia z najprawdziwszym Devlinem. A ponieważ matka nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości, Garrick również zaczął myśleć o Johnnym jak o swoim synu.

Znowu westchnął.

- Wcale nie miałem takiego zamiaru. Ale chłopiec się mnie boi. Nie mogę go namówić, żeby podszedł do mnie bliżej niż na metr. Trudno zresztą go o to winić - dodał, spoglądając na swą sztuczną nogę, która w spodniach i bucie nie różniła się niczym od prawdziwej. - Chodzę jak pijany marynarz.

- Daj mu trochę czasu - poradziła matka. - Kiedy się do ciebie przyzwyczai, to cię polubi. A o drewnianej nodze w ogóle nie będzie myślał, jeśli ty nie będziesz z niej robił niczego nadzwyczajnego. Łatwo ci mówić, pomyślał Garrick, ale właśnie wtedy Sara powiedziała:

- Popatrz, Johnny idzie tu z kotkiem. Powiedz mu, że jeśli chce, może go zatrzymać. Kotek jest już na tyle duży, że da sobie radę bez matki.

Rzeczywiście, chłopiec szedł do domu w towarzystwie Mercy, Annie i Marty, niosąc czarną futrzaną kulkę z największą troską i uwagą, na jakie stać trzyletnie dziecko. Gdy wszyscy znaleźli się za progiem, Garrick usłyszał wyraźne pomiaukiwanie.

Zobaczył, że chłopiec spogląda niepewnie najpierw na Annie, potem na Mercy.

- Johnny, pamiętaj, że masz o coś spytać tatę - cicho powiedziała Mercy, wskazując ruchem głowy Garricka.

Johnny był blady, lecz zdecydowany.

- Tato, chciałbym mieć tego kotka. Czy mogę? Garrickowi zaparło dech. Ten chłopiec nazwał go tatą.

Wydało mu się, że nagle, po latach ponurych dni, wyszło zza chmur słońce. Łzy zapiekły go pod powiekami. Musiał zamrużyć, obawiał się bowiem, że płaczem zmieszałby chłopca jeszcze bardziej. Stanowczo nie chciał też, by jego łzy dostrzegli inni dorośli.

- Tak, Johnny.

Chłopiec uśmiechnął się nieśmiało. Poruszony tym jeszcze bardziej Garrick również nieznacznie uniósł kąćki ust. Poczul się dziwnie, jakby latami się nie uśmiechał.

- Jak go nazwiesz?

- Nie wiem, jak konserwatywni republikanie mogą utrzymywać, że są południowcami - mruknął Garrick, mnąc z niezadowoleniem gazetę z Austin, która ukazała się przed tygodniem. Poniewczasie przypomniał sobie o obecności syna, ale gdy potoczył wzrokiem po pokoju, okazało się, że Johnny właśnie wybiegł dokądś za kotkiem. - Oni są i zawsze byli unionistami, nawet podczas wojny! Równie dobrze mogliby od razu puścić cały Teksas z dymem, bo i tak nic nie zostanie po tym plądrowaniu, jakie urządzają tutaj ci spekulanci z Północy i przynoszący nam hańbę republikanie z Południa.

- Jeśli wybierzemy republikański rząd, to może Teksas szybciej wróci do Unii

- zwrócił mu uwagę jego brat, Cal.

Minął już tydzień od przyjazdu Johnny'ego, a Cal i jego niedawno poślubiona żona Oliwia zatrzymali się u Garricka na nocleg w drodze do Calveston, będącego celem ich nieco spóźnionej podróży poślubnej. Garrick, Cal i najmłodszy z braci Devlinów, Sam, siedzieli na krzesłach w salonie, podczas gdy panie toczyły rozmowę w kuchni, przy okazji zmywając naczynia.

- Niech będzie! Może wtedy ci okupanci, którzy zachowują się tak, jakby podbili obce terytorium, wrócą tam, gdzie ich miejsce, na Północ - burknął Garrick. - Hm! Przepraszam, braciszku - zwrócił się do Cala - tobie pewnie będzie smutno, że sobie idą.

Cal uniósł brwi.

- Nawet ci z nas, którzy służyli w armii unionistów, nie są zadowoleni z tego, że oddziały federalne pomagają rabować i kraść spekulantom z Północy.

Garrick zrozumiał, że posunął się za daleko, więc spojrzał na zmiętą gazetę i zamilkł. Po chwili podjął nowy temat:

- A w Gillespie Springs nic się nie dzieje? - zwrócił się ponownie do brata. - Chyba musi być spokojnie, skoro uznałeś, że możesz wyjechać.

Cal odchylił krzesło do tyłu, tak że oparciem dotknęło ściany.

- Mój zastępca pilnuje porządku, a ja bardzo się cieszę, że mogłem zostawić gwiazdę szeryfa w domu. Bądź co bądź, jedziemy w podróż poślubną nad morze.

- Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić - powiedział Garrick, wciąż trochę zakłopotany swoim niezręcznym zachowaniem.

- Ho, ho! I to mówi nasz brat, Garrick Zrzedliwy? - zażartował Sam, który siedział obok Cala i wyciągał przed siebie długie nogi w butach z cholewami. - Dobrze ci robi ten mały, Garrick - dodał, wskazując Johnny'ego, który biegał jak szalony z pokoju do pokoju, ciągnąc za sobą kłębek włóczki, na który polował jego kotek.

Sam zawsze umiał szybko rozzłościć najstarszego brata.

- Gdyby nie było tu małego, to powiedziałbym ci, braciszku, dokąd możesz sobie iść. Zawsze miałem wiele ciepłych uczuć dla rodziny.

Sam tylko się uśmiechnął.

- Ładny chłopiec z tego Johnny'ego - stwierdził Cal, zanim Sam zdążył wtrącić następną złośliwość. - Wydaje mi się do ciebie podobny.

Garrick się rozpromienił.

- Tak myślisz? - Zaraz jednak spoważniał, a gdy zobaczył, że syn wybiegł do kuchni, dodał: - To dobry chłopak. Żałuję, że nie byłem z nim przez pierwsze trzy lata. Chciałbym mu to jakoś wynagrodzić... Rozumiesz mnie, prawda?

Brat skinął głową.- Będiesz bardzo dobrym ojcem - zapewnił go i nawet Sam mrukliwie to potwierdził.

Garrick zmarszczył czoło, ogarnął go bowiem dobrze znany niepokój.

- Ciężka sprawa. Jaki przykład ma we mnie, kalece? Zgoda, mogę nauczyć go liczyć, pisać i czytać, ale czy kiedykolwiek stanę się dla niego wzorem, jeśli nie odmienię swojego życia? - Ujął laskę i pokuśtykał do okna, stanął tam i wbił wzrok w ciemność.

Jego bracia zamilkli w oczekiwaniu.

- Wydaje mi się, że przyszedł czas, żebym spróbował czegoś nowego - rozmyślał dalej głośno Garrick. Uniesieniem ręki powstrzymał Sama, który już otworzył usta. - Tylko nie mów, że dzięki mnie w domowych rachunkach panuje porządek. Sam dobrze wiesz, że mama złożyła na mnie te obowiązki, żebym czuł się potrzebny. - Zwrócił się do Cala: - Czy ostatnio nie wspominałeś, że ten bankier Gillespie, który trząsał całym Gillespie Springs, chciał założyć gazetę, ale nie zdążył wydać ani numeru, bo trafił do więzienia?

- A owszem, owszem - potwierdził Caleb. - Nawet przyjechała niedawno specjalnym wozem maszyna drukarską. Stoi teraz w tym wolnym budynku naprzeciwko hotelu, gdzie Gillespie zamierzał urządzić redakcję. Burmistrz Long był bardzo rozczarowany. Miał nadzieję, że niedługo będzie czytał wiadomości ze

swojego podwórka. Orzekł, że po wyjściu na jaw oszustw Gillespiego maszyna stanowi własność miasta, a on gotów jest podarować ją każdemu, kto zobowiąże się założyć gazetę w Gillespie Springs.

- Dlaczego na przykład nie mnie? - spytał Garrick, wciąż wyglądając przez okno, żeby nie widzieć sceptycznych min braci.

Pierwszy odezwał się Sam:

- Ty? Chciałbyś zostać wydawcą gazety? Czemu nie? Jesteś cwany jak lis. Znasz się na polityce i zawsze mnie przegadasz.

- Ciebie każdy przegada - mruknął Cal, ale uśmiechnął się, żeby było wiadomo, że żartuje. - W każdym razie Sam dobrze mówi, Garricku. Masz łeb na karku i się tutaj marnujesz. Tylko prowadzisz rachunki i piszesz listy do wydawcy gazety w Austin o tym, jak spekulanci z Północy rujną Teksas. ... - Na chwilę zamilkł. - Na weekendy naturalnie przyjeżdżałbyś do domu i widywał się z synem. Mama i Annie będą się nim opiekować w ciągu tygodnia...

- Dlaczego miałbym zostawić chłopca tutaj? To ja jestem jego ojcem, więc chłopiec pojedzie ze mną!

Bracia wymienili spojrzenia, ale nie odważyli się skrytykować tego pomysłu.

- Mama nie będzie zbyt szczęśliwa, jeśli Johnny wyjedzie - odezwał się w końcu Sam. - Bardzo go polubiła.

- Ja też - odparł Garrick i uświadomił sobie, że to prawda. - Będę z nim często przyjeżdżał do domu. Zresztą kiedy Mercy urodzi dziecko, mamie nie będzie aż tak bardzo brakowało Johnny'ego.

- Właściwie dlaczego nie? Jeśli umiesz pisać takie płomienne listy do redakcji, to na pewno i z pisaniem artykułów dasz sobie radę. - Calowi pomysł brata wyraźnie podobał się coraz bardziej. - Tylko pomysł! Co tydzień pisałbyś artykuł wstępny i krytykował albo chwalił, co tylko chcesz.

Garrick również uważał, że możliwość wyrażania swoich poglądów z pozycji wydawcy jest bardzo zachęcająca. Nagle jednak przyszła mu do głowy niepokojąca

myśl.

- Niestety, nie mam pojęcia o obsłudze maszyny drukarskiej.

- Mógłbyś się nauczyć - powiedział z przekonaniem Caleb. - Zatrudnić kogoś z doświadczeniem i wszystkiego się dowiedzieć. Ty byłbyś wydawcą i pisał artykuły, a on obsługiwałby maszynę.

- A co z Johnnym? Jestem teraz za niego odpowiedzialny - przypomniał sobie Garrick.

- Co tam, Oliwia na pewno zgodzi się, żeby nasza gospodyni ci pomogła - oświadczył Cal. - Seniora Mendez narzeka, że dajemy jej za mało pracy, i każe nam szybko postarać się o dziecko, żeby miała się czym zająć.

- Rozumiem, że starasz się spełnić jej żądanie, bracie? - wtrącił Sam z niewinną miną.

Cal uśmiechnął się szeroko.

- Może.

Garrick nagle pozazdrościł braciom ich szczęścia. Obaj znaleźli sobie dobre żony. A on? Nawet jeśli Cecylia popełniła bigamię, nie był wolny. Zresztą nawet gdyby był, to jaka kobieta zechciałaby mężczyznę z drewnianą nogą?

Rozsądek kazał mu zrezygnować z myślenia o miłości, skupił się więc na podniecającej myśli o założeniu gazety. Naprawdę dojrzał do zmiany. Za długo siedział beczynnie na farmie. Wiedział, że tutaj może wkrótce przedwcześnie się zestarzeć, a Johnny będzie dorastał otoczony przytłaczającą miłością babki i ciotki, które stanowczo za bardzo go rozpieszczęły.

- Dobrze, spytaj tę panią Mendez, czy zostanie moją gospodynią. Zrobię to, chłopcy. Założę gazetę w Gillespie Springs. Myślicie, że znajdzie się tam dla mnie jakiś dom?

Sam wydał słynny okrzyk secesjonistów. Kobiety przybiegły z kuchni sprawdzić, co się dzieje, a Cal z całej siły klepnął Garricka w plecy.

- Jasna sprawa, bracie - powiedział.

- Gillespie Springs! - zawołał śpiewnym głosem woźnica, zatrzymując konie przed wejściem do hotelu.

Margaret Harper odetchnęła z ulgą. Jazda w trzęsącym się i podskakującym dyliżansie, która miała trwać dwa dni, przeciągnęła się do trzech i pół, a wszystko przez wiosenne deszcze. Drogi między Austin i Gillespie Springs zamieniły się w grzęzawisko. Ulewa dwukrotnie opóźniła wyjazd dyliżansu, a woźnica przynajmniej dwa razy dziennie z pomocą podróżujących mężczyzn musiał wypychać pojazd z rozmytych kolein.

Raz piorun trafił w pobliskie drzewo i spłoszone konie puściły się oszalałym galopem. Gnały tak ponad trzy kilometry, póki woźnica ich nie opanował. Przez cały ten czas Maggie była pewna, że dyliżans zaraz przewróci się na jakimś wyboju i zmiążdży nieszczęsnych podróżnych.

Dla urozmaicenia nudy kolejnych błotnistych kilometrów Maggie ułożyła sobie w głowie artykuł o tym zdarzeniu tak, jakby stało się najgorsze. Nagłówek brzmiał:

„Katastrofa dyliżansu. Przedwczesna śmierć znanej dziennikarki”.

Kobieta z zaczerwienioną twarzą, ubrana w czarną suknię z krepy, spojrzała na nią z naprzeciwka karcącym wzrokiem. Poniewczasie Maggie uświadomiła sobie, że się uśmiecha. Wprawdzie podróż nie była przyjemna, ale deszcz w końcu przestał padać, zza chmur wyszło słońce, no i nareszcie dotarli do Gillespie Springs.

Maggie z przyjemnością zęgnęła nie tylko tę kobietę, lecz również innych współtowarzyszy podróży. W dyliżansie było niemiłosiernie ciasno. Jechało nim dwóch tęgich domokrażców, którzy palili ohydne cygara, nerwowa matka z kapryśnym, ząbkującym niemowlęciem, Maggie i pani z czerwoną twarzą, która bez przerwy na wszystko narzekała.

Co dwadzieścia kilometrów dyliżans przystawał i woźnica zmieniał konie, przeważnie jednak padał zbyt duży deszcz, by Maggie mogła wtedy wysiąść i rozprostować kości. Co osiemdziesiąt kilometrów postoje trwały dłużej, żeby pasażerowie mogli coś zjeść, czegoś się napić i odpocząć, ale stacje były obskurne i

brudne, a posiłki prawie niejadalne.

Dyżurni zazgrzytał i znieruchomiał, a gdy Maggie wysiadła, woźnica podał jej sakwojaże.

- Dziękuję panu. Mam nadzieję, że szczęśliwie dojedzie pan do celu - powiedziała.

- Wszystkiego dobrego, panno Harper. Proszę szybko przejść na deski, bo przemokną pani trzewiki - powiedział woźnica, wskazując błoto po kostki, w którym stała. - Czy nikt tu na panią nie czeka?

- Czeka, czeka, niech się pan nie martwi. Muszę tylko znaleźć redakcję miejscowej gazety.

Gillespie Springs było nieduże, ale w ten kwietniowy poranek wydawało się całkiem dostatnim miasteczkiem. Obok hotelu, po prawej stronie, Maggie zobaczyła szyldy modystki i fryzjera. Po lewej był bank, gabinet lekarski i sklep, a naprzeciwko saloon, areszt, telegraf i stajnie. Tylko gdzie jest redakcja gazety? Wreszcie zauważyła niewielki budynek stojący dokładnie naprzeciwko niej, po drugiej stronie ulicy.

Zmrużyła oczy i przeczytała szyld kołyszący się na wietrze, przymocowany do okapu: „The Gillespie Springs Gazette”, założona w 1869 roku. Tak, właśnie tego szukała. Autor ogłoszenia szukał doświadczonego drukarza do gazety, wspomniał też, że gazeta jest nowa. Gdy zaoferowała swoje usługi, wydawca, pan Garrick Devlin, odpowiedział jej prawie natychmiast.

Być może nie zrobiłby tego, gdyby podpisała list „Margaret Louise Harper”, a nie „M.L.Harper”. Wyrzuty sumienia z powodu tego oszustwa dręczyły ją przez całą drogę z Austin. Wiedziała jednak, że musi stamtąd wyjechać, a jeśli dzięki zręcznemu omińnięciu kwestii płci mogła szybciej znaleźć pracę, nie należało się przed tym wahać. Była pewna, że gdy wytłumaczy panu Devlinowi, dlaczego może równać się doświadczeniem z każdym drukarzem- mężczyzną, na pewno zatrudni ją na próbę.

Garrick Devlin...

Od razu wyobraziła sobie tego mężczyznę. Ktoś, kto się tak nazywa, powinien być starszym człowiekiem, prawdopodobnie po pięćdziesiątce, łysiejącym i noszącym okulary, które zsuwają się na czubek nosa. Powinien też mieć korpulentną żonę i gromadkę dorosłych albo prawie dorosłych dzieci. Może nawet być już dziadkiem, a jeśli tak, to bez wątpienia rozpieszczającym wnuki. Gdyby mimo wszystko pan Devlin nie chciał zatrudnić kobiety, Maggie zamierzała mu opowiedzieć o swych bogatych doświadczeniach. Pracę zaczęła od obsługiwania maszyny drukarskiej ojca, weterana drukarstwa w Ohio, a doszła do tego, że gdy przenieśli się do Austin, stała się profesjonalnym dziennikarzem.

Devlin musi ją przyjąć! Za nic nie mogła wrócić do Austin. Wolałaby umrzeć, niż patrzeć na współczujące twarze, słuchać pogardliwych parsknięć i opierać się zalotom urzędników oraz dyrektorów Urzędu do spraw Wyzwolonych Niewolników, którzy od czasu, gdy Richard Burke wyszedł pamiętnej nocy z jej domu, nagle zaczęli widzieć w niej kobietę o nieodpartym wdzięku.

Naturalnie Richard chwalił się swym podbojem na prawo i lewo. Przekonała się o tym już wkrótce, gdy poszła z ojcem na bal noworoczny wydany dla żołnierzy i innych przybyszy z Północy, którzy teraz mieszkali w Teksasie. Szybko zauważyła, że na jej widok damy przysyłają usta dłońmi odzianymi w rękawiczki i szepeczą coś po kątach, lecz milkną natychmiast, gdy do nich podchodzi. Kiedy próbowała z nimi rozmawiać, odpowiadały chłodno i bez entuzjazmu, a niektóre nawet obrzucały ją spojrzeniem pełnym wyższości i odchodziły, szeleszcząc spódnicami, jakby była posługaczką z saloonu, która ośmieliła się wejść pomiędzy prawdziwe damy!

Tamtego wieczoru karnet miała pełny, lecz to zdawało się jeszcze podsycać nienawiść żon i córek oficerów do jej osoby. Wcale zresztą nie cieszył jej przywilej bycia królową balu, dręczyła ją bowiem przykra świadomość, że mężczyźni, którzy z nią tańczą, chcą tylko posmakować rozkoszy, o których opowiadał im kapitan Burke.

Naturalnie jej nowy status - ulubienica mężczyzn wyklęta przez kobiety - nie uszedł uwagi ojca, mimo że John Harper był zwykle zajęty własnymi myślami.

Musiała opowiedzieć mu, co zaszło między nią a kapitanem Burke. Wtedy drugiraz w życiu widziała, jak ojciec płacze; pierwszy raz zdarzyło mu się to po śmierci żony. Nie potępił jej jednak. Był dla niej taki dobry, tyle w nim było ciepła, że poczuła się jeszcze gorzej.

Na szczęście nie musiała się martwić tym, że ojciec postanowi się zemścić na kapitanie Burke, bo choć głośno mówił, co zrobi z tym łajdakiem, kapitana nagle „odwołano do Waszyngtonu” w dwa dni po jego ostatnim spotkaniu z Maggie.

Wiedziała, że ma wyjątkowe szczęście, bo dwa tygodnie po wyjeździe Burke'a nadeszła comiesięczna przypadłość. Nie mogła wyobrazić sobie nic gorszego niż noszenie pod sercem owocu nieudanego i niepotrzebnego romansu. Ojciec powiedział jej, że mogą zapomnieć o tym niefortunnym epizodzie i wszystko będzie po staremu.

Gdy oznajmiła mu o zamiarze wyjazdu z Austin, próbował ją od niego odwieść. Tłumaczył jej, że wszystko powoli się ułoży, ale ona wiedziała, że wcale tak nie będzie. Nie mogła znieść swojej sytuacji. Chociaż chętnie rezygnowała z namiastek życia towarzyskiego, dostępnych dla Jankesów w Teksasie, i poświęcała się bez reszty pracy, do pasji doprowadzała ją współczującą życzliwość, z jaką ojciec zareagował na jej hańbę.

Oczywiście nie mogła mu tego powiedzieć. Stwierdziła więc, że potrzebuje zmiany otoczenia i chce coś zrobić samodzielnie. Ojciec sprzeciwiał się przyjęciu przez nią pracy w Gillespie Springs, przypomniała mu jednak, że jest dorosła i ma niewielkie oszczędności, w końcu dostała więc ojcowskie błogosławieństwo na drogę.

I tak oto, zaczerpnąwszy tchu, zaczęła brnąć przez błoto po kostki, które dzieliło hotel od redakcji gazety.

ROZDZIAŁ TRZECI

Garrick pochylił się nad ręczną maszyną drukarską marki Washington, która dumnie lśniła czernią pośrodku redakcji „Gazette”. Przytrzymał się jej, jakby była tratwą na wzburzonym morzu.

Może popełnił błąd, przychodząc tu zaledwie dzień po tym, jak Sam doręczył mu z poważną miną przesyłkę z Houston. List był prawie nieczytelny, pełen poprzekręcanych słów, napisała go bowiem półanalfabetka, znajoma Marty Purdy, kobiety, która przywiozła doń Johnny'ego. Zawiadamiała go, że Cecylia Prentice odeszła z tego świata w trzecim tygodniu marca. Umarła we śnie, a jej „mąż” zaraz po pogrzebie zaczął sobie szukać nowej żony.

Sam namawiał Garricka, żeby został w domu i w spokoju przyzwyczyił się do myśli o śmierci swej niewiernej żony. Ale ukrywanie się w czterech ścianach wydawało się Garrickowi bez sensu. Cecylia umarła dla niego w dniu, w którym go opuściła, tak powiedział Samowi, choć w głębi duszy wiedział, że to nieprawda. W rzeczywistości nigdy nie przestał wierzyć w cud, liczył na to, że Cecylia jednak wróci i będą mogli na nowo stworzyć rodzinę.

Teraz cud już nie mógł się zdarzyć, nie było więc sensu wysiadywać w nowym domu, który Garrickowi jeszcze trudno było nazwać domem, i tonąć w żalu po kobiecie, która umarła przed dwoma tygodniami. Johnny nie zrozumiał tego, co Garrick próbował mu powiedzieć o matce, więc pozostawił sprawy własnemu biegowi.

Poza tym człowiek zatrudniony do obsługi maszyny drukarskiej spóźnił się z przyjazdem, prawdopodobnie z powodu ostatnich deszczów, a Garrick nie chciał, żeby po dotarciu do Gillespie Springs szukał go po całym miasteczku. Dlatego pocałował syna na do widzenia, powiedział Jowicie Mendez, że prawdopodobnie

wróci dopiero na kolację, i wyszedł z domu. Po drodze kupił w sklepie czarną opaskę żałobną na ramię, dał jednak wymijającą odpowiedź na pytanie, kto umarł.

Siedział w redakcji już od trzech godzin i przez ten czas zdążył napisać kilka niewielkich artykułów o miejscowych wydarzeniach. Nie miał jednak pojęcia, czy drukarz przyjedzie Odpowiednio szybko, by brudnopisy nie stały się przebrzmiałą nowością.

Gdyby sam umiał obsłużyć maszynę drukarską... Spojrzał z rezygnacją na to przekłete monstrum.

A co będzie, jeśli ten M.L. Harper rozmyślił się i wcale nie jedzie do Gillespie Springs?

Przy takiej wilgoci w powietrzu Garrickowi doskwierał pulsujący ból amputowanej nogi. Boże, przysięgłby, że czuje, jak palce zaciskają mu się z bólu. Obandażowany kikut był obrzmiały i poobcierany przez rodzaj skórzanej uprząży, która łączyła go z drewnianą kończyną.

Nagle zadźwięczał dzwonek nad drzwiami. Garrick podniósł wzrok i ujrzał wchodzącą kobietę. Nigdy przedtem jej nie widział, choć zdawało mu się, że przez dwa miesiące pobytu w Gillespie Springs zdążył już tu wszystkich poznać. Kobieta była ubrana w podróżny, rudobrazowy kostium, zdobiony aksamitnymi obszyciami. Ma głowie miała uroczy kapelusik przybrany szeroką tasiemką w kolorze kostiumu, na którą nałożona była węższa czarna aksamitka.

Jednak to nie kapelusz zwrócił uwagę Garricka, lecz płomienne kosmyki, które wydostawały się spod niego. Jeszcze nigdy nie widział włosów w tym odcieniu. Gdy kobieta odwróciła się do niego profilem, zauważył, że włosy ma skromnie zebrane z tyłu czarną tasiemką, ale pod woalką kłębią się nieposkromione loki, w których odbijają się promienie słońca, wpadające przez okno.

Duże, zielone oczy przyglądały mu się ze zdziwieniem. Nie mógł jednak zrozumieć, co w nim jest niezwykłego. Jeszcze się nie poruszył, więc na pewno nie zwrócił uwagi niezgrabnym chodem.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - spytał. Najwyraźniej kobieta zablądziła, choć Garrick nie miał pojęcia, jak można zablądzić w takiej miejscinie jak Gillespie Springs. Z eleganckiego wyglądu kobiety wywnioskował, że szuka modystki. Cóż, mógł tylko życzyć Phoebe Stone wszystkiego najlepszego z nową klientką. Może była to krewna burmistrza, która przyjechała z krótką wizytą?

- Chyba raczej ja mogę panu pomóc, panie Devlin - odrzekła i nieznacznie się uśmiechając, wyciągnęła do niego rękę w rękawiczce.

Jej północny akcent natychmiast wzbudził nieufność Garricka. Jankes, który postrzelił go w nogę, miał dokładnie taki sam akcent. Czasem w złych snach Garrick słyszał jego wołanie do kolegów: „Celowałem w serce, ale przynajmniej go trafiłem. Na pewno nie zabije już żadnego z naszych!" Wyprostował się i ujął laskę stojącą przy maszynie, po czym podszedł do kobiety, która zatrzymała się przy biurku. Jej wzrok przemknął po lasce, by po chwili wrócić do jego twarzy. Gdy zorientowała się, że zostało to zauważone, spłonęła rumieńcem.

Był przyzwyczajony do takich reakcji kobiet.

- Jestem Garrick Devlin - powiedział chłodno i spytał celowo burkliwym tonem: - A pani?

Zamrugła powiekami i przestała się uśmiechać, ale nadal wpatrywała się w jego twarz. Odrobinę wyprostowała plecy, jakby szykowała się do odparcia ataku.

- Jestem M. L. Harper, pański nowy drukarz. Przykro mi, że przyjechałam później, niż zapowiadałam, ale drogi między Austin a Gillespie Springs zamieniły się w jedno wielkie bajoro... - Na chwilę zawiesiła głos. - W każdym razie wreszcie dotarłam do celu i chętnie podejmę pracę, gdy tylko mi pan pokaże, gdzie mogę złożyć swoje rzeczy. O, widzę Washingtona! Nie jest to ostatni krzyk techniki, ale mam duże doświadczenie w obsłudze tej maszyny...

Mówiła i mówiła, jednak Garrick wciąż był myślami przy jej pierwszym zdaniu.

- M.L. Harper nie może być kobietą.

Uśmiech wrócił jej na twarz i tym razem miał odcień przekory.

- Nie lubię się sprzeczać z nowym pracodawcą, ale naprawdę jestem M. L. Harper, Margaret Louise Harper, sir. I chociaż niewątpliwie jestem również kobietą, to zapewniam pana, że mam duże doświadczenie w tej branży. Mój ojciec, zawiedziony brakiem męskiego potomka, postanowił nauczyć swoją jedynaczkę wszelkich tajników dziennikarstwa. Znam więc obowiązki drukarza, zecera i dziennikarza. Umieję robić znacznie więcej, niż tylko składać gazetę i kolorować drukowane materiały, do czego zazwyczaj dopuszcza się kobiety. Niech pan spojrzy - powiedziała, unosząc dłonie o długich, smukłych palcach. - Mam małe ręce, więc są zręczniejsze niż męskie. Zapewniam pana, że potrafię jednocześnie składać i justować szybciej niż mężczyzna.

- Banialuki pani opowiada - burknął Garrick, który wprawdzie nie miał pojęcia, na czym polega justowanie, ale w tej chwili zupełnie o to nie dbał. Za bardzo go rozzłościło, że został wyprowadzony w pole, w dodatku znowu przez kobietę.

Na tę nieuprzejmą odpowiedź zareagowała wymownym uniesieniem brwi, ale Garrick prędzej padłby trupem, niż zdecydowałby się przeprosić.

- Mówię prawdę. Ostatnio byłam prawą ręką ojca i pracowałam jako reporter w Austin...

- Pracowała pani w redakcji „Democratic Statesman”? - spytał zdziwiony. - W to nie uwierzę.

- Pracowałam we „Freedom's Voice” - odparła. Garrick pogardliwie wyduł wargi.

- Ach, w tym szmatławcu jankeskich spekulantów. Powinienem był się od razu domyślić.

- W naszych kręgach właśnie o „Statesmanie” nie mówiono inaczej jak rebeliancki szmatławiec - odcięła się natychmiast. - Niemniej jako dziennikarz przyjmuję każdą linię polityczną gazety. Mamy przecież wolność prasy, czyż nie? A pan zlecił mi przyjazd, żebym pomogła mu wydawać jego gazetę.

- Nie zleciłem przyjazdu ani Jankesowi, ani kobiecie - wycedził Garrick. - A pani jest i jednym, i drugim. - Pulsujący ból amputowanej nogi dokuczał mu coraz bardziej. - Okłamała mnie pani, a ja nie lubię kłamstw. Może więc pani wsiąść do dylizansu i wrócić do Austin, panno Harper. Nie podobają mi się Jankesi w Teksasie. Obsiedli nasz kraj niczym szarańcza.

- Czy przeszkadza panu tylko moje pochodzenie, czy również płeć? Czy przyjąłby mnie pan do pracy, gdybym miała śliczny południowy akcent? - Zaraz też pokazała mu, jak sobie wyobraża teksański falset, pytając: - Och, serdecznie przepraszam, czy mógłby mnie pan zatrudnić?

Garrick wpadł we wściekłość. Nie dość, że jest to kobieta, nie dość, że kłamie, to jeszcze z niego drwi!

- Panno Harper! - wybuchnął. - Porządne kobiety z Południa siedzą w domach i pilnują własnego nosa, więc nie potrafię sobie wyobrazić, by którakolwiek z nich mogła postawić takie pytanie. Pani nie siedzi w domu i nie robi na drutach, wnioskuje więc, że albo Jankesi mają inne poglądy na zachowanie porządných kobiet, albo nie jest pani porządną kobietą. Jaka inna przyczyna mogłaby panią skłonić do opuszczenia zacisza domowego i ojca? Poza tym rzeczywiście widzę dwie główne przeszkody w przyjęciu kogokolwiek do pracy: bycie Jankesem i bycie kobietą. Dlatego proszę wziąć swoje sakwojaże i wynieść się stąd raz na zawsze. Pani ziomkowie pozbawili mnie nogi i nie zniosę pani obecności w tym miejscu. Rozumie pani?!

Młoda kobieta zamrugła powiekami, jakby z trudem powstrzymywała łzy, więc Garrick na chwilę nawet się zawstydził. Zaraz jednak zobaczył, że panna Harper dumnie się prostuje.

- Przy swoim braku doświadczenia, panie Devlin, nie wie pan, że większość mężczyzn pracujących w tej branży ma niefortunną skłonność do picia w pracy i zwyczaj szukania sobie nowego zajęcia natychmiast, gdy tylko pracodawca nabierze do nich zaufania. Powody mojego wyjazdu z domu nie powinny pana interesować.

Wystarczy, jeśli powiem, że postanowiłam się usamodzielnąć. Pan podobno potrzebuje drukarza do tej maszyny - wskazała Washingtona. - Mogę nim być. Przecież widzę, że pan nie wie, jak się obsługuje maszynę drukarską, Czy chce pan z uporem trzymać się swoich skostniałych przekonań, czy wydawać gazetę?

Z podziwem patrzył na tę kobietę, która bynajmniej nie ustępowała mu pola. Pomięła milczeniem jego paskudną insynuację o kwalifikacjach moralnych i po prostu konkretnie wyłożyła mu, co umie. Ale tak czy owak, nie zamierzał dopuścić do tego, żeby Jankeska obsługiwała jego maszynę!

W tej chwili ich starcie przerwał zdyszany Hank Sweeney, miejscowy telegrafista, który najwyraźniej przybiegł, ile tchu w płucach, ze stacji telegrafu, znajdującej się za łaźnią.

- Proszę to przeczytać, panie Devlin! Najświeższe wiadomości z Austin! - powiedział i rzucił na biurko kartkę papieru, dokładnie między Garricka a Maggie.

- „Radykalni republikanie wybierają E. J. Davisa na swego kandydata w wyborach gubernatora” - przeczytał Garrick słowa napisane przez Sweeneya obok kresek i kropek. - „Ich sprzymierzeniec, generał Reynolds, jest doradcą prezydenta Granta”. Co za hańba! Żaden szanujący się człowiek w Teksasie nie będzie głosował na tego zaprzańca. Ale skoro poparł go jankeski generał, to już właściwie wygrał.- Czy nie chciałby pan opublikować tej wiadomości, panie Devlin? - odezwała się wyzywająco Maggie. - Czy potrafi pan sobie wyobrazić, jak wyglądałby taki nagłówek w pierwszym wydaniu „Gillespie Springs Gazette”? Inne artykuły ma pan przygotowane, prawda? - spytała, wskazując plik kartek pokrytych jego bazgrołami. - Wystarczy jedno słowo, panie Devlin, a będziemy mieli gazetę na rano, może nawet wcześniej. Nie położę się spać, póki wszystkiego nie wydrukuję. Czy chce pan dalej robić dumne miny i pozwolić, żebym odeszła, czy woli pan od dziś być wydawcą gazety, która naprawdę istnieje?

Do pioruna, złapała go na haczyk i dobrze o tym wiedziała. Niech diabli wezmą te jej zielone oczy. Gdyby teraz kazał jej się wynieść, mogłyby minąć długie

tygodnie, nim znalazłby mężczyznę umiejącego obsługiwać maszynę drukarską. Do tej pory wybór Davisa przestałby być nowością, a ile ekscytujących nowości mogło się wkrótce zdarzyć w okolicy! Poza tym rada miejska bardzo naciskała na Garricka, żeby wreszcie rozpoczął wydawanie gazety, bo chciała jak najszerzej informować o wszystkim, co się dzieje w Gillespie Springs.

- Ilu osobom już o tym powiedziałaś, Sweeney? - spytał telegrafistę.

- Jeszcze nikomu, panie Devlin - odpowiedział młody człowiek. Widać było, że nie kłamie.

- No, widzi pan? Pierwsze wydanie gazety sprzeda się jak gorące bułeczki - wtrąciła Maggie. - Niech mi pan da szansę, panie Devlin. Zrobię pierwszy numer, a pan przekona się, ile umiem. Jeśli uzna pan, że nie jestem taka dobra, jak mówię, wyjadę z Gillespie Springs następnym dyliżansem, do nikogo nie żywiąc urazy. Słowo daję. Proszę, panie Devlin.

Spojrzał na nią i zrozumiał, że ta kobieta nienawidzi błagać. Przez chwilę upajał się pozycją człowieka, który może ją do tego zmusić. Ale kiedy dostrzegł w głębi zielonych oczu cierpienie i lęk, bardzo się zawstydził.

- Dobrze, panno Harper. Zatrudnię panią na próbę, a potem zobaczymy. Rozumiemy się? Jeśli nie będziemy mogli znaleźć wspólnego języka, to pani wyjedzie. - Jednak ani przez chwilę nie wierzył jej zapewnieniu. Niemożliwe, żeby ktoś, kto ma takie rude włosy i zielone oczy i w dodatku tak dumnie unosi podbródek, wyjechał bez cienia urazy. Wiedział, że jeśli pozwoli zostać tej upartej, zuchwałej Jankesce, która z pewnością nie jest porządną kobietą, to większość czasu będą tracić na próby sił. Musiał jej przecież pokazać, kto tu rządzi. Ale bardzo chciał wydać pierwszy numer gazety i przekazać ludziom nowinę, a skoro nie miał innego sposobu, jak pogodzić się z obecnością tej Jankeski, przynajmniej tymczasem, to trudno, był gotów się poświęcić.

- Sweeney, czy mogę liczyć na to, że nie rozpaplasz nowiny po mieście do jutrzejszego ranka, czyli zanim wyjdzie gazeta?

- Naturalnie, panie Devlin - zapewnił telegrafista. - Umowa stoi, pod warunkiem, że da mi pan jeden z pierwszych egzemplarzy gazety, prosto z maszyny.

- Czy to znaczy, że mogę wziąć się do pracy, panie Devlin? - spytała z podnieceniem Maggie. Wyciągnęła ku niemu rękę, najwyraźniej oczekując uścisku na potwierdzenie umowy. - Nie pożałuje pan. Obiecuję.

Garrick był pewien czegoś wręcz przeciwnego, ale już nie mógł się wycofać. Nieco oszołomiony uścisnął rękę Margaret Harper i właśnie wtedy znowu rozległ się dzwonek nad drzwiami, a znajomy głos zawołał:

- Tata, popatrz! Przynieśliśmy ci obiad!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Maggie odwróciła się i zobaczyła małego chłopca, wciągającego przez próg koszyk przykryty serwetką. Za nim szła krzepka Meksykanka ze szpakowatymi włosami, rozbawiona wysiłkami dziecka.

Chłopiec był śliczny - niebieskie oczy, tak samo bystre i przenikliwe jak oczy Devlina, radośnie błyszczały, gdy podawał koszyk mężczyźnie, którego nazwał tatą. A więc Garrick Devlin jest ojcem... Ciekawe, kto jest matką tego uroczonego stworzenia, bo przecież chyba nie ta Meksykanka?

- Miał pan wrócić dopiero na kolację, senior Devlin, i martwiliśmy się z Johnnym, że pan zgłodnieje - powiedziała z uśmiechem Meksykanka. - Dlatego zapakowaliśmy dla pana przekąskę.

Maggie zauważyła, że twarz Devlina, do tej pory nieufna i podejrzliwa, zmieniła się jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej, gdy tylko jego spojrzenie padło na syna. Mężczyzna zrobił kilka kroków, wspierając się na lasce, i niezgrabnie przykląkł przed chłopcem, całkiem zapominając o obecności Maggie.

- Dziękuję, Johnny. To bardzo miło, że o mnie pomyślałeś - powiedział. - Jednak obawiam się, że obiad musi chwilę poczekać. Muszę teraz iść z panem Sweeneyem na stację telegrafii, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o ciekawym zdarzeniu, które będę mógł opisać w gazecie. Chłopiec posmutniał.

- Ale ja chciałem zjeść razem z tobą, tato. Jowita zapakowała mnóstwo jedzenia...

Devlin wydawał się zakłopotany.

- Johnny - próbował tłumaczyć - nie mogę zjeść w tej chwili. Wiem, że tego nie zrozumiesz, ale muszę teraz zrobić co innego. Może jutro uda nam się razem wybrać na piknik?

- Panie Devlin, jeśli mogę coś zaproponować... - włączyła się do rozmowy Maggie. Nie pozwoliła mu się zniechęcić gniewnym grymasem. - Pan pójdzie zatelegrafować, a my tymczasem przygotujemy tutaj przekąskę. Potem, czekając na odpowiedź, może pan zjeść w redakcji razem z synem. Czy to dobry pomysł? - spytała, uśmiechając się do niego życzliwie.

Wściekłym spojrzeniem wyraźnie dał jej do zrozumienia, co sądzi o wtrącaniu się do cudzych spraw, ale w tej samej chwili Johnny pisnął:

- Tato, kto to jest ta ładna pani? Ona śmisznie mówi, prawda?

- Śmiesznie, nie śmisznie - poprawił go Devlin. - Ale niegrzecznie jest tak się odzywać. To panna Margaret Harper. Będzie... - Maggie widziała, jak Garrick Devlin walczy ze sobą, starając się zachować spokój. - Będzie u mnie pracować na próbę jako drukarz.

Maggie zobaczyła błysk zdziwienia w czarnych oczach Meksykanki, zaraz jednak jego miejsce zajęło rozbawienie.

- Witamy, seniorita Harper. Ma pani rację. Senior Devlin powinien zrobić właśnie tak, jak pani mówi. *Andele*, senior Devlin. Zanim pan wróci, jedzenie będzie gotowe. Proszę się nie martwić, dla pana nowej pracownicy też wystarczy.

Johnny spojrział z niepokojem na ojca.

Maggie zauważyła już, że Garrick Devlin nie znosi, kiedy kobieta dyktuje mu, co ma robić, widocznie miał jednak swoje powody, by wobec Jowity zachować powściągliwość.

- Dobrze - odparł, siląc się na uprzejmy ton. Chłopiec radośnie zapiszczał. Garrick Devlin obrzucił Maggie karcącym spojrzeniem i zwrócił się do telegrafisty: - Sweeney, idź pierwszy, zaraz do ciebie dołączę. - Począł, aż tamten znajdzie się dostatecznie daleko, by nie mógł go usłyszeć, po czym powiedział: - Panno Harper, proszę na chwilę na zewnątrz. Przed pójściem do stacji telegrafu chcę wydać pani kilka poleceń.

Skinęła głową i razem z nim wyszła za drzwi.

Garrick przystanął dopiero wtedy, gdy znaleźli się kilkanaście metrów od budynku redakcji. Po drodze ani razu się nie obejrzał, żeby sprawdzić, czy Maggie za nim idzie. Przez cały czas oglądała więc jego plecy i niezgrabny, sztywny chód. Wreszcie jednak się odwrócił i oświadczył kategorycznym tonem:

- Panno Harper, jeśli chce pani dla mnie pracować, nie może się więcej powtórzyć to, co zrobiła pani przed chwilą.

- A co ja takiego zrobiłam? - spytała, szybko rozważając, jaką przyjąć linię obrony, żeby nie stracić ani pracy, ani szacunku dla siebie.

- Nie udawaj przede mną głupiej, kobieto. Nie zatrudniam głupich ludzi - odparł opryskliwie. - Chodzi mi o wtrącanie się do moich spraw. Wiem, że wy, Jankesi, macie wtrącanie się w naturze, tak samo jak oddychanie, ale jeśli chce pani tutaj zostać, to ma pani trzymać swój jankeski nos z dala od moich spraw. Czy to jasne?

- Tak, proszę pana - wycedziła przez zęby.

Garrick Devlin mruknął jeszcze coś niezrozumiałego i odszedł.

Do diabła z tym człowiekiem! Nawet nie pozwolił jej przedstawić swojego stanowiska. Chciała mu wyjaśnić, dlaczego tak postąpiła, powiedzieć: „Przepraszam, ale nie mogłam znieść rozczarowania chłopca, a na odpowiedź i tak trzeba poczekać,

więc naprawdę mógłby pan w tym czasie usiąść i coś zjeść".

Zaciskając dłonie ze złości, odwróciła się i ruszyła z powrotem do redakcji.

Jowita właśnie rozkładała obrus na stole w głębi pomieszczenia. Chłopiec kręcił się dookoła. Na widok Maggie podskoczył i zawołał:

- Będziemy mieli piknik! Ja, tata, Jowita i ładna pani!

- Będziemy, będziemy - potwierdziła Jowita z uśmiechem. - Może popatrzysz przez okno i dasz nam znać, kiedy tata będzie wracał, a my z panną Harper nakryjemy tymczasem stół.

Był to znakomity sposób na to, żeby dziecko nie upuściło żadnego talerza czy dzbanka z lemoniadą. Johnny zajął miejsce przy oknie i zaczął obserwować drogę ze stacji telegrafu.

- Proszę mówić do mnie po imieniu - zwróciła się Maggie do Meksykanki, podchodząc do stołu, żeby pomóc jej w nakrywaniu. Zobaczyła smażone kurczę, herbatniki, miskę fasoli i placek brzoskwiniowy.

- Zgoda, Maggie. - Jowita przesłała jej ciepły uśmiech. - A więc senior, który napisał do pana Devlina, okazał się senioritą. Dobry żart, prawda?

- Nie - odparła smutno Maggie. - Byłam pewna, że on nie przyjmie mnie do pracy, jeśli będzie wcześniej wiedział, że jestem kobietą. I tak jest na mnie zły, nie tylko z powodu płci, lecz również dlatego, że jestem z Północy.

- Przejdzie mu - uspokoiła ją Jowita. Oczy jej się śmiały.

- Tylko musi zobaczyć, że pani dobrze pracuje.

- Och, mam taki zamiar - zapewniła ją Maggie, podniesiona na duchu.

Kątem oka zerknęła na Johnny'ego, ale chłopiec był zajęty oglądaniem świerszcza, który maszerował po szybie tuż przed jego nosem.

Zniżyła głos:

- Póki pana Devlina nie ma, chciałam spytać, po kim nosi żałobną opaskę. I dlaczego jest taki... opryskliwy?

Przez twarz Jowity przemknął cień. Również ona sprawdziła, czy Johnny nie

zwraca na nie uwagi, i dopiero potem odszepnęła:

- Nosi żałobę po żonie. Umarła już dość dawno, ale on dowiedział się o tym dopiero wczoraj. To była głupia kobieta. Uciekła od niego.

Maggie otworzyła usta ze zdumienia.

- Zostawiła go? I dziecko też? - Teraz zrozumiała, skąd wziął się gniew, który słyszała w głosie Devlina, gdy z nią rozmawiał. Jej pracodawca jeszcze nie pogodził się z losem, a ze smutkiem mieszała się całkiem słuszna złość na kobietę, która go zdradziła.

Och, Maggie, jaka nagle stałaś się bystra, zakpiła z siebie w duchu. A przecież byłaś ślepa na to, jakim człowiekiem jest Richard Burke, i zorientowałaś się dopiero wtedy, kiedy było już za późno. Może Garrick Devlin zamienił życie tej kobiety w piekło i tak samo tobie uprzykrzy życie, kiedy będziesz dla niego pracować? Ale nie wiadomo dlaczego była przekonana, że w tym, co zaszło między Garrickiem a żoną, nie było jego winy, mimo że bez wątpienia miał niełatwy charakter.

- Wielkie nieba - jęknęła. Nie mogła przyjechać w gorszej chwili.

- Myślę, że on wcale nie chce być taki opryskliwy - powiedziała Jowita, dla pocieszenia kładąc Maggie rękę na ramieniu. - To nie pani zawiniła, tylko jego żona, wojna... On stracił nogę na wojnie, wie pani o tym, prawda?

- Tak, powiedział mi. Meksykanka wzruszyła ramionami.

- To jeszcze nie wszystko. Długo nie widział syna. - Teraz muszą się do siebie przyzwyczaić, pani rozumie.

- Rozumiem - bąknęła Maggie.

- Jego brat, Cal, który jest tu szeryfem, dużo mi opowiadał o tej jego żonie - dodała Jowita. - Niech go pani kiedyś sama zapyta, *si?*

- Och, to nie moja sprawa - odparła zakłopotana Maggie, ale Jowita nie wydawała się przekonana.

- Nigdy nie była pani mężatką, seniorita? - spytała po chwili.

Zmiana tematu zaskoczyła Maggie.

- Nie - powiedziała, czuła jednak, że się czerwieni. Powinna być teraz panią Burke, przynajmniej tak jej się kiedyś zdawało.

- Ale ma pani sympatię, prawda? Pewnie stamtąd, skąd pani pochodzi.

- Nie - odparła Maggie trochę za szybko. - To znaczy miałam kogoś... ale już... już się nie spotykamy.

- Aha.

Maggie obawiała się następnych pytań i próbowała wymyślić, w jaki sposób grzecznie się od nich wykręcić, gdy nagle Johnny zaczął podskakiwać i wołać, że tata idzie ulicą. Zaraz potem w progu stanął Garrick Devlin.

- Wszystko gotowe, senior - powiedziała Jowita, wskazując nakryty stół. - Może pan siadać i jeść, seniorita Maggie i Johnny też. Czy udało się panu zatelegrafować?

- Tak - mruknął, nie spuszczać oczu z Maggie, która poczuła się jak królik osaczony przez pumę. Przez ranną, rozdrażnioną pumę.

- Nawet nie śniłoby mi się przeszkadzać panu w obiedzie z synem, sir - zapewniła go i zauważyła, że jego twarz trochę złagodniała. - Czy w hotelu można zjeść lunch?

- Nie ma sensu, żeby pani jadła w hotelu! Jedzenia jest aż nadto dla was trojga. Zje pani tutaj, seniorita Maggie - zdecydowała Jowita. - Senior, idę po zakupy - zwróciła się do Devlina. - Zostawię tu Johnny'ego, żeby zjadł, a potem po niego wrócę, *si*? Będzie pan mógł nacieszyć się synem i poznać nową pracownicę - dodała z przewrotnym błyskiem w oku, po czym skierowała się do drzwi.

- Nie zostajesz, Jowito? - zdziwił się Garrick. - Ale... - Nie zdążył nic więcej powiedzieć, bo dzwonek oznajmił, że drzwi zostały zamknięte.

- Jedzmy, tato! Ładna pani może usiąść koło mnie! - zawołał chłopiec, spoglądając to na ojca, to na Maggie. - Niech pani tutaj usiądzie!

- Możesz nazywać mnie panną Maggie, Johnny - powiedziała z uśmiechem, a potem zwróciła się do jego ojca: - To nie jest konieczne, panie Devlin. Naprawdę

mogę iść do hotelu...

- Nie ma mowy, panno Harper - sprzeciwił się Garrick i wzrokiem dał jej do zrozumienia, by nie próbowała już protestować w obecności chłopca, który bacznie obserwował wszystko, co się między nimi działo. - Niech pani siądzie obok Johnny'ego. I tak muszę pani powiedzieć, jak zamierzam prowadzić tę gazetę, więc możemy porozmawiać przy obiedzie.

To szorstkie zaproszenie wraz z gestem, który mu towarzyszył, stawiało pod dużym znakiem zapytania powszechne przekonanie o gościnności ludzi z Południa.

Widocznie ta gościnność jest zarezerwowana tylko dla swoich, pomyślała smutno Maggie.

Wszystko jedno, Garrick Devlin był po prostu jej pracodawcą. Nawet jeśli jej nie lubił, to przynajmniej mały Johnny wydawał się bardzo rozemocjonowany tym, że będzie towarzyszyła przy stole jemu i jego tacie. Chłopiec usiadł między nimi i wziął do ręki udko kurczęcia.

- Poczekaj, Johnny. Czy nie uczyłem cię, że najpierw musimy podziękować za to, że mamy co jeść?

Zanim Maggie pochyliła głowę, zauważyła jeszcze, że mały posłusznie wstaje i mocno zaciska powieki. Potem wysłuchiwała krótkiego błogosławieństwa wypowiedzianego z południowym akcentem przez Devlina.

Ma bardzo miły głos, chociaż jest taki drażliwy, pomyślała. Potem otworzyła oczy i stwierdziła, że Garrick jej się przygląda.

- Częstujcie się teraz kurczakiem. Proszę bardzo, Johnny, panno Harper - powiedział, nie odrywając od niej wzroku. - Musi mi pani wybaczyć braki w elokwencji - dodał z ironią - ale rodzinnym kaznodzieją jest mój brat Cal i to on zwykle wypowiada błogosławieństwo.

- Czy on nie jest przypadkiem szeryfem? Wspominała o tym Jowita. - Gdy pan Devlin uniósł brwi, zrozumiała, że znów powiedziała nie to, co trzeba. Schyliła głowę i zajęła się kurczakiem.

- Widzę, że moja gospodyni już zapoznała panią z historią rodziny. Gdyby nie było mnie jeszcze pięć minut dłużej, bez wątpienia zdążyłaby pani rozwiązać wszystkie moje problemy.

- Nie, panie Devlin. Mnie... Uciszył ją ruchem dłoni.

- Nieważne. To nie tajemnica, że mój brat Caleb jest szeryfem tego miasteczka, ale przed wojną był kaznodzieją. Pani prawdopodobnie doskonale się z nim dogada, bo walczył po stronie Jankesów, zamiast w szeregach Południa.

Maggie postanowiła nie dać Devlinowi satysfakcji i nie okazać zaciekawienia. Ułatwił jej to Johnny.

- Ja lubię wujka Cala... i ciocię Livy też! - oznajmił, wymachując kością jak batutą. - I lubię babcię, i ciocię Annie, i wujka Sama, i ciocię Mercy. A ciocia Mercy będzie miała dziecko! I lubię mojego kotka!

- Masz wielką rodzinę do lubienia, Johnny - powiedziała Maggie, w duszy mu tego zazdrosząc. Odkąd zmarła jej matka, został jej tylko ojciec, wiecznie nieobecny myślami. Czasem miała wrażenie, że James Harper pamięta o jej istnieniu tylko wtedy, gdy razem robią coś w redakcji. Johnny zabrał się do ogryzania następnego udka, a Maggie zwróciła się do Devlina:

- Jak to się stało, że postanowił pan prowadzić gazetę?

- Znudziło mnie wygrywanie wszystkich możliwych wyścigów w hrabstwie Brazos, panno Harper - wyjaśnił z sarkazmem, wskazując swoją drewnianą nogę, sztywno wyciągniętą w bok.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Słyszając ten sarkazm, Maggie poczuła się tak, jakby ją spoliczkowano. Przez chwilę nie mogła złapać tchu, a potem wpadła w złość. Gdyby nie było z nimi Johnny'ego, wygarnęłaby temu człowiekowi od serca i poszła sprawdzić, kiedy odjeżdża najbliższy dylizans do Austin. Ale Johnny siedział przy stole i jego obecność podziałała na nią uspokajająco. Postanowiła, że nie pozwoli się sprowokować do wyjazdu. Nie teraz, przed rozpoczęciem pracy.

- Ma pan bardzo oryginalny sposób mówienia komuś, że wtrąca się do nie swoich spraw, panie Devlin - odparła z udaną obojętnością, żeby chłopiec nie zauważył narastającego napięcia. - Skoro tak, to może mi pan powie, jakie cele stawia pan swojej gazecie i jaką linię pan dla niej przewiduje.

Zamrugnął powiekami, najwidoczniej zdziwiony jej opanowaniem. Punkt dla mnie, pomyślała Maggie, ale nie wyobrażaj sobie, człowieku, że wykażę tyle samo opanowania, kiedy dziecka nie będzie w pobliżu. Nie na darmo mam rude włosy.

- Jakie cele i jaką linię? - Garrick zmienił pozycję na krześle i zetknął palce, ustawiając namiot z dłoni. - Ma to być gazeta godna swojej nazwy. Powinna demaskować łotrostwo jankeskich spekulantów, którzy splamili naszą teksańską ziemię, i plagę republikańskich zaprzańców, którzy sprzedaliby wszystko, nawet Teksas. Poczerwieniała, zorientowała się bowiem, że Devlin znowu ją prowokuje.

- Innymi słowy: „Ma rację czy błędzi, to jednak mój Teksas!” Czy takie jest pana credo? - spytała.

- Właśnie takie, panno Harper. Johnny, nie wolno ci ruszyć placka, dopóki nie zjesz trochę fasoli - powiedział stanowczo Devlin, synek bowiem skorzystał z jego nieuwagi i próbował sięgnąć po wielki kawałek ciasta.

Malec naburmuszył się.

- Czy panna Maggie też musi zjeść fasolę?

- Oczywiście, Johnny - powiedziała Maggie z uśmiechem. - Tam, skąd pochodzę, nie ma takiej fasoli, a mnie ona bardzo smakuje.

Chłopiec wydał się mocno zainteresowany.

- Nie ma nakrapianej fasoli? - spytał z niedowierzaniem.

- Johnny, skończ jeść i pozwól pannie Harper porozmawiać ze mną - zniecierpliwiał się Devlin. - Panno Harper, chciałbym, żeby gazeta miała motto: „Prawda dla Teksasu”. Co pani o nim sądzi?

Czy jemu zdarza się czasem ustąpić?

- W gruncie rzeczy uważam, że wszystkie gazety powinny publikować wyłącznie prawdę, sir. Jestem ciekawa, jaki jest kapitał bieżący „Gillespie Springs Gazette”, jeśli wybaczy mi pan to pytanie.

- Chce pani spytać, jak wiąże koniec z końcem od czasu, gdy wprowadzili się tu Jankesi i podatki skoczyły jak szalone? O, to nie jest łatwe, panno Harper, ale podobnie jak wszyscy zdradzieccy rebelianci, mam trochę srebra zakopanego na podwórzu.

Nie była pewna, czy dobrze interpretuje ten ton, wydało jej się jednak, że pan Devlin znowu posłużył się gryzącą ironią.

- W porządku, ale mnie chodzi o to, jak wygląda kapitał bieżący.

Zamrugnął powiekami.

- Słucham, panno Harper?

- Kapitał bieżący - powtórzyła. - Wie pan, koszty prowadzenia gazety.

Pieniądze, za które kupuje pan farbę drukarską, papier, płaci za naprawy maszyny drukarskiej, która tu stoi, i tak dalej. Widzę, że ma pan dość zapasów na początek... - Wskazała czarnego Washingtona i regał, który wypełniały kaszty z czcionkami, bele papieru i butelki farby drukarskiej. Musiał niemało zapłacić za tę maszynę, pomyślała, i próbowała zgadnąć, skąd wziął na to pieniądze. Po wojnie żaden z byłych secesjonistów nie miał pieniędzy, a strój Garricka Devlina, choć czysty i schludny, był daleki od obowiązującej mody.

- Będę miał pieniądze ze sprzedaży gazety - odpowiedział dość zdziwionym tonem. - Prawdopodobnie od czasu do czasu trzeba będzie zamieścić ogłoszenie miejscowego sklepu, wydrukować list gończy dla mojego brata, szeryfa, albo program, kiedy burmistrz Long będzie się starał o ponowny wybór. Zamierzam jednak chronić gazetę przed wpływami tych, którzy będą kupować ogłoszenia, panno Harper. O wiele ważniejsze jest poświęcenie miejsca demaskowaniu zła, niszczącego Teksas...

- To wzniosłe ideały, panie Devlin, ale jako doświadczona dziennikarka muszę panu powiedzieć, że gazeta szybko zacznie cierpieć na brak gotówki, jeśli wierzy pan, że można ją będzie utrzymać wyłącznie ze sprzedaży nakładu. Ile zamierza pan brać za jeden egzemplarz? Pięć centów? To małe miasto, więc nawet jeśli wszyscy zaprenumerują gazetę, nie starczy panu pieniędzy na bieżące koszty. Nie, moim zdaniem musi pan przeznaczyć część gazety na ogłoszenia i publikować je regularnie. Większość gazet drukuje jedno ogłoszenie przynajmniej przez sześć tygodni, co nie jest trudne, jeśli wykonuje się stereotypy, drzeworyty wycinane na klockach, których dostarczają producenci leków. Poza tym w ciągu dnia powinien się pan zajmować różnymi pracami drukarskimi na zamówienie. Gazetę zawsze można wydrukować w nocy.

Devlin wydawał się oszołomiony ogromem informacji i Maggie widziała, że panowanie nad sobą przychodzi mu z trudem;

- Na nieśmiałość w wyrażaniu poglądów z pewnością nie może pani narzekać, panno Harper - powiedział w końcu. - Dobrze, będę sprzedawał ogłoszenia. Przypuszczam, że właściciel sklepu chętnie z tego skorzysta. Mamy tu też modystkę, fryzjera, no i naturalnie doktor Broughton zawsze wciska ludziom jakąś miksturę. Dobrze, Johnny, skoro zjadłeś fasolę, teraz możesz wziąć kawałek ciasta. Poczekaj, zaraz ci ukroję.

Maggie uznała, że nie należy niweczyć optymizmu Devlina za jednym zamachem. Rzecz jasna nie zdążyła jeszcze poznać przedsiębiorców z Gillespie

Springs, ale z jej doświadczeń wynikało, że drobni kupcy nie widzą potrzeby zamieszczania ogłoszeń o swojej działalności, jeśli na przestrzeni wielu kilometrów nie mają konkurencji.

Właśnie miała zadać następne pytanie, gdy Devlin znów się odezwał:- Dzisiaj jest wtorek. Jeśli uda nam się przygotować pierwszy numer na jutro, ustalimy, że gazeta wychodzi co środa.

Skinęła głową, zadowolona, że wreszcie skupili się na pracy.

- W liście wspomniał pan, że na górze jest pokój, który będę mogła zająć. Czy te schody w rogu prowadzą właśnie do niego?

- Tak, ale wtedy nie wiedziałem, że pani jest kobietą - odparł Devlin. - Teraz naturalnie nie ma mowy o tym, żeby pani tam mieszkała. Może pani wynająć pokój w pensjonacie przy North Street.

Maggie zrobiła zdziwioną minę.

- Dlaczego nie miałabym zamieszkać tutaj? Zakwaterowanie stanowiło część umowy, panie Devlin. Wątpię, czy będzie mnie stać na pensjonat przy takiej zapłacie, na jaką się umówiliśmy - powiedziała szczerze. - Chociaż nie płaci mi pan pięćdziesięciu centów za godzinę, jakie zarabia każdy drukarz mężczyzna na Wschodzie, to chciałabym trochę odłożyć. Wbrew temu, co pan sądzi, nie wszyscy Jankesi są od urodzenia bogaci.

- Samotna kobieta nie może mieszkać tu, na górze! To byłoby w najwyższym stopniu niestosowne!

- Bzdura. Mogę zamknąć drzwi na klucz, prawda? A pokój nad redakcją bardzo się przyda, kiedy będziemy przez całą noc zajęci, tak jak prawdopodobnie dzisiaj.

Rozbawiło ją, że Devlin się zaczerwienił.

- Panno Harper, być może wszystkie jankeskie kobiety mają tyle śmiałości co pani, ale proszę pamiętać, że jest z nami Johnny.

- Przecież nie powiedziałam nic złego. Gazety przeważnie drukuje się w nocy,

więc...- Dobrze już, dobrze - przerwał jej. - Tylko niech pani uważa na swoje słowa. O, jesteś, Sweeney - zwrócił się do telegrafisty, który znów pojawił się w redakcji. - Czy dostałeś odpowiedź ze swojego źródła w Austin?

- Tak, mam mnóstwo szczegółów, panie Devlin - z dumą odpowiedział młody człowiek. - Ludzie w mieście będą mieli o czym gadać, to pewne jak sto diabłów! - Dopiero wtedy uświadomił sobie, że w pomieszczeniu są również Maggie i dziecko i zasłonił usta dłonią.

- Och, przepraszam panią.

- Nic się nie stało - zapewniła go Maggie i wtedy nad drzwiami znowu zadźwięczał dzwonek. Wróciła Jowita.

- No, czas iść do domu - powiedziała i wyciągnęła rękę do Johnny'ego. - Utniesz sobie drzemkę, a potem pomożesz mi wymyślić, co zrobimy dla taty na kolację.

- Nie ma takiej potrzeby, Jowito. Nie wrócę dzisiaj na kolację. Mogę przyjść do domu bardzo późno.

- Ale senior musi jeść. I seniorita też.

- Obiecuję, że nie zapomnę nakarmić panny Harper. Przyniosę kanapki z hotelu albo wymyślę coś innego. A teraz idź już do domu z Johnnym, bo muszę zająć się gazetą.

Maggie wiedziała, że Devlin nie może się doczekać, kiedy wreszcie będzie mógł wziąć się do roboty. Być może miał wiele wad, ale zapалу mu nie brakowało i dlatego była gotowa niejedno mu wybaczyć. Dobrze pamiętała, jak ważne były dla niej artykuły, które pisała dla ojca. Naturalnie zanim poznała Richarda. Była ciekawa, czy pomagając człowiekowi, dla którego wojna secesyjna najwyraźniej jeszcze się nie skończyła, uda jej się odzyskać entuzjazm do pracy.

- Dobrze, proszę pana - odparła Jowita i zwróciła się do chłopca: - Tata musi dzisiaj długo pracować, więc może pójdziemy w odwiedziny do *tio* Cala i *tia* Livy?

- *Si*, Jowita. Słyszysz, tato? Ona uczy mnie mówić po meksykańsku! -

oświadczył z dumą Johnny.

- Słyszę, słyszę. Do zobaczenia później, synu - powiedział, ale myślał już o czym innym, bo wziął do ręki kartkę z kreskami i kropkami, zaopatrzoną w alfabetyczną transkrypcję tekstu, zrobioną przez młodego telegrafistę. - Dziękuję, Sweeney. Pamiętaj, żeby nie zdradzić nikomu ani słowa, zgoda?

- Może pan na mnie liczyć, panie Devlin. Miło mi było panią poznać, panno Harper.

- Mnie też było miło pana poznać, Sweeney. Dziękuję za przedsiębiorczość - dodała i zobaczyła, jak twarz wychodzącego Sweeneya pokraśniała z zadowolenia.

Została sama z Devlinem.

- Podbiła pani serca dwóch mężczyzn, mojego syna i Sweeneya - kwaśno stwierdził jej pracodawca. - Niech już pani przestanie trzepotać rzęsami i zanieś bagaże na górę, jeśli nadal chce tam pani mieszkać. Proszę się przebrać w coś, co może pani bez żalu pobrudzić farbą drukarską.

- Naprawdę nie wiem, o co panu chodzi - odparzyła. - Ale na wszelki wypadek obiecuję, że nie będę trzepotać rzęsami w pańskiej obecności. Proszę dać mi pięć minut na przebranie się i zaraz wrócę gotowa do pracy. - Wzięła dwa ciężkie sakwojaże i ruszyła ku schodom. Miała nadzieję, że pięć minut wystarczy im obojgu, by trochę ochłonęli, bo przecież mieli przed sobą mnóstwo pracy.

Pokój był mały i skromnie umeblowany. Stały w nim łóżko, komoda, taboret z dzbankiem i miską oraz jedno rachityczne, krzywonogie krzesło. Nad komodą wisiało zmatowiałe lustro. Jedyne okno wychodziło na boczną uliczkę, przy której stały domki, niektóre niewiele lepsze od zwykłej szopy. Nie był to imponujący widok. Maggie pomyślała, że musi postarać się o zasłony, żeby wieczorami mieć trochę prywatności. Nie wątpiła też, że w pokoiku, do którego o tej porze roku przez otwarte okno wpadały podmuchy orzeźwiającego wietrzyku, latem jest gorąco jak w piekle. Przynajmniej jednak miała go tylko dla siebie.

Zamknęła drzwi na zasuwkę, odstawiła sakwojaże na łóżko i wyjęła ubranie

robocze: dwuczęściową suknię w tak ciemnym odcieniu granatu, że tylko przy silnym świetle nie wydawała się czarna. Suknia miała za sobą niezliczone prania, za to plam z farby prawie nie było na niej widać. Stanąwszy z dala od okna, Maggie zdjęła kostium podróży i powiesiła go na drzwiach. Uznała, że wkładanie ubrań do szuflad komody może poczekać.

Ktoś przewidujący - choć trudno było jej wyobrazić sobie, że to Devlin - nalał wody do dzbanka, zwilżyła więc ręcznik i otarła sobie twarz. Gdy poczuła się nieco odświeżona, rozczesała włosy i splotła je z tyłu w warkocz.

Upinając warkocz z tyłu głowy, pomyślała, że jej nowy pracodawca jest niemal zupełnym przeciwieństwem życzliwego pana w średnim wieku, którego sobie wyobraziła. Spodziewała się mężczyzny w typie jej ojca, kogoś z równie pogodnym wyrazem twarzy, choć może mniej przystojnego. Garrick Devlin liczył sobie zapewne trzydzieści kilka, może nawet czterdzieści lat, jeśli sądzić po zmarszczkach przy oczach i wokół ust oraz śladach siwizny we włosach. Jednak drażliwy charakter mógł go postarzać. Twarz miał pociągłą, z ostrymi rysami, wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi, kształtnym nosem i przenikliwymi oczami, przypominającymi intensywnym odcieniem błękitu teksańskie niebo. Jego wargi wykrzywiały zwykle grymas arogancji, który dziwnie nie pasował do słabości sugerowanej przez laskę, zawsze trzymaną przez niego w zasięgu ręki.

Krótko mówiąc, była to twarz upartego, kłótliwego człowieka, a przynajmniej taką prezentował w rozmowie z Maggie. Ta sama twarz wyglądała zupełnie inaczej, gdy Devlin zwracał się do syna. Maggie przekonała się, że umie się wtedy uśmiechać i wydaje się dużo młodszy i bardziej przystępny. Z pewnym zaskoczeniem pomyślała, że tego drugiego Garricka Devlina może nawet nazwałaby przystojnym.

Mniejsza o to, już nie interesowali jej przystojni mężczyźni. Zależało jej tylko na tym, żeby jakoś ułożyć sobie współpracę z tym nieznośnym człowiekiem i żeby oboje byli dumni z gazety, która powstanie. Mogła go wiele nauczyć - pod warunkiem, że jej na to pozwoli. Niestety jej położenie nie było łatwe, ponieważ

Devlin miał w głębokiej pogardzie wszystko, co sobą reprezentowała. Mimo to postanowiła przynajmniej spróbować coś zrobić.

Nagle zorientowała się, że czas skończyć te rozmyślania i zejść na dół. Na pewno zabawiła w swoim pokoju ponad kwadrans.

- Nie spieszyło się pani - kwaśno stwierdził Devlin, choć nawet nie podniósł głowy, gdy stanęła u podnóża schodów. Był pochylony nad stołem, w prawej ręce trzymał ogryzek ołówka. Gdy podeszła, przekonała się, że zabazgrał już prawie całą stronę. Na chwilę przerwał pisanie, zerknął na kartkę od telegrafisty i znowu ołówek zaczął kreślić znaki na papierze.- Przepraszam pana. Myślałam...

- Proszę. - Wręczył jej zapisaną już kartkę papieru. - Może pani to złożyć.

Najpierw muszę się nauczyć czytać, co pan pisze, pomyślała ze złością, wpatrując się w pochyłe bazgroły. Było to zupełnie niepodobne do szablonowego pisma z listu do pana M.L. Harpera. Czyżby tamten list napisała mu miejscowa nauczycielka?

- Co się stało? - spytał, zerkając na nią. Ołówek upadł na biurko. - Czy mam rozumieć, że nie podoba się pani mój artykuł wstępny? Nie zatrudniłem pani do oceny moich poglądów, panno Harper. Płacę pani za obsługę maszyny.

- Nie o to chodzi, panie Devlin. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy mi się podoba artykuł, czy nie. Muszę mu się lepiej przyjrzeć. Będę pytać, kiedy okaże się, że nie umiem odcyfrować jakiegoś słowa - obiecała, robiąc unik przed dłonią Garricka, który chciał jej wyrwać kartkę.

Gdy stanęła przy oknie, powoli zaczęła rozróżniać litery i składać je w słowa, a potem w zdania, chociaż trudno jej było rozróżnić samogłoski, bo wszystkie zdawały się mieć jednakowy kształt pętliki. Na szczęście pochyłe, stawiane z wielkim zdecydowaniem znaki spółgłosek pozwalały jej się domyślić reszty.

Spojrzała na czcionki, ułożone w kasztach według stopni i krojów. Stwierdziła, że przynajmniej dziewięciopunktowy borgis, którego potrzebowała do większej części tekstu gazety, jest w porządku alfabetycznym. Zapisała w pamięci, by w

niedalekiej przyszłości poprzekładać czcionki zgodnie z zecerskim zwyczajem: wielkie litery alfabetycznie z prawej strony, małe litery po lewej - tak by najczęściej używane były w najłatwiej dostępnych miejscach. Zaczęła składać raczkującą gazetę od winietki, która wkrótce dumnie głosiła tłustym drukiem: „Gillespie Springs Gazette”. Tuż pod nią znalazło się motto: „Prawda dla Teksasu”, a jeszcze niżej data: 4 kwietnia 1869 roku i napis: Wydanie pierwsze, właściciel i wydawca - Garrick Devlin.

Uwinąwszy się z tytułem, Maggie przystąpiła do pracy nad pierwszym nagłówkiem. Brzmiał on: „EJ. Davis kandydatem radykalnych republikanów na gubernatora. Były generał Unii, popierany przez generała Reynoldsa, na pewno zwycięży w wyborach”.

Mijały kwadransy, powoli zapadał wieczór, a Maggie nadal pracowała, składała tekst, który Garrick w pośpiechu pisał przy biurku. Raz po raz wręczał jej nową stronę i pytał, jak idzie i czy zdążą skończyć w ciągu wieczora. Naturalnie Maggie nie była w stanie składać tekstu z tą samą szybkością, z jaką Garrick pisał, lecz niezmiernie pracowała, nie zwracając uwagi na ból pleców i pulsowanie w głowie.

- Czy chce mi pani powiedzieć, że musimy odłożyć publikację gazety o jeden dzień? - spytał w pewnym momencie Garrick, stając przy Maggie.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Nie, sir - odparła i zerknęła na zegarek, który przyczepiła wcześniej do stanika sukni. Była siódma wieczór, a ona miała dopiero połowę tekstu! - Nie. Obiecałam, że gazeta będzie gotowa na rano, więc będzie, tak jak zapowiedziałam, nawet gdybym miała pracować nad nią całą noc.

Czyżby dostrzegła w jego oczach aprobujący błysk? Nie, musiało jej się wydawać!

- Dobrze, panno Harper, ale ja skończyłem pisać i umieram z głodu.- Niech się pan nie krępuje i idzie coś zjeść - odparła, nie podnosząc głowy. - Ja nie jestem

głodna po takim obfitym obiedzie. - Ku jej wielkiemu upokorzeniu żołądek zadał jednak kłam temu twierdzeniu dostatecznie głośnym burczeniem, by Garrick Devlin je usłyszał.

- Oj, panno Harper, chyba nie mówi pani całej prawdy. - Na jego ustach znów pojawił się ironiczny uśmiezek.

- No, trochę zgłodniałam - przyznała. - Ale chcę wszystko złożyć, tak jak obiecałam. Może zjem coś, zanim zaczniemy drukować. - Bez wątpienia potrzebowała wzmocnienia przed kolejnym wysiłkiem. Czekają ją przenoszenie ciężkich form ze składem i „ciągnięcie diabła za ogon”, czyli inaczej mówiąc, wielokrotne poruszanie dźwignią, która wtaczała formę z czcionkami pod płytę dociskową.

- Wobec tego pójdę do hotelu i przyniosę stamtąd coś dla nas obojga, bo inaczej prędzej czy później zemdleje mi pani przy tej maszynie - powiedział.

- To nie jest konieczne.

- Jest, jest. Obiecałem Jowicie, że panią nakarmię, więc to zrobię. Ja, panno Harper, nie mam zwyczaju rzucać słów na wiatr. Za parę minut wrócę. - Z tymi słowami ujął klamkę i wyszedł na ulicę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Garrick zerknął na zegarek kieszonkowy, który dostał w spadku po ojcu. Była trzecia nad ranem.

- Sto egzemplarzy - mruknął, gdy Margaret Harper wyjęła ostatni spod prasy.
- Myślę, że jak na pierwsze wydanie to wystarczy, życzę więc pani dobrej nocy.

Spojrzała na niego tak, jakby była nie całkiem przytomna, jej zielone oczy zmatowiały ze zmęczenia, i przez chwilę Garrick miał wyrzuty sumienia, że kazał jej tak ciężko pracować w dzień przyjazdu, zaraz po podróży. Gdy skończył pisać teksty do gazety, pomagał, ile tylko mógł. Zdumiało go, jak ciężkie są szufelki załadowane czcionkami. Każda musiała ważyć prawie dziesięć kilo, a panna Harper nie po-skarżyła się na to ani razu i nie próbowała wdzięczyć się do niego, żeby wspomógł ją swą męską siłą, tak jak zawsze robiła to Cecylia, gdy trzeba było przenieść coś ciężkiego.

Potem, odebrawszy od panny Harper instrukcje, zaczął „ciągnąć diabła za ogon” i drukować kolejne egzemplarze gazety, co okazało się bardzo żmudną czynnością, a tymczasem panna Harper mogła wreszcie coś przekąsić. Po pewnym czasie poczuł pulsujący ból w ramieniu, zastanawiał się więc, jak to możliwe, że jego pracownica, wszak dużo węższej budowy, o tym również nie wspomniała ani słowem.

Może Jankesi byli jednak twardsi, niż mu się zdawało?- Pracowała pani dzisiaj bardzo ciężko, panno Harper. Należy się pani pochwała. Naturalnie gdyby nie ta dzisiejsza wiadomość, nie musielibyśmy się tak śpieszyć. To jednak nie mogło czekać. Rzecz jasna, zazwyczaj nie będę wymagał od pani takiego szalonego pośpiechu.

Wyprostowała plecy, dumnie uniosła głowę, a jej zielone oczy rozjarzył duch walki.

- To niedorzeczność, panie Devlin. Każdy dobry dziennikarz i każda dobra dziennikarka daliby sobie rękę uciąć, żeby przekazać swoim czytelnikom taką ciekawą wiadomość. Niech pan nie myśli, że musi pan mnie oszczędzać. Jestem przyzwyczajona do ciężkiej pracy tak samo jak mężczyzna.

Mimo woli poczuł podziw dla jej wytrzymałości. Niech tam, jeśli panna Harper nie narzeka, to on na pewno nie będzie opowiadał, jaki jest zmęczony.

- Wszystko rozumiem, ale lepiej będzie, jeśli uda się już pani na spoczynek. Do świtu zostało niewiele czasu, a musimy zaplanować następne wydanie.

- Och.,, naturalnie - bąknęła i odwróciła się do schodów. - Dobranoc, sir.

Mijając resztki ich zaimprovizowanej kolacji, skórkę kanapki z wołowiną i zatłuszczony szary papier, w który kanapka była owinięta, zawahała się i przystanęła.

- Jeszcze tylko to posprzątam.

- Nie ma potrzeby. Zaraz to wyrzucę - powiedział stanowczo.

- Zgoda. Wobec tego dobranoc. - Usłyszał jej kroki na schodach, a potem skrzypnięcie drzwi. Pomyślał, że będzie musiał naoliwić zawiasy. Zaraz potem trzask zasuwki dał mu znać, że panna Harper zamknęła drzwi od wewnątrz. Odwrócił się i spojrzał na równy stos zadrukowanego papieru. Na wierzchnim egzemplarzu lśniła jeszcze wilgotna farba drukarska. Każda gazeta składała się z czterech stron, wypełnionych jego relacją z Austin i komentarzami na ten temat. Wkrótce okoliczni mieszkańcy będą na wyścigi zabierać egzemplarze z tego stosu i rozpocznie się jego kariera powszechnie szanowanego wydawcy „Gillespie Springs Gazette”.

Ta chwila wydała się jednak Garrickowi dziwnie niepełna. Gdyby jego drukarz był mężczyzną, uczciłby święto zaproszeniem go na szklaneczkę whisky. Chował w szufladzie butelkę właśnie na taką okazję. Jednak kobiety nie zaprosiłby na drinka, nawet gdyby była to zuchwała Jankeska.

Alkohol piły wyłącznie kobiety lekkiego prowadzenia, a z takimi Garrick sienie zadawał, mimo że jego długo tłumione potrzeby seksualne od dawna domagały się zaspokojenia. Nie, nie zapłaciłby za tak zwaną miłość, wiedział zresztą, że gdyby

nawet znalazł kobietę, która chciałaby zrobić to z kaleką, albo kazałaby mu podwójnie zapłacić, albo zgodziłaby się tylko z litości i potem miała powód do śmiechu i żartów.

Nie było rady, musiał napić się sam. Wyjął butelkę whisky z szuflady i nalał do szklaneczki trunku na dwa palce. Bursztynowy płyn zapiekł go w przelyku i rozgrzał żołądek.

Od dawna już doskwierał mu ból w amputowanej nodze, jak zawsze, gdy wysiłek był zbyt forsowny. Czuł się śmiertelnie zmęczony, a co gorsza, bardzo bolało go również ramię, którym obsługiwał maszynę. Odruchowo schylił się, żeby rozmasować nogę, ale wzdrygnął się i szybko wyprostował, gdy palce natrafiły na drewno.

Do diabła, kiedy wreszcie przestanie mu dokuczać kończyna, której nie miał już trzy lata? Niespokojnie zerknął ku schodom, przemknęło mu bowiem przez myśl, że panna Harper niepostrzeżenie wyszła ze swojego pokoju i może była świadkiem jego wydumanych cierpień. Znowu wystawiłby się przed nią na pośmiewisko. Na szczęście schody były skąpane w półmroku i nic się na nich nie działo.

Z ulgą dopił whisky, a odłożywszy butelkę i szklaneczkę do szuflady, wziął kilka egzemplarzy „Gazette”, żeby zanieść je do domu. Jeden chciał dać Jowicie, jeden Johnny'emu - uśmiechnął się na myśl o tym, jak synek będzie udawał, że czyta - jeden wysłać matce, a jeden zachować na przyszłość. Po namyśle odłożył jeszcze dodatkowy egzemplarz, wiedział bowiem, że Cal przyjdzie po niego prosto do redakcji.

Kiedy wyszedł na dwór, otoczyła go rześka, wiosenna noc. Nagle poczuł, że nie może się doczekać, aż wróci do wynajętego domu na South Street, stojącego za budynkiem banku. W zaciszu swojego pokoju zdejmie wreszcie tę przeklętą drewnianą nogę codziennie obcierającą mu skórę kikuta, na którym czasem nawet znajdował zaschnięte ślady krwi. Dzisiaj należało się właśnie tego spodziewać, jako że był na nogach stanowczo zbyt długo. Wiedział, że gdy usunie czystą szmatką

ciemnoczerwone skrzepy, kikut będzie go piekł, jakby szmatka była nie z bawełny, lecz z pokrzyw. I znowu będzie musiał z całej siły zaciskać zęby, żeby nie zbudzić Johnny'ego i Jowity, śpiących w sąsiednich pokojach.

Czasem zdjęcie drewnianej nogi i przemycie kikuta nie wystarczało, by uśmierzyć ból, i wtedy Garrick musiał sięgać do okutego mosiądzem kufra, w którym trzymał swój stary mundur, broń, a na dnie flakonik laudanum. Nienawidził jednak słabości, jaka go zawsze ogarniała po zażyciu tego specyfiku. Wiedział też, że opium sprowadza koszmarne sny, pełne przerażających dźwięków i twarzy nieżyjących ludzi. Teraz, po śmierci Cecylii, bał się laudanum jak nigdy dotąd. Nie chciał zobaczyć sennego widziadła zmarłej żony, płynącego ku niemu ze złotymi lokami pokrytymi pleśnią.

Widział przecież, co opium robi z innymi ludźmi, jak zamienia ich na resztę życia w bezsilne, histeryczne ofiary nałogu. Może lepiej nie używać laudanum i po prostu pogodzić się z bólem, pomyślał, chociaż każdy krok w stronę domu sprawiał mu niewysłowione cierpienie.

- Masz piątaka, Garrick, i daj mi gazetę - powiedział z uśmiechem wysoki mężczyzna z gwiazdą szeryfa na kamizelce i przepaską zasłaniającą prawe oko. Stał oparty o biurko w redakcji „Gazette”, a działo się to następnego ranka.

To musi być jego brat Caleb, pomyślała Maggie, podnosząc głowę znad składu cennika ogłoszeń. Zobaczyła te same wyraziste rysy co u Garricka. Caleb w odróżnieniu od brata nosił wąsik. Jego zdrowe oko miało jaśniejszy odcień niż u Garricka, było prawie szaroniebieskie, natomiast twarze obu braci naznaczył ból - nie wiedziała, czy miniony, czy może wciąż żywy.

- Cal, nie mogę wziąć od ciebie pieniędzy - sprzeciwił się Garrick, odwzajemniając uśmiech. - Jesteś moim bratem. Odłożyłem dla ciebie darmowy egzemplarz.

- Oj, bracie, nigdy nie zostaniesz bogatym żurnalistą, jeśli nie będziesz chciał pieniędzy... - Szeryf urwał i Maggie uświadomiła sobie, że ją zauważył. W jednej

chwili ściągnął z głowy kapelusz z szerokim rondem.

- Sweeney powiedział mi o naszym nowym drukarzu, to znaczy o pani drukarz
- zwrócił się do brata z figlarnym błyskiem w oku.

- Tak. M.L. Harper wygląda nieco inaczej, niż się spodziewałem - odrzekł oschle Garrick. - Panno Harper, to mój brat, Cal Devlin.

Maggie podeszła do szeryfa, zachęcona jego uśmiechem, i podała mu rękę.

- Dzień dobry, jestem Margaret Harper. Uścisnął jej dłoń.

- Proszę mówić do mnie Cal, panno Harper - powiedział ciepłym, śpiewnym głosem, tak charakterystycznym dla południowców. - Witam w Gillespie Springs. Widzę, że jeszcze ma pani głowę na miejscu, czyli mój brat jej nie odgryzł. To dobrze! Niech mu pani na to nie pozwoli. On dużo warczy, ale gryzie rzadko. Podobno ma pani duże doświadczenie w wydawaniu gazety, proszę więc często przypominać mojemu bratu, jak mu się udało, że to właśnie pani odpowiedziała na jego ogłoszenie.

Dzwonek nad drzwiami znowu zadzwieczał i do środka weszła ciemnowłosa kobieta. Jej miłą twarz zdobił radosny uśmiech.

- Garrick, słyszałam, że właśnie wydałeś gazetę! - oznajmiła, podchodząc do Caleba. - Gratulacje z okazji pierwszego numeru! - Cmoknęła Garricka w policzek.

- Och, dziękuję, Oliwio - odrzekł, nieco zarumieniony. Maggie, wciąż stojąca obok swego pracodawcy, bardzo

się zdziwiła. Czyż Devlin nie nosił żałoby po żonie? Kim była ta kobieta? Zaraz jednak zobaczyła, jak Cal obejmuje kobietę i mówi do niej z uśmiechem:

- Poznaj pannę Margaret Harper, „drukarza” zatrudnionego przez Garricka. Panno Harper, to moja żona, Oliwia.

- Bardzo się cieszę, że pomoże pani naszemu drogiemu Garrickowi. Mam nadzieję, że w najbliższej przyszłości znajdzie pani czas i przyjdzie do nas na kolację, żebyśmy mogli oficjalnie powitać panią w naszym mieście. - Oliwia Devlin wyciągnęła do niej rękę. - Usłyszeliśmy o pani przyjeździe już wczoraj, tak to jest, w

takim miasteczku zaraz wszyscy wszystko wiedzą, i od razu chciałam przyjść panią poznać, ale Cal powiedział mi, że będziecie z Garrickiem bardzo zajęci, więc postanowiłam poczekać do rana. A pani już pomogła Garrickowi wydać gazetę! To doprawdy cudowne, panno Harper!

- Dziękuję - bąknęła Maggie, zakłopotana potokiem słów Oliwii i nieoczekiwanym zaproszeniem. - Bardzo chętnie państwa odwiedzę. Proszę mówić do mnie Maggie.

Kobieta odwzajemniła uśmiech.

- Dobrze, Maggie. Do mnie wszyscy mówią Livy. Przepraszam, że tak panią zagaduję, ale obawiam się, że na Południu dziewczęta zaczynają mówić bez przerwy już w kołysce. Słyszałam, że jest pani Jankeśką, nikt mi jednak nie powiedział, że tak ładną! Mój szwagier niech lepiej uważa, bo inaczej któryś z naszych kawalerów sprzątnie mu panią sprzed nosa - dodała z błyskiem w oku.

Maggie spłonęła rumieńcem, słysząc ten komplement.

- Jest pani dla mnie zbyt uprzejma, Livy - odparła, zanim jej pracodawca zdążył się odezwać - ale pan Devlin niema się czym martwić. Przyjechałam tutaj pomóc mu w wydawaniu gazety i nie zrezygnuję z tego.

- Naturalnie, naturalnie, w każdym razie będziemy pilnować, żeby Garrick nie kazał pani robić zbyt wiele. Zresztą mówią, że po pracy miły odpoczynek.

- Chyba że ktoś jest drukarzem - wtrącił Cal i dodał: - Chodźmy już lepiej, Livy, i naprawdę dajmy im popracować. Weź gazetę do domu. Dzisiaj po kolacji usiądę i ją przeczytam. Naturalnie ja również serdecznie do nas zapraszam, panno Maggie, jeśli wolno mi tak się do pani zwracać. Gdy tylko pani się tutaj zdomowi, ustalimy termin wspólnej kolacji.

Maggie pożegnała ich z uśmiechem, ale powrót do pracy okazał się niemożliwy. W drzwiach minął się z szeryfem i jego żoną drobny, schludny mężczyzna w meloniku i surducie.

- Garricku, niech pan pokaże mi gazetę! - zażądał z promiennym uśmiechem i

wyciągnął rękę. - To historyczny dzień dla Gillespie Springs, powiadam, historyczny dzień.

- Z pewnością tak, panie burmistrzu - odrzekł Garrick i wziął gazetę ze stosu, nie ukrywając dumy. - Jestem bardzo ciekaw pańskiej opinii.

Maggie, która uciekła do biurka i zajęła się znowu składem, zauważyła, że jej pracodawca nagle zaczął wyrównywać idealnie równy stos gazet. A więc jednak zależy mu na zdaniu burmistrza, pomyślała. Wydało jej się to bardzo ludzkie.

Burmistrz Long trzymał gazetę przed sobą i korzystając ze światła wpadającego przez okno, przestudiował najpierw pierwszą stronę, a potem trzy następne. Zajęło mu to około pięciu minut.

- Wspaniały początek, Garricku. Powiadam, wspaniały początek - odezwał się w końcu. - To bardzo ważna nowina. Chciałbym w przyszłości poczytać o tym, jak korzystne dla zdrowia jest położenie naszego miasta i jacy mili ludzie mieszkają w Gillespie Springs, żebym mógł wysłać gazetę na Wschód i przyciągnąć nowych osadników. Naturalnie zamierza pan pisać o takich sprawach, prawda?

- Myślę, że tak, ale przede wszystkim stawiam sobie za cel informowanie ludzi o ważnych decyzjach, które zapadają w Austin i dalej, w tym przeklętym Waszyngtonie - odparł z irytacją Garrick. - Po co mam opowiadać ludziom o ich własnym mieście, które doskonale znają, i o ludziach, których widzą na co dzień...

- Też coś! Ludzie uwielbiają słuchać o sobie - przerwał mu burmistrz. - Nie twierdzę, że to, co radykałowie usiłują nam narzucić, nie jest ważne, ale uważam, że pana czytelników bardziej interesują wydarzenia, które ich bezpośrednio dotyczą.

- Chyba nie będzie pan wysyłał mojej gazety na Północ - burknął Garrick. - Dość już mamy tutaj tych przeklętych spekulantów.

- Nie zaperzaj się tak, Devlin. Mówię o wysyłaniu gazety do takich miast jak Atlanta, Richmond albo Vicksburg, gdzie przekłęci Jankesi gnębili ludzi jeszcze gorzej niż tu, w Teksasie. .. - Urwał i Maggie, choć nadal miała wzrok skupiony na kaszcie, zrozumiała, że znowu została zauważona.

- Garrick, nie ostrzegłeś mnie, że mamy tutaj kobietę, a my przeklinamy. Szanowna pani, serdecznie przepraszam za nasz wulgarny język.

Maggie podniosła głowę i stwierdziła, że burmistrz Long zdjął kapelusz i wykonał ukłon, którego nie powstydziliby się nawet rycerz sławiący swą damę.

Garrick niechętnie dopełnił grzecznościowych formalności. Maggie wyczuwała jego irytację.

- Panno Harper, proszę wybaczyć moją bezwzględną szczerą co do Jankesów - dodał burmistrz. - Niestety tu, na Południu, nadal trudno nam o nich spokojnie myśleć, choć naturalnie nie usprawiedliwia to naszego nieuprzejmego zachowania wobec pani. Oczywiście, słyszałem już, że Garrick ma pracownika z Północy, ale nie zdawałem sobie sprawy z pani obecności.

- Nie ma powodu do przeprosin, sir - odparła Maggie.

- Każdy mieszkaniec Północy, mający otwarty umysł, dobrze rozumie, że w imię zwycięstwa podczas wojny popełniono liczne nadużycia. Co więcej, nadal sieje popełnia, mimo że próbujemy doprowadzić do trwałego pokoju.

- Dziękuję, panno Harper. Taka wielkoduszność przynosi pani zaszczyt. Muszę już iść, ale naturalnie wezmę to z sobą - wyciągnął do góry rękę z gazetą - i przeczytam dokładnie w domu. Niech pan pomyśli, Garrick, o tym, co powiedziałem. Panno Harper, było mi bardzo miło panią poznać.

Znowu zostali sami, ale nie na długo. Do redakcji ciągnął nieprzerwany strumień ludzi. Wszyscy chcieli kupić pierwszy numer „Gillespie Springs Gazette” i pogratulować Garrickowi Devlinowi.

Większość z nich nie zwracała uwagi na Maggie, pilnie pracującą w głębi pomieszczenia, toteż w południe cennik był złożony i gotowy do druku.

- Idę do domu na obiad, panno Harper - oznajmił Garrick. Przez całe gwarne przedpołudnie zamienili ze sobą zaledwie kilka zdań. - Nie będzie mnie w redakcji przez jakąś godzinę. Tymczasem może pani zjeść w hotelu - dodał, trzymając już rękę na kłamce.

- Tak zrobię, ale najpierw wydrukuję kilka cenników. Mogę przy okazji zanieść je do hotelu i do sklepów, których właściciele mogą zainteresować ogłoszenia i usługi drukarskie.

Zrobił gniewną minę.

- Zawsze wyłazi z pani jankeska przedsiębiorczość, prawda? Niech będzie, może pani pokazać się tu i ówdzie i sprawdzić, czy uda się jej coś uzyskać. Niech pani jednak uważa. Jankeskie natręctwo nie jest tu w cenie, zapewniam.

Maggie miała ciętą ripostę na końcu języka, ale jakoś się powstrzymała przed jej wygłoszeniem. Tymczasem Garrick wziął laskę i pokuśtykał do drzwi. Musi minąć dużo czasu, nim taki człowiek jej zaufa, zwłaszcza że życie nauczyło go nieufności do Jankesów i kobiet. Ale Maggie wierzyła, że jeśli zachowa cierpliwość i będzie panowała nad sobą, może Garrick zacznie ją cenić, mimo iż jest kobietą z Północy. Może z czasem uda się go przekonać, że to nie ma znaczenia. Zignorowała jednak cichy głos, który mówił jej, że chciałaby, by Devlin zobaczył w niej kobietę, a nawet więcej: pociągającą kobietę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy Maggie zaprowadzono do małego stolika w hotelowej restauracji, zamówiła sałatkę, kawę i kawałek ciasta brzoskwiнового. Pamiętała nie tylko o swojej sylwetce, lecz również o zawartości portfela. Od pierwszej wypłaty dzieliły ją długie tygodnie, a do tej pory musiała przeżyć za pieniądze, które ojciec dał jej za kilka ostatnich artykułów. Nie chciała bowiem naruszyć swoich niewielkich oszczędności.

- Smakowało pani? - Ponury głos należał do kucharki, która pełniła również funkcję kelnerki. Maggie próbowała odgadnąć, czy naraziła jej się północnym akcentem, czy też tym, że nie chciała zamówić zestawu obiadowego złożonego ze smażonego kurczęcia, fasoli i ziemniaków z tłuszczem. A może, zdaniem kucharki, kobieta nie powinna siedzieć sama w restauracji?

Jeśli to ostatnie przypuszczenie było słuszne, kucharce nie pozostawało nic innego, jak przywyknąć do jej widoku. Maggie nie miała w pokoju kuchenki, więc po prostu musiała jeść w hotelu. Tak zresztą robiłby na jej miejscu mężczyzna i wtedy nikomu by to nie przeszkadzało.

Przypomniała sobie dni, gdy z ojcem chodzili w południe do kawiarni na rogu, w pobliżu redakcji „Freedom's Voice”, jedli razem lunch i rozmawiali o ostatnich artykułach. Jak bardzo tęskniła teraz za towarzystwem ojca! Nie potrafiła wyobrazić sobie Garricka Devlina, z ożywieniem rozprawiającego przy obiedzie o artykułach z „Gillespie Springs Gazette”, nawet gdyby przyszło jej tu mieszkać pół wieku.

- Wszystko było bardzo smaczne... W przyszłości na pewno skosztuję wielu pani potraw, skoro zaczęłam pracować w „Gazette” - powiedziała, mając nadzieję, że komplement i przyjacielski ton nastawią do niej kobietę odrobinę życzliwiej, ale się omyliła.

- Tak, szef mówił mi o pani - odrzekła oschle. - Pani jest tą dziennikarką.

Maggie nie wiedziała, jak się zachować wobec tej jawnie wyrażonej dezaprobaty. Przypomniała sobie jednak cenniki, które miała ze sobą.

- Aha, przy okazji, skoro o pani pracodawcy mowa. Czy mogłabym zamienić z nim kilka słów? Chciałabym przedstawić mu możliwości ogłaszania się w „Gazette”.

Kobieta skrzywiła usta.

- Niech pani przejdzie tędy do hotelu - powiedziała, wskazując wewnętrzne drzwi. - Siedzi w recepcji. Ale nie sądzę, żeby widział sens w dawaniu ogłoszeń. Wszyscy w mieście wiedzą, że tak jak Bessie nie gotuje nikt w hrabstwie Brazos. Wieczorem ta sala będzie pełna. Jeśli chce pani jeść u nas kolację, to lepiej niech pani przychodzi wcześniej, bo inaczej trzeba czekać na stolik - dokończyła.

Maggie oparła się pokusie, by znacząco potoczyć wzrokiem po wolnych stolikach dookoła. Oprócz dwóch starszych mężczyzn, siedzących nad talerzami zupy w drugim kącie sali, była w tej chwili jedynym klientem.

- Nie wątpię, że wszyscy w Gillespie Springs znają pani kolacje - zaczęła z uśmiechem, który miał zjednać tę kobietę - ale czy nie byłoby dobrze, gdyby pani sława sięgnęła dalej na Wschód? Niedługo będziemy wysyłać „Gazette” do innych części kraju, żeby przyciągnąć nowych osadników.

Kucharka rozmyślała nad tym przez chwilę, wspierając dłonie na krągłych biodrach.

- Może nawet byłoby dobrze, tylko żeby ci nowi nie byli Jankesami - powiedziała i wycofała się do kuchni.

To śmieszne, że czuję do niej urazę, pomyślała Maggie. Ponieważ jednak wiedziała, że tamta obserwuje ją zza przymkniętych drzwi, bez pośpiechu przeszła do hotelu.

Hol sprawiał wrażenie dość bogatego. Stały w nim krzesła tapicerowane kasztanowym brokatem, ściany były świeżo odmalowane, a kasztanowe draperie z aksamitu zasuwano się dopasowanymi kolorystycznie jedwabnymi sznurami. Schody z politurowaną balustradą z wiśniowego drewna prowadziły do pokojów na piętrze.

Za kontuarem, plecami do niej, siedział mężczyzna pochylony nad księgą rachunkową.

- Przepraszam pana...

Mężczyzna obrócił się i Maggie rozpoznała człowieka, którego przedstawiono jej niedawno jako burmistrza.

- O, panna Harper! Zdziwiła się pani, że siedzę na niejednym stołku, prawda? Czy jadła pani w mojej restauracji? Mam nadzieję, że pani smakowało.

Maggie zapewniła go, że tak. Dobrze wiedziała, że nic by nie zyskała, wspominając o nieuprzejmości kucharki. Wyjęła z torebki cennik ogłoszeń i położyła go na politurowanym kontuarze.

- Mój pracodawca uznał, że panu pierwszemu powinnam zaproponować ogłaszanie się w „Gazette” – powiedziała z nadzieją, że Bóg wybaczy jej to rozminięcie się z prawdą. Naturalnie nie wiedziała wcześniej, że burmistrz jest właścicielem hotelu, nie wątpiła jednak, że Garrick Devlin pochwaliby ją za to, że zaczęła akwizycję ogłoszeń właśnie od niego. Przecież nie kto inny jak on chciał mieć gazetę w Gillespie Springs.

Long wydawał się zaskoczony, ale po chwili powiedział takim tonem, jakby się zastanawiał:

- Ogłoszenie? Hotelu? No, chyba mógłbym to zrobić, chociaż jest to jedyny hotel na przestrzeni wielu kilometrów.

- Owszem, ale przecież chce pan, żeby wszyscy osadnicy, których zamierza pan ściągnąć ze Wschodu, wiedzieli, że mają się tu gdzie zatrzymać i nie muszą zostawiać żon w Atlancie, Vicksburgu czy gdziekolwiek indziej - powiedziała Maggie z miną niewiniątka.

- No tak, tak. Ma pani rację - mruknął. - Tak, naturalnie. Niech mnie pani wpisze na ogłoszenie za dwadzieścia dolarów. Jak długo będzie się ukazywało?

- Za dwadzieścia pięć dolarów „Gazette” może je publikować przez sześć tygodni - oświadczyła. - Niech pan pomyśli, ilu ludzi przez ten czas zdąży je

przeczytać. Mógłby pan też poinformować o godzinach otwarcia restauracji i jej specjalnościach. Niech pan spíše na kartce wszystko, co chciałby pan zamieścić w ogłoszeniu, to znaczy ceny pokoi i tak dalej, a ja złożę ogłoszenie i przyniosę je panu do zatwierdzenia. Jeśli się panu spodoba, zrobimy stereotyp, taki skład na stałe, z którego będziemy odbijać ogłoszenie. W ten sposób bez kłopotu możemy je zamieszczać w kilku kolejnych wydaniach gazety.

- Czy jest taka możliwość, żeby ozdobić ogłoszenie rysunkiem hotelu, panno Harper? Jestem z tego budynku bardzo dumny. Sam go zbudowałem, wbiłem tu osobiście każdy gwóźdź. Naturalnie było to przed wojną, kiedy byłem młodszy i miałem syna do pomocy.

- Obawiam się, że nie mam talentu do drzeworytnictwa, panie Long. Ale może któregoś dnia uda się dołączyć również ilustrację. - Pomyślała o mężczyźnie, który wykonywał drzeworyty dla gazety w Ohio. Wiele razy przyglądała się, jak jego zręczne ręce wycinają cuda w niewielkich drewnianych klockach. Gdyby tylko miała kogoś równie utalentowanego w „Gazette”...

Long zachichotał.

- No, no, ma pani kupiecką żyłkę, panno Harper. I sprawia pani wrażenie osoby znającej się na rzeczy. Może być pani Jankeską, ale powiadam, Garrick sprytnie zrobił, że panią zatrudnił.

Ta pochwała bardzo poprawiła jej nastrój po zrzędlivych uwagach Devlina i lodowatym przyjęciu w restauracji.

Uskrzydłona sukcesem, spytała Longa, do kogo, jego zdaniem, powinna się teraz zwrócić.

- Hm, zaraz obok ma pani pracownię modniarską pani Phoebe, ale ona liczy każdego centa. Tak czy owak, nie zaszkodzi spytać. Jest tu też sklep, gabinet doktora, stajnie...

U modystki Maggie nie osiągnęła wiele.

Phoebe Stone, kiedyś bez wątpienia piękna kobieta, miała jasne włosy

związane w kok, z zupełnie nie pasującymi do niego cienkimi loczkami przy uszach. Wyszła z głębi pracowni, przedstawiła się, spytała Maggie o imię i nie dopuszczając jej już potem do słowa, zaczęła pokazywać kapelusze.

- Wie pani, to możliwe, że nie zabawię tutaj już długo- wyznała. - Mówiono mi, że moje kapelusze zrobiłyby furorę w Paryżu.

- Są istotnie czarujące, pani Stone - udało się w końcu wtrącić Maggie. - Bez wątplenia ma pani talent i z przyjemnością kupiłabym co najmniej pół tuzina pani kapeluszy. Niestety, dzisiaj nie przyszłam kupować. Jestem z redakcji „Gazette” i chciałabym z panią porozmawiać o możliwości ogłaszania się w naszej gazecie.

Kobieta spojrzała na Maggie tak, jakby wylano na nią kubel zimnej wody.

- Prawdę mówiąc, nie widzę potrzeby dawania ogłoszeń, bo to jest jedyna taka pracownia w mieście, panno... zaraz, zaraz, jak pani mówiła? - Nie dając Maggie czasu na odpowiedź ani tym bardziej na reklamową przemowę o nadziejach Devlina na rozszerzenie zasięgu gazety, ciągnęła:

- A w ogóle to bardzo mnie dziwi, że Garrick przysłał panią do mnie. On dobrze wie, że jestem biedną wdową, żyjącą z... z ostatnich centów, które zostawił mi mój świętej pamięci mąż. - Wytarła oczy koronkową chusteczką, ale Maggie nie zauważyła, by materiał w którymkolwiek miejscu zwilgotniał. - Jako nietutejsza nie wie pani, że mój mąż zginął podczas wojny - dodała. - Naturalnie wy, Jankesi, nie macie pojęcia, ile my tutaj wycierpieliśmy. Niestety, nie będzie mnie stać nawet na to, żeby zaoszczędzić parę centów na kupno gazety, a co dopiero mówić o ogłoszeniu - zakończyła, pointując wypowiedź dramatycznym westchnieniem.

Maggie musiała bardzo uważać, żeby nieelegancko nie parsknąć, bo suknia Phoebe Stone, choć utrzymana w ciemnej tonacji, była uszyta z przedniego jedwabiu, a pod szyją kobieta miała przypiętą kosztowną perłową kameę. Phoebe zamrugnęła powiekami, jakby nagle przyszło jej coś do głowy.

- Może przyśle pani tutaj drogiego Garricka, żeby omówił ze mną tę sprawę osobiście - powiedziała. - On wie, że ma ode mnie nieustające zaproszenie na

kolację. Szkoda tylko, że jest taki nieśmiały i dotąd z niego nie skorzystał. W każdym razie teraz miałby doskonały pretekst, nie sądzi pani? - zakończyła z dziewczęcym chichotem. Wyglądało na to, że już nie czuła się obrażona wizytą.

Maggie podziękowała jej za rozmowę i odwróciła się do drzwi.

- Takiemu pocziwemu człowiekowi należy się pocieszenie. Skoro oficjalnie został wdowcem, a ja jestem wdową, to chyba nikt nie zrozumie go tak dobrze jak ja, prawda? - zawołała za nią Phoebe.

- Na pewno przypomnę mu o tym zaproszeniu, pani Stone - obiecała Maggie przez ramię, nie przerywając szybkiego odwrotu. Nieśmiały? Garrick Devlin był tak samo nieśmiały jak niedźwiedź zamknięty w zagrodzie i tak samo łatwy do rozdrażnienia.

Wizyta u doktora wydawała jej się teraz znacznie bardziej obiecująca. Wcześniej tłumaczyła Garrickowi, że każdy lekarz stara się wcisnąć wszystkim pacjentom jakąś miksturę. Przechodząc przed hotelem i bankiem, pomachała ręką Calowi Devlinowi, który wyłonił się z miejskiego aresztu, i weszła do budynku opatrzonego szyldem „Doktor Broughton”.

Na szczęście poczekalnia była pusta, więc od razu zapukała do gabinetu i usłyszała szorstkie „Proszę”.

Doktor pasował wyglądem do jej pierwszego wyobrażenia Garricka Devlina. Nosił okulary, był otyły i miał przynajmniej sześćdziesiąt lat, ale w oczach ukrytych za soczewkami okularów nie było błysków życzliwości.

- Czym mogę służyć? - spytał, mierząc ją wzrokiem, jakby od razu chciał postawić diagnozę. - Nie wydaje mi się pani chora.

- Nie jestem* doktorze - odrzekła Maggie z uśmiechem. - Nazywam się Margaret Harper, pracuję jako asystent pana Garricka Devlina. - Uznała, że „asystent” brzmi lepiej niż „drukarz”. - Dziś rano pan Devlin zaczął wydawać gazetę, o czym zapewne pan słyszał.

Widziała, że już przy jej pierwszych słowach starszy pan wyraźnie zeszywniał.

Czyżby znowu była to wina jej akcentu? Czy będzie musiała nauczyć się tego śpiewnego zaciągania, żeby ktokolwiek w tym miasteczku zechciał z nią rozmawiać?

- Nie słyszałem - odburknął. - Miła pani, od rana jestem na nogach, przyjąłem ciężki poród i towarzyszyłem staruszce przenoszącej się na tamten świat, więc naprawdę nie miałem czasu zajmować się jakąś gazetą. A teraz przerywa mi pani drzemkę. Czego pani chce, jeśli nie jest pani chora?

- Chodzi o to, że gazeta może być dla pana bardzo użyteczna - odrzekła z nadzieją, że brzmi to przekonująco. Wchodząc do gabinetu, zauważyła gablotkę z napisem „Specyfiki Murphy'ego - remedium na wszystkie choroby” i postanowiła nawiązać do tego. - Z przyjemnością damy ogłoszenie o specyfikach, które pan rozprawdza. Naturalnie mógłby pan także poinformować o stawkach...

- Proszę pani, jestem lekarzem od prawie czterdziestu lat i nigdy nie potrzebowałem niczego oprócz tego szyldu, który wisi na domu i mówi ludziom, gdzie mnie znaleźć - oświadczył i wskazał palcem drzwi. Maggie zaczęła się powoli wycofywać.

- Bardzo przepraszam, jeśli przyszłam o niewłaściwej porze, sir. Z przyjemnością odwiedzę pana innym...

- Posłuchaj, ty jankeska spekulantko, nie waż się zawracać mi głowy, jeżeli nie jesteś chora, słyszysz! - krzyknął, purpurowy na twarzy, i zaczął się do niej zbliżać.

Maggie, stojąca już na progu, pomyślała o wściekłym byku. Zaciskając zęby, żeby nie wybuchnąć gniewem, który w niej wzbierał, chciała odwrócić się i uciec. Natrafiła jednak na przeszkodę.

Garrick Devlin mężnie zniósł zderzenie z Maggie i na wszelki wypadek złapał ją za łokieć, żeby nie straciła równowagi. Potem, nie patrząc na nią, powiedział cicho:

- Doktorze Broughton, nie wydaje mi się, żeby któregoś z nas uczono w ten sposób mówić do damy.

Starszy pan spojrział na niego przekrwionymi z niewyspania oczami i rzekł:

- Nigdy nie odezwałem się niewłaściwie do damy, ale ta kobieta, którą pan

zatrudnił, jest zwykłą jankeską spekulantką. Po tym, co pan przeżył - znacząco spojrzął na drewnianą nogę i laskę Devlina - dziwię się, że w ogóle pan z nią rozmawia, by nie wspominać o dawaniu jej pracy, którą mógłby wykonywać mężczyzna z Południa.

Garrick czuł, że Margaret Harper trzęsie się z ledwo powstrzymanej złości. Ogarnęła go przemożna chęć rozbicia nosa temu staremu konowałowi.

- To moja sprawa, kogo zatrudniam, doktorze - oświadczył. - A jeśli nie chce pan dać ogłoszenia, to z kolei pańska sprawa. W każdym razie nie będę tolerował ordynarnego zachowania w stosunku do moich pracowników, zwłaszcza że panna Harper jest damą. I nie ma najmniejszego znaczenia, skąd pochodzi.

- Bardzo śmiało pan sobie poczyna, Devlin. A nie dalej jak w zeszłym miesiącu był pan u mnie z chorym synem...

- Owszem, i zapłaciłem panu za wizytę, chociaż swoją tak zwaną kuracją omal nie wyprawiał pan chłopaka na tamten świat - odpalił Garrick. - Polepszyło mu się dopiero wtedy, gdy pozwoliłem mojej meksykańskiej gospodyni wypróbować na nim jakiś jej napar. Ale z tego, co słyszałem, stojąc w poczekalni, wnioskuję, że jest pan winien damie przeprosiny.

- Po moim trupie - odburknął Broughton i skrył się w gabinecie, z trzaskiem zamknąwszy za sobą drzwi.

- Stary szarlatan - mruknął Garrick i odwrócił się do Maggie.

W jej szmaragdowych oczach lśniły łzy, miała zaczerwienioną twarz. Garricka ogarnęło nagle pragnienie, by objąć ją i powiedzieć, żeby nie wstydziła się wypłakać swojej złości. Ale oczywiście jako jej pracodawca nie mógł sobie na to pozwolić. Byłoby to bardzo niestosowne. Nie wolno wykorzystywać swojej pozycji wobec podwładnego. Tym bardziej że panna Harper z pewnością uznałaby to za jego słabość i potem mogłaby to wykorzystać.

Wyciągnął więc przed siebie laskę i zaproponował:

- Może pani pożyczyć narzędzie do rozmowy z doktorem?

Zgodnie z jego oczekiwaniem panna Harper natychmiast się opanowała.

- Prawdę mówiąc, chętnie wzięłabym od pana tę łaskę - zaśmiała się. Nagle zamrugła powiekami. - Jak pan mnie tutaj znalazł?

- Cał widział, gdzie pani weszła.

- Oj, gorzko tego żałuję - westchnęła. - Może doktor okazałby więcej życzliwości, gdyby to pan do niego poszedł. Nie byłam natrętna, słowo daję!

- Wierzę pani. Zresztą gazeta nie upadnie przez to, że doktor nie chce się w niej ogłaszać. Z Broughtona zawsze był kawał... osła. Obraził już wiele osób, nie tylko panią.

- Ale udało mi się zdobyć zamówienie na ogłoszenie hotelu od burmistrza Longa. Na całe sześć tygodni.

- Dobra robota - pochwalił ją i nawet się uśmiechnął.

- Natomiast pani Stone chciałaby porozmawiać z panem o ogłoszeniu osobiście, przy kolacji - dodała znaczącym tonem.

Przez chwilę Garrick myślał wyłącznie o uśmiechu Maggie, w końcu jednak dotarł do niego sens jej ostatnich słów.

- Piekielna baba - mruknął. - Dręczyła mojego brata Cala, póki nie powiedział jej wyraźnie, że jest zainteresowany wyłącznie Oliwią. Nie zamierzam dobrowolnie oddać się w jej ręce.

Powiedział to ze śmiertelną powagą, ale Maggie Wybuchnęła śmiechem.

- Los gorszy od śmierci, tak?

- Z tą kobietą na pewno. - Garrick zdawał sobie sprawę, że nigdy więcej nie wolno mu poddać się władzy kobiety. Nie powinien tracić głowy na widok uśmiechu Margaret Harper, ale ten jeden jedyny raz postanowił przez chwilę się nim nacieszyć. Przynajmniej odwiódł ją od płaczu. Pamiętał, że nigdy nie mógł znieść łez Cecylii, a ona często się nimi posługiwała.

- Miałam zamiar iść teraz do sklepu - oświadczyła panna Harper. - Mogę pójść, czy chce mi pan zlecić co innego?

- Może najpierw pójdzie pani do Cala. Wspomniał mi, że chciałby wydrukować jakieś listy gończe. A ja spytam Tylera, czy chciałby dać reklamę swojego sklepu.

Margaret skinęła głową. Ulżyło jej, że nie musi się narażać na następne przejawy wrogości mieszkańców Gillespie Springs. Zaczęła się oddalać, zamiatając spódnicami, a Garrick przyglądał się przez chwilę jej pełnym gracji ruchom.

- Niech mnie diabli! - usłyszał nagle za sobą. - Toż to Garrick Devlin!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Głos był znajomy, chociaż Garrick nie słyszał go ponad trzy lata. Odwrócił się i zobaczył zbliżającego się doń wielkimi krokami mężczyznę w wystrzępionych resztkach munduru wojsk Konfederacji.

- Kapitan Ezechiel Barbee, niech mnie kule biją! - zawołał i wyciągnął rękę. - Nie widziałem pana od dnia... od dnia, gdy zostałem ranny.

- Tak... Zgubiłem cię, chłopie, kiedy zabrali cię na tyły. Chyba pomyślałem sobie, żeś się przeniósł w zaświaty, bo ten nasz konował miał ci obciąć nogę. Ale widzę, że jednak się wylizalesz. - Mężczyzna klepnął Garricka po plecach. - Nie da się zabić takiego zawziętego secesjonisty. Jak ci idzie? Masz drewnianą nogę, co?

Garrick wiedział, że Maggie przystanąła i przygląda mu się przez ramię. Niczego nie pragnął mniej, niż przedstawić ją byłemu kapitanowi swojego batalionu piechoty. Ustawił się więc tak, żeby mieć dziewczynę za plecami.

- Tak, ale jakoś sobie radzę - odparł. Nie znosił rozmów o swojej drewnianej nodze, był jednak gotów nawet na to, byle odwrócić uwagę kapitana Barbee od Maggie.

Ale Barbee i tak już zauważył pannę Harper, która właśnie wchodziła do

szeryfa.- To twoja żona? Przystojna kobieta. Mówiłeś jednak, zdaje się, że ma jasne włosy.

Garrickowi udało się przybrać zaskoczony wyraz twarzy.

- Jak pan może pamiętać takie szczegóły, kapitanie? Nie, to nie jest moja żona. Przykro mi to mówić, ale jestem wdowcem - odrzekł, wskazując żałobną opaskę na ramieniu.

Barbee złożył mu zdawkowe kondolencje, ale na szczęście nie zapytał, w jaki sposób umarła Cecylia.

- Dziękuję... A co sprowadza pana do naszego miasta, kapitanie? Chce się pan tutaj osiedlić? - Byłoby wspaniale móc porozmawiać z kimś o dawnych, dobrych czasach w wojsku, bo do tej pory jedyne kompana do wspomnień Garrick miał w swoim bracie, Samie, który służył w innym pułku.

- Gdzie tam, po prostu tędy przejeżdżałem - odparł Barbee. - Odkąd nie stać mnie na płacenie podatków, nie mam stałego domu. Robię raz to, raz co innego. Przez pewien czas pędziłem bydło do Kansas... potem handlowałem końmi... Czy w tym mieście nie ma saloonu? Może porozmawialibyśmy o dawnych czasach przy kufelku piwa?

Sumienie mówiło Garrickowi, że powinien pomóc Maggie w zbieraniu ogłoszeń albo wziąć się do pisania artykułu. Mimo to ruszył w stronę saloonu. Bądź co bądź, nie co dzień spotykał swojego dawnego kapitana! Barbee był dobrym dowódcą, nieustraszonym w bitwie i zawsze gotowym dodać otuchy swoim ludziom lub pożyczyć komuś pieniędzy na drinka czy na dziwki. Jeśli sądzić po tym, co teraz nosił na sobie i mówił, po wojnie nastał dla niego trudny okres. Garrick miał więc poczucie, że powinien przynajmniej spędzić z nim trochę czasu. Gdy opuścili saloon, było późne popołudnie i obaj zdążyli już powtórnie przeżyć większą część wojny, bitwę po bitwie. Barbee postawił pierwszą kolejkę, ale wyznał, że prawie skończyły mu się pieniądze, więc potem napitki fundował Garrick. Mimo że opróżniał tylko jeden kufel piwa w czasie, gdy Barbee rozprawiał się z czterema, po kapitanie

właściwie nie było widać wypitego alkoholu, jeśli nie brać pod uwagę pewnej bełkotliwości w mowie.

- Lepiej odprowadzę cię już do domu, do twojego chłopaka - powiedział kapitan i znów klepnął Garricka po plecach. - Tam mam konia - wskazał wychudzoną gniadą szkapę przywiązaną do słupa przed łaźnią.

- Gdzie pan się zatrzymał, kapitanie?

- Najwyższy czas, żebyś zaczął do mnie mówić Zeke - odrzekł Barbee ponuro.

- Nie jestem już kapitanem, jestem niczym. A gdzie się zatrzymałem? - Szeroko rozłożył ręce. - Mam niebo nad głową. Jest wiosna, więc można się przespać pod topolami. Nie martw się, człowieku, o swojego starego kapitana.

- Może zamieszkas u mnie, Zeke? - zaproponował Garrick. - Mam niewielki dom na sąsiedniej ulicy. Należy do mojego brata i jego żony - dodał szybko, nie chcąc chęłpić się przed kapitanem swoim względnym dobrobytem. - Szwagierka odziedziczyła kilka domów po bracie swego zmarłego męża. Większość z nich stoi przy uliczce za saloonem i bardziej przypomina szopy, ale ten na South Street należy do porządniejszych. Mam tam nawet wolny pokój.

- Nie chcę się narzucać - wymamrotał Zeke z wzrokiem wbitym w ziemię.

Garrick współczuł temu człowiekowi. Od niego uczył się wojennego rzemiosła, gdy był rekrutem. W pierwszych potyczkach Barbee przynajmniej dwa razy uratował mu życie. A teraz był bezdomny i nie miał stałej pracy.

- Nie ma sensu spać na dworze, skoro u mnie jest wolny pokój - przekonywał Garrick kapitana. - Możesz tam mieszkać, póki nie podpiszesz następnej umowy na pędzenie bydła. Zresztą w połowie przyszłego miesiąca mój brat Sam rusza ze stadem do Abilene, później niż wszyscy, bo na przełomie kwietnia i maja jego żona spodziewa się pierwszego dziecka. Mógłbyś u niego się nająć, chyba że znajdziesz coś wcześniej.

- Nie wiem...

- Przynajmniej zgódź się, że zjesz dzisiaj u mnie kolację i przenocujesz. Nie

skończyliśmy rozmawiać o Wilderness, pamiętasz? Musisz też opowiedzieć mi o tej części wojny, w której już nie brałem udziału, bo przekłeci Jankesi rozwalili mi nogę.

Barbee przyjrzał mu się zamglonymi, przekrwionymi oczami.

- No, dobrze. Bardzo ci jestem wdzięczny. Może na jedną noc. Hej, czy to twoja gazeta, o tam? - spytał, wskazując szyld redakcji „Gazette”. - Nie pokażesz mi? Nie jesteś z niej dumny?

Garrick zawahał się, nie był bowiem pewien, czy Maggie wciąż jeszcze jest w biurze Cala.

- Oczywiście, że jestem dumny, ale to może poczekać do jutra. Nie jesteś głodny? Chodź do mnie do domu, zjemy kolację. - Pomyślał, że jeśli uda mu się odłożyć wizytę w redakcji, dopilnuje, żeby Maggie była w tym czasie gdzie indziej. Znow jednak odezwało się w nim poczucie winy, tym razem z tego powodu, że wstydzi się swojej jankeskiej pracownicy, która natychmiast po przyjeździe pokazała, że zna się na rzeczy i nie zamierza się lenić. Z drugiej strony, jeśli miało dojść do spotkania kapitana z panną Harper, to lepiej, żeby Barbee był trzeźwy i wykąpany. W tej chwili Zeke Barbee przedstawiał dość żalony widok.

- Nie, Gar. Chcę zobaczyć twoją gazetę teraz. Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj - odrzekł Zeke z pijackim uporem i zaczął z powrotem przechodzić przez ulicę.

Maggie w zadumie składała ostrzeżenie dla mieszkańców, o przygotowanie którego poprosił ją brat Garricka. W hrabstwie Brazos pojawiła się banda kradnąca konie, bydło, a nawet kurczęta. Poza tym bandyci terroryzowali mieszkańców leżących na uboczu farm i zabierali im pieniądze. Doszło nawet do jednego czy dwóch napadów na dyliżanse. Jeden starszy człowiek zmarł z przerażenia podczas takiego napadu.

Z opisu podanego przez niektóre ofiary wynikało, że banda składa się przynajmniej z sześciu ludzi. Jeden z farmerów wspomniał Murzyna i człowieka o wyglądzie Metysa, resztę stanowili biali. Mieszkańcy Gillespie Springs mieli zacho-

wać wzmożoną czujność. Za ujęcie przestępców właściciele dyliżansów ogłosili nagrodę w wysokości pięciuset dolarów.

Cal Devlin jest bardzo sympatyczny, pomyślała Maggie. Spytał ją, dlaczego jest taka zakłopotana, a gdy wyjaśniła mu, że miała starcie z doktorem Broughtonem, zaczął: opowiadać jej o swoich pierwszych dniach urzędowania na stanowisku szeryfa Gillespie Springs.

- Część ludzi widziała we mnie wroga, gdy się dowiedzieli, że walczyłem po stronie Unii - powiedział. - Z czasem wszystko się układa, tylko trzeba trzymać się swego, panno Maggie. Zobaczysz pani, że niedługo i panią ludzie polubią.

Zdziwiła się bardzo, że Teksasczyk, w dodatku mający dwóch braci walczących po stronie Konfederacji, zaciągnął się do wojsk unionistów, odważyła się więc spytać go o przyczynę. Odpowiedział jej, że podjął tę trudną decyzję zgodnie z głosem sumienia.

- Z tego powodu na wiele lat straciłem Oliwię - wyznał. - Ale w końcu zesłaliśmy się znowu i przeszłość już nas nie dzieli. Ważne jest to, co robisz teraz, wtedy porządni ludzie zawsze dadzą ci szansę. Inni się nie liczą. Czy mój zrzędlawy starszy brat odnosi się do pani jak należy?

Takie określenie Garricka wywołało na twarzy Maggie uśmiech. Powiedziała, że owszem, wszystko jest w porządku. Teraz, gdy jej zręczne palce ustawiały cynowo- ołowiowe czcionki w wiersze, znów mimo woli się uśmiechnęła, przypomniała sobie bowiem, jak zdecydowanie jej gburowaty pracodawca wspomógł ją u doktora.

Nie była przygotowana na nagłe zetknięcie z Garrickiem. Najbardziej jednak zdziwiła się doznaniem wywołanym przez jego podtrzymujące ramię. Jeszcze nigdy nie przebiegł po jej ciele taki dreszcz. A gdy Devlin zaczął jej bronić, myślała, że się przesłyszała.

Nazwał ją damą i wtedy aż zrobiło jej się ciepło z zadowolenia, że użył takiego określenia. Wprawdzie wiedziała, że w rzeczywistości, zdaniem Garricka Devlina,

damą nie może być żadna kobieta, która wdziera się do świata mężczyzn, liczyło się jednak to, że chciał zachować się wobec niej lojalnie. A potem widocznie zauważył, że jest bliska łez, bo zaczął żartować, żeby zapomniała o przykrym zdarzeniu.

Szkoda, że trwało to tak krótko, w każdym razie przez tę chwilę Maggie mogła zobaczyć w Garricku Devlinie bardzo przyzwoitego człowieka. Przemknęło jej przez myśl, że może jednak będą mogli razem pracować.

Gdy wchodziła do szeryfa, Garricka ciągnął gdzieś oberwany, brodaty mężczyzna. Miał na sobie nędzne resztki munduru konfederatów, musiał więc być jego starym kamratem. Zaintrygowało ją, co to za jeden. Garrick wyraźnie nie chciał jej przedstawić temu człowiekowi, czego zresztą wcale nie żałowała, nie wydawało jej się bowiem, by była to ciekawa znajomość.

Nagle drzwi redakcji się otworzyły i usłyszała głos Garricka. Już miała go zawołać, gdy doleciał ją również odgłos kroków drugiego człowieka.

- Tu właśnie mieści się redakcja „Gillespie Springs Gazette” - mówił Garrick do swojego towarzysza. - Akurat dzisiaj wydaliśmy pierwszy numer. Chciałbym, żebyś poznał...

- O, to jest ta dzierlatka, z którą rozmawiałeś, zanim cię zawołałem. Nie powiedziałeś mi, że pracuje dla ciebie takie urodziwe dziewczę- odpowiedział tamten. Maggie zobaczyła tego samego mężczyznę, na którego już wcześniej zwróciła uwagę. Teraz ścisnął w pożółkłych zębach grube, śmierdzące cygaro. Od razu poczuła do niego niechęć. Pożądliwe oczka zmierzyły ją od stóp do głów. Wiedziała, że Garrick nie widzi tego spojrzenia, bo mężczyzna wystąpił naprzód z wyciągniętą ręką.

- Panno Harper, to mój były dowódca z wojska, kapitan Ezechiel Barbee - powiedział Garrick. - Zeke, to moja pracownica, panna Harper.

- Niech pani podejdzie bliżej i uściśnie mi dłoń, panno Harper! - zagrzmiął mężczyzna z pijackim animuszem. - Takiej ślicznotki już dawno nie widziałem. Pracuje pani dla mojego starego kumpla Garricka? To znaczy, że jesteśmy prawie

rodziną, nieprawdaż?

Maggie nie zamierzała jednak zbliżyć się do niego ani o krok.

- Miło mi pana poznać, Barbee, ale nie chciałabym panu ścisnąć dłoni. Obawiam się... obawiam się, że pobrudzę pana farbą drukarską - powiedziała szybko, pokazując uczernione palce. Wprawdzie farba drukarska była niczym w porównaniu z grubą skorupą brudu na rękach kapitana Barbee, ale Maggie po prostu nie chciała dotykać tego człowieka. Pod jego spojrzeniem czuła się tak, jakby spadła z niej suknia, a ona stała przed nim w samej bieliźnie.

Mężczyzna aż otworzył usta ze zdumienia.

- A niech mnie dunder świśnie! Pracuje dla ciebie Jankeska?

Zirytowana już wcześniej zuchwałym spojrzeniem mężczyzny, Maggie zdrętwiała. Dość już miała tego określenia, które wciąż słyszała na prawo i lewo. Zobaczyła jednak, jak Garrick się czerwieni, i zrozumiała, że jest bardzo zakłopotany.

- To doświadczona dziennikarka, Zeke, a wojna już się dawno skończyła, sam wiesz.

- Ano słusznie - skwapliwie przyznał Barbee. - Mam nadzieję, że nie czuje się pani urażona. - Niby przeproszał, ale nadal pożerał ją wzrokiem, nie cofnął też ręki.

- Nie - odparła z godnością, nie ruszyła się jednak. - Miło mi było pana poznać, kapitanie Barbee, ale powinnam wrócić do pracy.

- Może pani już na dzisiaj skończyć, panno Harper - powiedział Garrick. - Na pewno jest pani zmęczona. Resztę zrobi pani jutro. Spotkamy się rano. Zaprosiłem dziś kapitana na kolację.

- Tak jest. Dwa stare wiarusy muszą jeszcze powojować. Przypomnimy sobie wszystkie bitwy, tylko tym razem kto inny wyjdzie z nich zwycięsko - zachichotał Barbee. - Za pozwoleniem, panno Harper, tym również nie chciałem pani obrazić.

Maggie nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć na tę oczywistą prowokację.

- Do zobaczenia rano, panie Devlin.

Gdy drzwi się zamknęły, ciężko westchnęła i popatrzyła za mężczyznami przez okno. Zamierzała spytać Garricka o układ reklamy hotelu i o to, czy będzie mogła pisać artykuły do gazety, ale nie chciała przedłużać obecności kapitana Barbee.

Jak Garrick mógł uważać takiego odstręczającego typu za przyjaciela? Uświadomiwszy sobie tę myśl, Maggie ostro przywołała się do porządku. Nie do niej należało dyktowanie pracodawcy, z kim ma się przyjaźnić. Ale miała nadzieję, że Barbee nie zatrzyma się w mieście na długo.

Przeciągnęła się i rozmasowała obolałe plecy. Doszła do wniosku, że rzeczywiście czas zakończyć pracę, chociaż afisz dla szeryfa nie jest gotowy. Poprzedniej nocy spała o wiele za krótko, więc fizyczne zmęczenie i wyczerpanie przeżyciami dnia dało jej się solidnie we znaki. Postanowiła pójść do hotelu i coś zjeść. Nieco pokrzepiona zupą wykrzesła z siebie jeszcze trochę sił, by napisać list do ojca. Wiedziała, że na pewno się o nią martwi i bardzo jest ciekaw, jak idzie jej nowa praca. A gdy usiadła do stołu w pokoiku nad redakcją, zrozumiała, że bardzo chce opowiedzieć ojcu o Garricku Devlinie, odmalować słowami sylwetkę tego opryskliwego Teksasńczyka, żeby John Harper mógł go sobie wyobrazić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego ranka Margaret Harper trzymała w ręce sztylet zecerski i była już bardzo zaawansowana w pracy, gdy do redakcji wszedł Garrick.

- Dzień dobry, panie Devlin! - zawołała do niego. - Właśnie skończyłam składać afisz dla pańskiego brata, to ostrzeżenie przed bandytami, którzy grasują w okolicy. Powiedział panu o nich, prawda?

Wydawała się wypoczęta, jej oczy znów lśniły. Włosy zebrała w jeden gruby warkocz, ale na czole miała kilka loczków, które uwolniły się spod tasiemki. Gdy Garrick na nią spojrział, przez okno wpadł promień słońca i loczki na jej czole zapłonęły żywym ogniem.

Do licha, ale jest piękna, pomyślał Garrick i jeszcze bardziej zmarkotniał. Od samego rana czuł ból w amputowanej nodze, nakładający się na pulsowanie w głowie, które zapowiadało się na dobre trzy dni. Był głupcem, że pomógł Zeke'owi dokończyć butelkę whisky, którą kapitan wyciągnął z juków.

- Jest pani niezwykle radosna od samego rana - burknął. - Naturalnie wiem o bandytach. Nawet przyszedłem specjalnie po to, żeby napisać o tym artykuł. - Rzecz jasna, wcale nie miał takiego zamiaru, musiał jednak zachować twarz, jego pracownica wykazywała się bowiem coraz większą przedsiębiorczością.

Zobaczył, jak panna Harper pochmurnieje, i natychmiast pożałował swego kwaśnego tonu. To nie była jej wina, że boli go głowa ani że jej uroda go pociąga, choć wiadomo, iż kobiecemu urokowi nie wolno ulegać.

- Przepraszam. Nie chciałem być przykry. Trochę za długo gadaliśmy z Zeke'em o dawnych czasach. - Nie bardzo rozumiał, dlaczego to powiedział. Przecież wcale nie musiał się przed nią tłumaczyć.

Odwróciła głowę, ale zdążył zauważyć jej ukrywane rozbawienie.

- Musiało być panu miło spotkać starego towarzysza - powiedziała neutralnym

tonem.

Skinał głową.

- Tak. On uważa, że pani jest bardzo ładna, - Zeke wyraził to znacznie dosadniej, ale Garrickowi nagle zaczęło zależeć na tym, żeby Maggie polubiła jego starego przyjaciela, choć znów nie bardzo rozumiał, dlaczego tak jest.

Jej podbródek natychmiast znalazł się wyżej niż przed chwilą, a oczy strzeliły błyskawicami.

- Temu lubieżnemu oberwańcowi podoba się wszystko, co ma spódnicę - odpałała. - Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że więcej go nie spotkam.

Ten nieoczekiwany wybuch na nowo obudził w Garricku irytację.

- Nie umie pani w nim dostrzec nic oprócz zniszczonego szarego munduru, prawda?

Odwzajemniła mu się gniewnym spojrzeniem.

- A pan potrafi? Czy pan myśli, że wszyscy ludzie, którzy go noszą, są siłą rzeczy dobrzy i szlachetni? Nie... - zawiesiła głos i odwróciła się do niego plecami. - Mniejsza o to. Zgódźmy się po prostu, że mamy różne opinie o pańskim przyjacielu, kapitanie Barbee.

Przez chwilę zastanawiał się, co zamierzała powiedzieć, ale za nic by jej o to nie spytał.

- W porządku, panno Harper - odrzekł chłodno i podszedł bliżej, by obejrzeć skład afisza.

- Wygląda dobrze - ocenił, zdając sobie sprawę, że byłoby niegrzecznie szczędzić pochwały. - Niech pani wydrukuje, ile trzeba, i zanieś szeryfowi. Cał ma na to pieniądze, więc nam zapłaci.

Maggie wzięła się do pracy, a on usiadł za biurkiem i zaczął pisać artykuł o bandzie grasującej w okolicy. Przez kilka minut w redakcji słychać było tylko skrzypienie pióra i metaliczne łoskoty wydawane przez prasę marki Washington.

- Gotowe - oznajmiła w końcu i położyła na biurku wydrukowany afisz. -

Niech przeschnie parę minut, a potem zaniosę go... O, jest pan, panie Jones - powiedziała, gdy dzwonek ogłosił czyjeś nadejście.

Garrick odłożył pióro, a gdy podniósł głowę, zobaczył niskiego, żylastego mężczyznę o skórze koloru wiśniowego drewna. Stał tuż za progiem i miał kapelusz w dłoni. W drugiej ręce trzymał woreczek.

- Przykro mi, ale nie mam tutaj jedzenia - powiedział Garrick, sądząc, że to jeden z licznych byłych niewolników, którzy po odzyskaniu wolności nie wiedzieli, co ze sobą począć. Zajrzał do szuflady, żeby sprawdzić, czy nie leżą tam jakieś drobne monety. - Ale masz tu cztery centy. Jeśli pójdziesz do hotelu i zapukasz od tyłu, dostaniesz za to dwie kanapki. Powiedz, że przysłał cię Garrick Devlin.

Mężczyzna uśmiechnął się. Na jego twarzy malowało się jednocześnie poczucie godności i rozbawienie.

- Nie przyszedłem po jałmużnę, panie Devlin. Nie chcę niczego, czego sam nie zarobiłem.

- Obawiam się, że pracy również nie mogę ci zaoferować - powiedział Garrick. - Dopiero zacząłem wydawać gazetę i nie mam jeszcze bieżącego kapitału. - Kątem oka zerknął na Maggie, użył bowiem jej określenia.

Panna Harper wstała ze swego miejsca i z zaniepokojoną miną podeszła do niego.

- Panie Devlin, to Eureka Jones - powiedziała. - Chciałam wspomnieć o nim zaraz po pańskim przyjściu, ale wyleciało mi to z głowy, bo zaczęliśmy rozmawiać o... o czym innym.

Zobaczył rumieniec na jej policzkach i zrozumiał, że ma na myśli ich ostrą wymianę poglądów na temat Zeke'a Barbee.

- Pan Jones zagadnął mnie przed redakcją mniej więcej godzinę temu - podjęła, wskazując Murzyna skinieniem głowy - kiedy wracałam tutaj z hotelu po wypiciu kawy. Pokazał mi próbki swoich prac, a ja chciałabym, żeby pan je obejrzał. Moim zdaniem powinien go pan zatrudnić.

- Zatrudnić? Próbki pracy? - powtórzył Garrick. Czyżby Margaret Harper całkiem oszalała? Czy nie słyszała, że przed chwilą ten Murzyn dostał od niego zdecydowaną odpawę? Czy właśnie nie ona sama wypomniała mu brak gotówki albo kapitału bieżącego, jak to nazwała na swój jankeski sposób? Czyżby był to kolejny przykład jankeskiego wtrącania się donie swoich spraw? - Zwrócił się z powrotem do Murzyna: - Obawiam się, że panna Harper wprowadziła pana w błąd. Nie mam dla pana pracy, panie Jones - powtórzył.

Eureka Jones wzruszył ramionami i odwrócił się do drzwi.

- Na pewno będzie pan miał, panie Devlin! - zawołała Maggie, wyciągając rękę do Murzyna, żeby przypadkiem nie wyszedł. - To znaczy, jestem przekonana, że zechce pan zatrudnić pana Jonesa, poznawszy jego umiejętności - poprawiła się świadoma, że jej nadmierna pewność siebie może zmniejszyć szanse protegowanego. - Pan Jones ma talent do rzeźbienia w drewnie i chętnie to panu pokaże, jeśli da mu pan okazję.

- Rzeźbi w drewnie? Nie potrzebuję... - zaczął Garrick.

- Owszem, potrzebuje pan, jeśli chce pan publikować w gazecie ogłoszenia, a już pan zdecydował, że tak.

Nie, to pani zdecydowała, chciał powiedzieć, ale Maggie nie dopuściła go do słowa.

- Pamięta pan, mówiłam o stereotypach, drewnianych klockach z wrytymi rysunkami i literami, które można wykorzystywać w kolejnych numerach gazety, nie robiąc za każdym razem nowego składu? Proszę, panie Jones, niech pan wysypie próbki na biurko.

Murzyn obrzucił Devlina nieufnym spojrzeniem i zawahał się. Wreszcie jednak skinął głową, otworzył woreczek i wysypał na blat biurka ponad dziesięć prostopadłościennych, drewnianych klocków różnej wielkości.

- Może obejrzy pan najpierw ten - powiedział, podając Garrickowi największy.

- To... to jest przecież nasza redakcja! - powiedział Devlin, zaskoczony dokładnością, z jaką Murzyn odwzorował budynek w drewnie. - A co jest poniżej? Te litery są jak w lustrze... - W końcu udało mu się przeczytać pierwszy wers: - „Gillespie Springs Gazette”... - Po chwili poradził sobie również z mniejszymi literami poniżej: - „Prawda dla Teksasu”. Jak pan to zrobił? I do tego tak szybko! Przecież zaledwie wczoraj przygotowaliśmy pierwszy numer!

- Wyrzeźbiłem to w nocy - wyjaśnił Murzyn. Jego czekoladowe oczy promieniały dumą.

Garrick szybko obejrzał pozostałe klocki. Jeden przedstawiał budynek banku, inny rząd flakoników, jeszcze inny trzy kapelusze. Na mniejszych klockach były wyryte monogramy różnych krojów, od misternych gotyckich po inne, prostsze.

- Pan naprawdę ma talent! - oświadczył Garrick. - Gdzie się pan tego nauczył?

Przez twarz Murzyna przemknął cień.

- Byłem niewolnikiem w Luizjanie. Moja mama pracowała w kuchni, w wielkim domu. Ja też miałem swoje obowiązki, ale kiedy się z nimi uwinąłem, pozwalala mi rzeźbić w ziemniakach. Dała mi nawet kozik, który panicz zostawił na werandzie. Zacząłem rzeźbić zabawki dla dzieci, a potem klocki z literami. Pan obiecał mi parę centów, jeśli wyrzeźbię komplet klocków z wszystkimi literami. Zacząłem też wycinać litery odwrotnie, żeby dzieci pana mogły bawić się stemplami. Tak im się to spodobało, że nauczyły mnie czytać, żebym mógł się bawić razem z nimi.

Spuścił głowę i dodał:

- Ale panu nie bardzo się to spodobało. Było sprzeczne z prawem, żeby niewolnik umiał czytać, więc sprzedał mnie i moją siostrę bratu, który przenoślił się do Teksasu. Garrick słuchał w milczeniu, ogarnięty zgrozą. Devlinowie nigdy nie mieli niewolników, ale znał wielu ludzi, którzy ich mieli. Zawsze wprawiała go w zakłopotanie myśl o tym, że właściciele niewolników dla zwykłego kaprysu potrafia

rozdzielić rodzinę. Próbował sobie wyobrazić, jak by to było gdyby jemu odmówiono prawa do nauki czytania.

Eureka Jones odkaszlnął.

- No cóż. Wojna się skończyła i jestem wolny, więc już nie muszę nikogo przeproszać za to, że umiem czytać.

- Naturalnie - mruknął Garrick.

- Panie Devlin - włączyła się do rozmowy Maggie - jeśli liczy pan na regularne publikowanie ogłoszeń, to będzie pan potrzebował dostawcy stereotypów. Pan Jones doskonale się nadaje do tej pracy. Ten klocek, który obejrzał pan na początku, byłby znakomitym nagłówkiem gazety, nie sądzi pan?

Garrick musiał przyznać, że owszem.

- Nie zmienia to jednak faktu, że nie stać mnie...

- Pan Jones powiedział mi, że chętnie będzie pracował w zamian za jedzenie, przynajmniej na początku, i że pomoże posprzątać w redakcji, zrobić zakupy i wykonać cięższe prace, które mogłyby sprawić kłopot pana gospodyni - dodała szybko Maggie. - Ja tymczasem zacznę uczyć go zawodu, więc gdy zechce pan go już zatrudnić jako pomocnika, pan Jones będzie doskonale znał swoje obowiązki.

- Wszystko dokładnie pani obmyśliła, panno Harper, co? - burknął Garrick. Wiedział, że musi ustąpić, nie chciał jednak pokazać tej Jankesce, że można go sobie owinać dookoła palca. - A gdzie pan Jones będzie spał? Nie sądzę, żeby chciała pani opuścić swój pokój i przenieść się do pensjonatu, jak proponowałem na początku. Nie stać mnie na opłacenie mieszkania pana Jonesa, choćby rzeźbił najlepiej na świecie. I skąd pan będzie brał drewno, panie Jones?

- Z tym nie ma kłopotu, panie Devlin - odparł Murzyn. - Odkąd przyjechałem do miasta, mieszkam razem z siostrą na North Street. Robiłem różne rzeczy, ale rzeźbić lubię najbardziej. Po prostu nie chcę, żeby siostra musiała mnie utrzymywać, ma przecież swoje dzieciaki do nakarmienia. A drewno też jest. U siostry na podwórzu rósł wielki nerkowiec. Niedawno runął podczas burzy, na szczęście nie na

dom, tylko tuż obok. Resztki, które nie poszły na opał, nadają się do rzeźbienia.

Garrick zauważył ostrożny uśmiech Margaret Harper, gdy powiedział:

- Wobec tego przyjmuję pana. Może pan zacząć od wyrzeźbienia stereotypu dla hotelu. Mam nadzieję, że jego właściciel będzie naszym stałym klientem.

Eureka Jones uśmiechnął się szeroko.

- Dziękuję, panie Devlin. Nie pożałuje pan, że mnie przyjął. I niech pan mówi do mnie po prostu Eureka.

- Zgoda - odparł Garrick i wyciągnął do niego rękę. - Witam w pracy. Panna Harper przed pójściem do szeryfa pokaże panu, co musi zawierać ogłoszenie hotelu. A ja teraz siadam z powrotem do pisania, bo chcę skończyć artykuł przed obiadem. Potem pójdzie pan ze mną do domu, przedstawię pana seniorze Mendez, mojej gospodyni. Panna Harper, dzisiaj je pani obiad w hotelu, prawda?

- Tak, panie Devlin - odpowiedziała. Widział, jak stara się ukryć triumfalny uśmiech. Irytowało go, że do tej pory panna Harper podsuwa mu same dobre pomysły.

Eureka Jones zwrócił się do Maggie:

- Moja siostra, Bessie, jest kucharką w hotelu, Proszę jej powiedzieć, że pan Devlin mnie przyjął, to na pewno zaopiekuje się panią ze szczerego serca.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Doskonale - oświadczył następnego ranka Cal. Garrick poprosił brata, żeby przeczytał brudnopis artykułu o bandytach terroryzujących okolicznych farmerów, zanim Margaret Harper zacznie go składać.

Maggie zauważyła, że Garrick aż się zarumienił, słysząc pochwałę, powiedział jednak tylko:

- Po prostu zestawilem wszystkie fakty, tak jak sobie życzyłeś.
- Rzeczywiście, jest tu wszystko co trzeba. Bandyci, jak sędzę, raczej nie czytają gazet, ale mam nadzieję, że wieść o nich rozejdzie się po okolicy, żeby porządni ludzie z Gillespie Springs byli przygotowani i mogli się bronić. Może zresztą ci dranie przeniosą się w bogatsze rejony, chociaż, rzecz jasna, żadnemu szeryfowi nie życzę takich obwiesiów na jego terenie.

- Mimo to lepiej byłoby, żeby się od nas wynieśli - przyznał Garrick. -
Dobrze, panno Harper. Szeryf zatwierdził artykuł, może go pani złożyć.

- Naturalnie, panie Devlin.
Cal ruszył do wyjścia, ale po paru krokach przystanął.
- Słyszałem, że zatrudniłeś Eurekę Jonesa - powiedział.
- W małym mieście wszyscy zaraz wszystko wiedzą, co? - mruknął Garrick. -
To porządny człowiek - powiedział Cal. - Dobrze, że dałeś mu szansę stałej pracy.
Ale na mnie już czas - dodał. - Panno Harper, niech pani nie pozwoli mojemu zrzędliwemu bratu, żeby zmuszał panią do zbyt ciężkiej pracy.

- Nie pozwolę - zapewniła go Maggie z uśmiechem. Z Calem Devlinem łatwo się było dogadać, chociaż z pewnością niełatwo go było oszukać. Mimo to starszy z braci Devlinów wydawał się Maggie przystojniejszym mężczyzną, reprezentującym surowy, ascetyczny typ. Skąd mi to przyszło do głowy? - zreflektowała się nagle. I co to ma do rzeczy?

Właśnie w tej chwili wszedł do redakcji Eureka. Cal skinął mu głową na powitanie i znów ujął za klawiskę.

Zanim jednak zdążył ją nacisnąć, drzwi się otworzyły i na progu stanął Zeke Barbee. Cal uprzejmie zrobił miejsce wchodzącemu.

Maggie zauważyła, że kiedy wzrok Zeke'a padł na gwiazdę przy kamizelce Cala, przez jego twarz przemknął grymas.

Obaj mężczyźni nieufnie spojrzeli na siebie i dopiero potem kapitan wyciągnął rękę.

- Jestem Zeke Barbee, szeryfie. Garrick powiedział mi, że ma tu brata, który jest stróżem prawa. Byłem dowódcą Garricka podczas wojny. Razem walczyliśmy, razem piliśmy i razem się łajdaczyliśmy.

Maggie zwróciła uwagę, że Cal się zawahał, zanim podał rękę nieznanemu.

- Cal Devlin. Zamierza pan zostać w Gillespie Springs? Jego głos nie brzmiał zachęcająco i Maggie była przekonana, że również Barbee to wyczuwa.

- Jestem jak wiatr, szeryfie. Nigdy nie wiadomo, w którą stronę powieje. - Kapitan, wyminawszy Cala, wszedł głębiej do redakcji.

Cal pożegnał wszystkich uniesieniem dłoni i znikł za drzwiami. Barbee wyglądał przez okno, póki szeryf nie przeszedł przed nim, kierując się ku miejskiemu aresztowi.

- Chyba nie spodobałem się twojemu bratu - zwrócił się do Garricka. - Patrzył na mnie tak, jakby chciał mi powiedzieć, że bym się wynosił. Zupełnie jak na rabusia.

- Jestem przekonany, że tylko ci się tak zdawało - odparł Garrick. - Cal nie ma powodu źle o tobie myśleć. Daj mu trochę czasu, żeby się do ciebie przyzwyczaił. On po prostu nie ma zaufania do obcych, którzy pokazują się w mieście. Wiesz przecież, że w okolicy grasuje banda opryszków.

Maggie pomyślała, że może Cal Devlin nie ma konkretnych zarzutów przeciwko Zeke'owi, ale jest dobrym znawcą charakterów. Pochyliła się nad kasztą,

żeby nie zwracać na siebie uwagi. Stwierdziła, że również Eureka usiadł w głębi pomieszczenia, tak jakby i on nie chciał mieć nic wspólnego z Zeke'em Barbee.

- Co tym razem sprowadza cię do miasta, Zeke? Wczoraj rano powiedziałeś mi, że wybierasz się do Worth, żeby poczekać tam na jakieś stado.

- Rozmyśliłem się- Dostałem pracę na farmie, na południe stąd - odrzekł Barbee.

- O! U kogo?

- Ech, pewnie go nie znasz. Nazywa się... Jack Smith. Taki stary dziwak. Mówi, że rzadko jeździ do miasta, a jeśli już, to zwykle do Brenham.

Pospolite nazwisko, pomyślała Maggie. Była bardzo ciekawa, czy Garrick zauważył, jak nieskory do zwierzeń stał się nagle jego stary przyjaciel

- Szybko ci się poszczęściło - stwierdził Devlin. - A co chcesz załatwić w mieście?

- Potrzebuję trochę zapasów. Poza tym pomyślałem, że wpadnę cię zobaczyć, póki jestem w okolicy - wyjaśnił Barbee. - Co powiedziałbyś na obiad w saloonie i wypicie czegoś do obiadu?

To mętne wyjaśnienie i niechęć Barbee do wyjawienia nazwiska gospodarza wydały się Maggie bardzo podejrzane. Próbowwała zgadnąć, czy Devlin też tak uważa? A może jednak pójdzie do saloonu i straci popołudnie na picie z towarzyszem broni?

Ulżyło jej, gdy odmówił.

- Chciałbym, Zeke, ale mam dużo pracy. Może innym razem.

Zeke aż zamrugał powiekami ze zdumienia.

- Harujesz jak wół? To mało zabawne.

- Muszę harować, inaczej moglibyśmy z moim chłopakiem umrzeć z głodu - zażartował Devlin. - Jeśli będziesz w okolicy, na pewno jeszcze kiedyś pójdziemy razem do saloonu.

Maggie spuściła głowę, żeby nie zdradzić swojego zadowolenia. Był dopiero

piątek, więc do terminu wydania następnej gazety mieli jeszcze sporo czasu. Cieszyła się jednak, że Garrick Devlin poważnie traktuje swoje obowiązki. Może zresztą przejrzał już dawnego kompana.

Wróciła do pracy, ale i tak doskonale wyczuła moment, kiedy Barbee skupił na niej uwagę.

- A może pani, panno Harper? Człowiek nie lubi jeść samotnie, pani rozumie. Jeśli zechce mi pani towarzyszyć, postawię się i zaproszę panią do hotelu. Nie mogę przecież proponować damie saloonu, prawda? - powiedział ze śmiechem, który niewątpliwie oznaczał, że wyraz „dama” należy w tym wypadku traktować bardzo umownie. Przez cały czas wędrował oczami po jej ciele, jakby ciemna suknia, zaplamiona farbą drukarską, była przezroczysta.

Najchętniej powiedziałaaby mu, że nie wypiłaby w jego towarzystwie nawet szklanki wody, ale ponieważ obok stał Devlin, odmówiła uprzejmie:

- Dziękuję bardzo, panie Barbee, ale nie jestem teraz głodna.
- Przecież musi pani coś jeść - nalegał Barbee. Wciąż czuła na sobie jego wzrok. - Taka wątła istota jak pani całkiem zmarnieje, nie jedząc regularnie. Założę się, że mógłby panią przewrócić silny podmuch wiatru. Mężczyźni lubią kobiety przykości.

Odłożyła sztylet zecerski, żałując, że nie może dźgnąć nim kapitana, by wreszcie przestał się obleśnie uśmiechać.

- Nie interesuje mnie, co lubią mężczyźni, panie Barbee - odparła. - Jestem tutaj w pracy u pana Devlina. Życzę panu miłego dnia. - Odwróciła się i udała, że znów zajmuje się składem, chociaż litery, które wybierała, nijak nie tworzyły sensownej całości. Zastanawiała się, co myśli w tej chwili jej pracodawca. Czy będzie na nią zły, że tak ostro odmówiła jego staremu towarzyszowi?

Usłyszała urażone parsknięcie Barbee.

- Płochliwa klaczka, co? - mruknął. - Te zimne wiatry na północy zamieniają kobiety w sopele lodu.

- Zeke... - zaczął Garrick.- Co tam, przynajmniej dziwki lubią starego Zeke'a - przerwał mu kapitan.

- Ej, Garrick, a co tu siedzi u ciebie, chłopie? Słyszałem, że zatrudniłeś czarnucha, ale nie wierzyłem takiemu gadaniu, a teraz widzę to na własne oczy. Ty, wstań, jesteś w towarzystwie białych ludzi!

Rozwścieczona grubiaństwem Zeke'a Maggie odwróciła się gwałtownie. Zobaczyła palec Barbee wycelowany w Eurekę. Podniosła się z krzesła i otworzyła usta, nie zważając na ostrzegawcze spojrzenie Eureki.

Devlin jednak odezwał się pierwszy:

- Tak, Eureka Jones pracuje u mnie. Dlaczego, u licha, miałyby ci to przeszkadzać, Zeke? Sam lubiłeś się chełpić, ilu czarnych ludzi pracowało przed wojną na twojej plantacji.

- Mówił spokojnie, ale Maggie ze zdziwieniem zauważyła, że ma zacięty wyraz twarzy i chłód w niebieskich oczach.

Wyglądało na to, że Barbee jest jeszcze bardziej zdziwiony.

- Kiedy byli niewolnikami, to co innego - oświadczył.

- Ale niech mnie kule biją, jeśli miałbym się zgodzić na towarzystwo czarnego w tej chwili. O tym tutaj mówią, że umie czytać. Taki zawsze czuje się za mądry. A za mądry czarnuch oznacza kłopoty, jak dwa i dwa jest cztery.

Devlin poszedł do niego, jakby chciał osłonić Eurekę przed tymi słowami.

- Zeke, zdaje mi się, że już zajrzałeś dzisiaj do saloonu, sądząc po tym, jak ci się płacze język. - Zerknął znacząco na Maggie, potem na Eurekę. - Czy mama nie uczyła cię, że jeśli nie masz nic miłego do powiedzenia, to lepiej w ogóle się nie odzywać? Myślę, że powinieneś już iść.

Barbee znowu zamrugał powiekami i wytrzeszczył zdumione oczy na Devlina. Minę miał ponurą, dłonie zaciśnięte w pięści.

- No, no. Wiedziałem, że twój braciszek walczył dla tych cholernych Jankesów, ale że ty, żołnierz Konfederacji, będziesz tak mówił, tego się nie

spodziewałem. Widocznie za bardzo się przyjaźnisz z tą Jankeską.

Devlin postąpił jeszcze krok i stuknął laską o podłogę. Barbee stał nieruchomo.

Maggie wstrzymała oddech. Czyżby kapitan zamierzał uderzyć przyjaciela, człowieka mającego drewnianą nogę? A jeśli tak, to czy Devlin będzie w stanie podjąć walkę? I czy będzie potrzebował jej pomocy? Naturalnie udzieliłaby mu jej bez wahania, ale Garrick Devlin mógłby się wzdragać przed przyjęciem pomocy kobiety. Na wszelki wypadek rozejrzała się jednak za czymś większym niż sztylet, co mogłoby posłużyć jako oręż.

Kątem oka dostrzegła, że Garrick rozstawił nogi i mocniej zacisnął dłoń na uchwycie laski, jakby przygotowywał się do zrobienia z niej użytku. Zdecydowała, że w razie bójki wypuści Eurekę tylnymi drzwiami, żeby pobiegł po Cala, a potem spróbuje pomóc Garrickowi bez względu na konsekwencje.

Do tego jednak nie doszło. Mężczyźni przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem, a potem Barbee odwrócił się i powoli wyszedł.

Garrick, Maggie i Eureka stali przez chwilę jak skamieniali. Wszyscy wpatrywali się w drzwi, jakby wciąż mogli tam ujrzeć Zeke'a.

Eureka pierwszy przerwał milczenie:

- Panie Devlin, jeśli chce pan, żebym odszedł, to odejdę. Ani pan, ani ja nie potrzebujemy kłopotów. Garrick huknął laską o podłogę.

- Nie ma mowy, żeby pan odszedł! Potrzebuję kogoś do robienia tych stereotypów i do pomocy pannie Harper, i wcale mnie nie obchodzi, czy ten ktoś jest czarny, biały czy fioletowy... Przepraszam za to, co mój znajomy powiedział.

- Jestem przyzwyczajony, sir - odrzekł Eureka z godnością, którą Maggie tak u niego podziwiała.

- Ale to nie znaczy, że Barbee miał prawo tak się zachować. - Garrick zwrócił się do Maggie: - Bardzo mi przykro również z tego powodu, że musiała paru słuchać jego pijackich obelg, panno Harper. Mam nadzieję, że już nie wróci do redakcji, ale proszę mi natychmiast dać znać, gdyby jeszcze kiedyś była pani narażona na zaloty z

jego strony lub ze strony jakiegokolwiek innego mężczyzny. Drewniana noga może mi trochę przeszkadzać, ale zrobię co w mojej mocy, żeby nauczyć takiego człowieka rozumu.

Maggie czuła, że zdecydowanym odrzuceniem zaproszenia Barbee zyskała szacunek Garricka Devlina, a teraz zrobiło jej się ciepło na duszy, gdy usłyszała jego rycerskie słowa.

- Może mi pan wierzyć, że w armii unionistów są jeszcze gorsi kobieciarze - oświadczyła. - Odkąd zaczęłam pracować u ojca, mężczyźni często sądzili, że można mnie kupić. Zawsze jednak umiałam im wytłumaczyć, że są w błędzie. - Tylko raz mi się nie udało, pomyślała, przypominając sobie nieszczęsną przygodę z kapitanem Burke'em.

- Mimo to czuję się w obowiązku panią przeprosić. Czy zechce pani zjeść dzisiaj obiad u mnie w domu, w towarzystwie moim i Eureka, zamiast iść do hotelu?

- Ależ, panie Devlin, przeprosiny naprawdę nie są potrzebne, w każdym razie na pewno nie z pańskiej strony - powiedziała. - Kobiety stanu wolnego pracujące wśród mężczyzn są siłą rzeczy skazane na niechciane zaloty.

- Nie w mojej gazecie, a nie jestem pewien, czy Barbee wyjechał z miasta - odparł. - W tej sytuacji wolałbym, żeby nie jadła pani sama w hotelu. Zresztą - dodał z uśmiechem - dopytywał się o panią Johnny.

Tym ostatnim argumentem ją przekonał. Przynajmniej tak próbowała sobie to tłumaczyć, bo przecież jego uśmiech nie miał nic do rzeczy. Wcześniej widziała, jak Garrick Devlin uśmiecha się do syna, nie miała jednak pojęcia, że taki surowy, oschły mężczyzna potrafi również czarująco uśmiechnąć się do kobiety.

- No, skoro Johnny chce mnie zobaczyć, muszę przyjąć zaproszenie, jeśli tylko Jowita przygotowała dość jedzenia - odparła swobodnie. - Bardzo polubiłam pańskiego chłopca, panie Devlin.

Wyraźnie mu ulżyło, że skapitulowała, usiłował to jednak zamaskować dumnym uśmiechem ojca.

- Johnny traktuje każdego tak, jakby go od dawna znał
- odrzekł i sprawdził godzinę na złotym zegarku z dewizką.

- Skoro mamy zjeść razem, to chyba powinniśmy już iść. Dochodzi południe. A jedzenia naturalnie będzie aż nadto. Jowita gotuje tyle, że można by nakarmić pluton wojska. - Otworzył drzwi na dwór. - Proszę, panno Harper. Eureka, idzie pan? Jowita powiedziała, że w taki ciepły kwietniowy dzień mógłby jej pan pomóc wytrzepać dywany po obiedzie.

- Za jeden posiłek seniorzy Mendez mógłbym trzepać dywany przez całe popołudnie, panie Devlin. Najlepiej pójdę pierwszy i powiem jej, żeby przygotowała dodatkowe nakrycia. Garrick bardzo liczył na Eureka, bo inaczej zostałby z Margaret Harper sam na sam. Już chciał mu powiedzieć, że Jowity wcale nie trzeba uprzedzać, bo i tak doskonale da sobie radę, ale nagle zrozumiał, że i dla Eureka będzie lepiej, jeśli pójdzie pierwszy. Na Południu Murzyn idący przed białymi mógłby niepotrzebnie zwrócić na siebie uwagę. Niektórzy zapewne uznaliby to za potwierdzenie tego, że jest „za mądry”. A przecież Eureka miał swoją dumę i na pewno nie powinien iść za nimi, jakby wciąż pozostawał niewolnikiem. Garrick zżymał się, że taki człowiek musi niemal chodzić na palcach, byle nie urazić białych. Zdecydował, że nie chce mieć nic wspólnego z ludźmi pokroju Zeke'a Barbee, dla których Eureka wciąż pozostawał rzeczą.

- Dobrze - zgodził się i Eureka szybko wyszedł. Garrick pomyślał, że zazdrości mu długiego, sprężystego kroku. Obrócił się, żeby sprawdzić, czy Maggie na niego patrzy, i chociaż nie zauważył w jej oczach ani śladu współczucia, domyślał się, że musiała odgadnąć jego nastrój.

Wciąż wracało do niego wspomnienie starcia z Zeke'em. Wbrew swemu głębokiemu przekonaniu, że właściwym miejscem dla kobiety jest dom, Garrick był bardzo zażenowany wszystkimi afrontami, które spotkały Maggie w miejscu pracy - co gorsza, ze strony człowieka, którego uważał za swojego przyjaciela. Nawet wścibska Jankeśka na to nie zasługiwała.

Jego uczucia nie ograniczały się jednak tylko do wstydu. Garrick ze zdziwieniem odkrył w sobie również gniew, gdy zauważył, w jaki sposób Zeke patrzy na pannę Harper.

Maggie bardzo zręcznie i stanowczo odrzuciła zaproszenie Barbee. Najwyraźniej miała w tym wprawę, co zresztą sama mu powiedziała. Skąd więc u niego ten gniew?

Przypomniał sobie niepokój, jaki go ogarnął, gdy Barbee zaczął rozmawiać z panną Harper o obiedzie. Obawiał się, że wbrew swoim wcześniejszym krytycznym uwagom o kapitanie Maggie przyjmie jego zaproszenie. Wprawdzie Barbee pracował jako zwykły kowboj u jakiegoś farmera, ale swojego wyglądu nie musiał się wstydzić, a co ważniejsze, był zdrowym, nie okaleczonym mężczyzną. Nie chodził na drewnianej nodze, pomagając sobie laską. W jego towarzystwie Margaret Harper nie musiałaby zwalniać kroku, co robiła na przykład teraz, gdy szła razem z nim.

Zdecydowanym „nie” na zaproszenie kapitana panna Harper uciszyła jego lęki, lecz mimo to nie przestał się zastanawiać, skąd wziął się w nim gniew skierowany przeciwko dawnemu dowódcy. Całkiem nieproporcjonalny do przyczyny.

Jeszcze raz odtworzył w myślach tę wymianę zdań i uświadomił sobie, że gniew wybuchł w nim, gdy podążył wzrokiem za spojrzeniem Barbee i zauważył, że jego rozpalone, pożądliwe oczy wpatrują się w piersi Maggie. Poczul się jak samiec, który nagle spotkał rywałę zalecającego się do jego samicy.

Omam nie roześmiał się w głos, tak niedorzeczne wydało mu się *to* skojarzenie. Przecież nawet jej nie lubisz, pomyślał. Jest arogancka, wścibska i do tego pochodzi z Północy. Ale nawet gdyby było inaczej, jego męskie triumfy należą już do przeszłości. Był po prostu śmieszny, wyobrażając sobie, że mógłby zdobyć tak piękną kobietę jak Maggie Harper, smukłą, ognistowłosą, zielonooką istotę. Jej należał się zdrowy, w pełni sprawny mężczyzna, toteż takie rozmyślania są z jego strony zwykłą stratą czasu. Ostatniej nocy ocknął się zlany potem nie dlatego, że śnił o swojej zmiążdżonej nodze, nie dlatego, że znowu miał koszmar, w którym widział

Cecylię, lecz dlatego, że we śnie znalazł się w intymnej sytuacji z kobietą, która właśnie szła obok niego i mówiła coś o pogodzie. Strata czasu.

Zresztą nawet gdyby Margaret Harper zechciała spojrzeć na niego przychylnym okiem, to czy mógł się znowu narazić na gorzkie rozczarowanie? Wprawdzie dała odprawę Barbee, ale nie znaczyło to, że nie zostawi go, gdy tylko na horyzoncie pojawi się odpowiedni kandydat.

Nagle drgnął, uświadomił sobie bowiem, że jego towarzyszka oczekuje odpowiedzi.

- Przepraszam, panno Harper, czy pani coś mówiła? Spojrzała na niego kątem oka.

- Powiedziałam, że wiosna w Teksasie jest piękna. Jakie mocne słońce! W ogóle nie ma szarości i słotnych dni, tak jak o tej porze roku w Ohio.

- O, słońca w Teksasie będzie pani miała aż nadto. Pod koniec lata zatęskni pani jeszcze do śniegu i szarych, smutnych dni.

Panna Harper gwałtownie zaprotestowała.

- Przyjechaliśmy tu z ojcem w środku lata, panie Devlin. Uważam, że jestem zahartowana i na pewno dam sobie radę.

- Nie będzie pani brakować śniegu? Tutaj właściwie nie zdarza się, żeby padał. Widziałem go raz, może dwa razy w życiu. Och, naturalnie nie mówię o latach wojny, kiedy byłem bardziej na północy. - Przypomniał sobie zimowe wieczory, które spędzali w kucki przy ognisku, przeklinając zimno i to białe paskudztwo. Ale było wtedy tak ładnie dookoła.

- No, może zatęsknię trochę w Boże Narodzenie - odparła Maggie. - Dziwnie się czułam w zeszłym roku, kiedy wyjrzałam przez okno i nie zobaczyłam ani jednego płatka śniegu, ani jednego sopła. - Jej twarz nagle posmutniała.

Garrick bardzo chciał, żeby Margaret Harper znowu się uśmiechnęła.

- Powinna pani wybrać się za miasto w maju, panno Harper. Wtedy łąki są całe w kwiatach. Są dzwonki, różowe prymulki, a żółtych kwiatów jest tyle, że ma się

wrażenie, jakby ktoś wybrukował złotem drogę do nieba. - Mimo woli wyobraził sobie, jak jadą z Maggie powozem na piknik wśród takich kwiatnych łąk.

- Ojej, panie Devlin - ucieszyła się. - Nie przypuszczałam, że drzemie w panu poeta. Może powinien pan pisać wiersze... albo powieści.

Zerknął na nią, żeby sprawdzić, czy z niego nie żartuje, ale w jej zielonych oczach nie dostrzegł kpiny, jedynie zainteresowanie.

- Nie jestem poetą. Jestem dziennikarzem - powiedział szorstko. - W gazetach nie ma miejsca na taki ozdobny język. Po prostu lubię przyglądać się naturze, kiedy wszystko kwitnie, i to wszystko. O, już jesteśmy na miejscu - powiedział zadowolony, że wreszcie dotarli do domu i nie będzie sam na sam z Maggie Harper, która budziła w nim tak sprzeczne uczucia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Tato, przyprowadzaj pannę Maggie na obiad codziennie - domagał się Johnny wieczorem, gdy Garrick kładł go do łóżka. - Jest taka ładna. Czy nie uważasz, że jest ładna, tato?

Garrick dumiał właśnie o tym, jak przyjemnie było mu słuchać rozmowy Margaret Harper z Johnnym, nie był więc przygotowany na takie pytanie.

- Ładna? Bo ja wiem, synu? Chyba tak - wybąkał. Nie ładna, lecz piękna. Gdy porównywał w myślach Maggie ze swoją żoną, uroda Cecylii wydawała mu się całkiem banalna.

- Tato, ona mnie lubi, czuję to - oświadczył rezolutnie chłopiec. - Jest dla mnie bardzo dobra. Czy ona może zostać moją nową mamą?

Już poprzednie pytanie Johnny'ego wprowadziło Garricka w zaskoczenie, ale po tym dosłownie osłupiał. Jak coś podobnego mogło przyjść małemu do głowy? Jednak

nie chciał, żeby Johnny nabrał przekonania, że spytał o coś niewłaściwego. Musiał bardzo starannie sformułować odpowiedź.

- Masz rację, synu. Panna Harper rzeczywiście cię lubi i jest dla ciebie bardzo miła. Ale niedawno umarła twoja mama. Wciąż jestem smutny z tego powodu. Po śmierci żony mężczyzna zwykle długo się nie żeni. Czasem nawet już nigdy. - Takie wyjaśnienie Garrick uznał na razie za wystarczające. Chciał poczekać, aż Johnny będzie większy, i dopiero wtedy powiedzieć mu, że nie zamierza się ponownie żenić. Zresztą chłopiec musiałby być już prawie całkiem dorosły, żeby zrozumieć, co znaczy dla jego ojca okaleczona noga.

Johnny zastanawiał się przez chwilę, w skupieniu marszcząc czoło, a Garrick z uwagą się mu przyglądał.

- Tęsknisz za mamą, prawda? Chłopiec skinął głową.

- Mama długo była chora, a potem poszła do nieba. Mały musiał bardzo to przeżyć, pomyślał Garrick, patrzył przecież, jak matka słabnie w oczach.

- Ty nie pozwolisz się zranić i nie pójdziesz do nieba, prawda, tato? - spytał chłopiec po dłuższej chwili. Broda mu drżała, a oczy zrobiły się podejrzanie wilgotne.

Garricka ogarnęło wzruszenie. Pogłaskał synka po głowie i powiedział:

- Bądź spokojny, Johnny, jeszcze długo, długo nie pójde do nieba. Zanim to się stanie, sam będziesz miał dzieci.

Chłopiec wydawał się jednak tylko częściowo usatysfakcjonowany.

- Lubisz seniore Jowitę, prawda? - spytał go Garrick.

- Pewnie, tato - odpowiedział Johnny swoim dyszkancikiem. - Ale Jowita jest jak babcia, nie jak mama. Mamy są młode i ładne, tak jak moja mama albo jak panna Maggie. Lubisz pannę Maggie, tato?

- Lubię ją, Johnny, ale panna Maggie nie przyjechała tutaj po to, żeby zostać moją żoną. Przyjechała pracować w gazecie.

- Może być i jedno, i drugie - oświadczył chłopiec. - Zapytam ją.- Nie,

Johnny! - powiedział szybko Garrick. - O takie rzeczy dorośli muszą pytać sami.

Zorientował się, że popełnił błąd, bo oczy chłopca nagle zalsniły.

- Zapytaj ją więc tato, proszę cię.

Gdyby tylko wszystko chciało być takie łatwe, jak to się zdawało dziecku.

- Nie, synku, nie mogę tego zrobić. Opowiem ci teraz obiecaną historię, a potem spróbuj zasnąć. To będzie o wujku Calu, wujku Samie i cici Annie, kiedy jeszcze byliśmy mali i dostaliśmy kucyka.

- Nie jestem śpiący, tato - zaprotestował Johnny, ale powieki same mu opadły, zadając kłam słowom. Zasnął, zanim Garrick doszedł do tego, jak zaraz pierwszego dnia Sam spadł z kucyka i złamał sobie rękę.

- Czy Johnny jest na górze, senior Garrick? - spytała następnego ranka Jowita, gdy Garrick pojawił się na dole.

- Nie widziałem go - odpowiedział, stając w sieni. - Zdawało mi się, że poszedł się bawić na podwórze.

- Si- potwierdziła Jowita z poważną miną i podeszła do okna wychodzącego na tył domu. - Ale teraz go tam nie widzę.

Garrick wzruszył ramionami.

- Pewnie poszedł do stodoły, do kotów, a może do Toby'ego. Jeśli miseczka na cukier jest pusta, na pewno znajdziesz go z Tobym. - Malec uwielbiał wspinać się na skrzynkę i karmić kostkami cukru ulubionego wałacha ojca.

- Nie, senior, sprawdzałam. Nie ma go w stodole. Garricka ogarnął niepokój.- To znaczy, że wyszedł z podwórza. - Boże, dokąd on poszedł? Dziecko tak łatwo może sobie zrobić krzywdę... Za ogrodzeniem domu ciągnęła się łąka, a dalej płynął strumień. Nie był głęboki, ale nie trzeba wiele wody, żeby nurt porwał trzyletniego poszukiwacza przygód.

Przeklinając swoją niesprawną nogę, Garrick wysłał Jowitę na łąkę, po czym ruszył za nią wolniejszym krokiem. Johnny nie zbierał kwiatów, nie było też żadnego śladu jego obecności w pobliżu strumienia.

Może poszedł w głąb South Street i zainteresował się wielkim, pustym domem bankiera Gillespiego? Wprawdzie budynek otaczało żelazne ogrodzenie, ale co to trudnego dla takiego małego chłopca wcisnąć się do środka między prętami? Devlin zadrżał, bo przyszło mu do głowy, że synek może również buszować po opuszczonych chatach niewolników, gdzie było pełno potłuczonego szkła i zardzewiałych gwoździ...

Wrócili do domu. Jowita była zaniepokojona, ale starała się tego nie okazywać. Garrick podzielił się z nią myślą, że Johnny może oglądać dom Gillespiego.

- Pójdę to sprawdzić, senior. A pan niech idzie na Main Street. Może chłopiec wybrał się do miasta? - Nagle znieruchomiała i zapatrzyła się w odległy punkt. - Jest Johnny, senior!

Garrick podniósł głowę. Z przeciwka nadchodziła Margaret Harper, trzymając chłopca za rękę. Spotkali się na skrzyżowaniu.

- Johnny, gdzieś ty był?! - krzyknął Garrick, niezgrabnie ukląkł w pyle ulicy i uściskał synka. - Tak się o ciebie martwiłem! Chłopiec miał minę winowajcy. Broda mu się trzęsła, twarz miał bladą.

- Przepraszam, tato.

- Johnny wcale nie chciał pana zmartwić - powiedziała Margaret Harper z rozbawioną miną. - Pana syn przyszedł zaproponować mi małżeństwo.

Czyżby wbrew temu, o czym rozmawiali wieczorem, Johnny poszedł prosić Maggie, żeby poślubiła jego tatę? Mimo wielkiej ulgi, że mały się znalazł, Garrick poczuł się bardzo niezręcznie.

- Przepraszam, jeśli mój syn bawi się w swata, panno Harper. Zapewniam, że nie...

Roześmiała się wesoło.

- Och, wiem, że panu to nie w głowie, panie Devlin! Nie proponował mi małżeństwa z panem. Chciał, żebym została jego żoną. Naturalnie wyjaśniłam mu, że wprawdzie czuję się zaszczycona tą propozycją, ale jestem dla niego trochę za stara.

Chłopiec obdarzył ją spojrzeniem wyrażającym uwielbienie, które, o dziwo, zirytowało Garricka nie mniej niż czuły, radosny uśmiech Maggie.

- Pani zbierała zaszczyty, panno Harper, a ja tymczasem szukałem jego ciała w strumieniu. Johnny, puść pannę Harper i chodź do domu. Jesteś w opałach, młody człowieku.

Zobaczył, że uśmiech znika z twarzy Maggie.

- Bardzo mi przykro, że pan się martwił, panie Devlin. Zapewniam, że przyprowadziłam Johnny'ego najszybciej, jak tylko mogłam...

- Jeszcze jeden adorator do kolekcji, co, panno Harper? - odburknął. Natychmiast jednak zawstydzził się, wiedział bowiem, że odgrywa się na pannie Harper za własny niepokój. Ale nie mógł jej przeprosić w obecności dziecka i Jowity. - Zaraz przyjdę do redakcji - powiedział tylko, wziął synka za rękę i skierował się do domu.

W ciągu dnia nie miał jednak okazji do przeprosin. Gdy przyszedł, Maggie pracowała. Wprawdzie nie pokazała po sobie, że uraził ją swym nieopanowanym zachowaniem, ale brakowało jej zwykłego entuzjazmu.

Dalej, powiedz, że przepraszasz ją za swój wybuch, nakazywał sobie w duchu Garrick. Ilekroć jednak miał do niej podejść i to zrobić, do redakcji wchodził Eureka albo Maggie szła coś załatwić. Dzień minął bez przeprosin, a sumienie Garricka nie milkło ani na chwilę. Postanowił przeprosić Maggie następnego dnia z samego rana, żeby nic nie zdążyło mu w tym przeszkodzić.

Wieczorem Johnny zasnął bardzo wcześnie, tuż po zachodzie słońca. Bez wątplenia jest wyczerpany po pierwszych w życiu oświadczeniach, pomyślał ciepło Garrick i odgarnął mu ciemne włosy z czoła. Potem pocałował go na dobranoc i wyszedł z pokoju. Nie martw się, synu. Któregoś dnia znajdzie się piękna panna, która powie ci „tak”. Mam nadzieję, że wybierzesz lepiej niż ja.

Dla niego samego było jeszcze za wcześnie na położenie się do łóżka. Wiedział, że tylko przewracałby się z boku na bok. Orzeźwiający kwietniowy

wietrzyk, który poruszał zasłonami w pokoju, zachęcał do spaceru.

Może przechadzka po mieście mnie uspi, pomyślał Garrick i zszedł po schodach do frontowych drzwi. Bardzo uważał, by je za sobą cicho zamknąć. Jowita udała się już na spoczynek, wiedział jednak, że usłyszałyby, gdyby Johnny się obudził.

Doszedłszy do głównej ulicy, zamierzał skręcić w prawo, minąć bank, saloon, stajnie i kościół, jednak niespodziewanie dla siebie zorientował się nagle, że trzyma w ręce klucz i otwiera drzwi redakcji „Gazette”.

Postanowił wejść tylko na chwilę i załatwić sprawę z Maggie, a potem wrócić do domu. Na pewno byłoby mu łatwiej zasnąć, gdyby uspokoił sumienie i nie czekał z tym do następnego dnia.

- Panno Harper! - zawołał cicho, wchodząc do ciemnego pomieszczenia. Nie było odpowiedzi.

Zapalił lampę stojącą na biurku i podszedł z nią do schodów.

- Panno Harper! - zawołał głośniej.

Wciąż nie było odpowiedzi. Czy to możliwe, że Maggie już śpi? Nie chciał jej budzić, nawet po to, by ją przeprosić.

Krąg światła lampy objął drzwi do pokoiku na górze. Były otwarte. Czyżby panny Harper nie było? Na wszelki wypadek Garrick wspiął się na schody i zajrzał do środka. Pokój istotnie był pusty.

Gdzie ona może być o tej porze?

W głowie kłębiły mu się podejrzenia. Wyobraził sobie Margaret Harper w najlepszej sukni, wychodzącą z jakimś kawalerem na spacer po miejscowym parku. Wprawdzie Garrick nie przypominał sobie, by w mieście był jakiś niezonaty, młody człowiek, ale w hotelu mógł się zatrzymać na przykład komiwojażer, który przypadkiem ją poznał i teraz spędzał z nią czas gdzieś pod topolą. A może panna Harper sączyła whisky w saloonie, otoczona gromadką zachwyconych kowbojów?

Do diabła! Oto skutki ufania kobiecie! Gdy z taką rozmawiasz, jest słodka i

urocza, ale wystarczy się odwrócić i...

Niezgrabnie zszedł ze schodów, tłumacząc sobie, że powinien iść dalej takim szlakiem, jaki sobie wcześniej wyznaczył. Przed saloonem ma przejść na drugą stronę ulicy i, broń Boże, nie sprawdzać, czy w środku nie siedzi Margaret Harper.

Zdażył wyjść na dwór i minąć przecznicę, która oddzielała siedzibę „Gazette” od budynku łaźni, gdy kątem oka zauważył jakiś ruch. Ktoś szedł w stronę budynku redakcji, jakby zamierzał wejść tam od tyłu.

Maggie Harper! Z jakiej to schadzki wraca jak złodziejka?

- Panno Harper, czy to pani? - zapytał nieprzyjemnym tonem, jakim kiedyś zwracał się do śpiących wartowników.

Maggie cicho krzyknęła i upuściła coś, co niosła. To coś się przewróciło i jasny przedmiot wysunął się na ziemię u jej stóp.

Margaret Harper chyba jednak tego nie zauważyła, bo oczy miała skupione na jego twarzy.

- Och, pan Devlin! Przestraszył mnie pan - powiedziała, gdy podszedł bliżej. Nie wątpię, pomyślał posepnie.

- Szukał mnie pan? Czy jestem potrzebna? Może szykuje się jakaś ciekawa historia? Byłam tylko w łaźni - dodała.

Gdy się z nią zrównał, przekonał się, że mówiła prawdę.

Miała rozpuszczone włosy, długie mokre kosmyki wiły jej się na plecach. Kilka wilgotnych loczków opadło również na czoło, na którym wciąż jeszcze były krople wody. Garrick poczuł zapach mydła i oczami wyobraźni zobaczył Maggie Harper w wannie, trącą namydloną szmatką gładką skórę między piersiami...

Ogarnęło go pożądanie.

- Chciałam umyć głowę, bo jutro idę do kościoła - wyjaśniła całkiem niepotrzebnie. Nagle przypomniała sobie o koszyczku, który upuściła zaskoczona jego niespodziewanym wołaniem. - Ojej. - Schyliła się, żeby podnieść zgubę.

Przyglądając się temu, Garrick przez chwilę widział wilgotną koronkową

bieliznę, upstrzoną teraz błotem. Panna Harper szybko pozbiierała swoje rzeczy i owinęła je ręcznikiem, a potem znowu się wyprostowała. Nawet w wąłym świetle latarni wiszących przed chatami na tyłach łaźni Garrick widział, że jest czerwona jak piwonia.

- Miałam też pranie do zrobienia - powiedziała, unikając jego wzroku.

Teraz wyobraził ją sobie ubraną tylko w koronkową, białą koszulkę i reformy, które właśnie uprała. Mokra bielizna opinałaby się na jej ciele, podkreślając wdzięki... Ech, gdyby tylko panna Harper wiedziała, jak powabnie wygląda po kąpieli, z rumieńcem na policzkach. Jej wargi kojarzyły się Garrickowi z różanymi płatkami o świcie.

- Czy jestem panu do czegoś potrzebna? - spytała w końcu jeszcze raz, gdy milczenie stało się kłopotliwe.

Tak, jest mi pani potrzebna, pomyślał. Ale odpowiedział:

- Nie, panno Harper. Po prostu wyszedłem na wieczorny spacer...

Kiedy jednak znowu spojrzała mu w oczy, poczuł, że nie może kłamać.

- To znaczy niezupełnie. Chciałem... chciałem panią zobaczyć. I przeprosić, że tak nieuprzejmie panią potraktowałem dziś rano. Bardzo się przestraszyłem, kiedy nigdzie nie mogłem znaleźć Johnny'ego. Naturalnie nie usprawiedliwia to mojego szorstkiego tonu w stosunku do pani. Z wyraźną ulgą odstawiła koszyk na ziemię.

- Nic się nie stało, panie Devlin. Nie mam dziecka, ale myślę, że potrafię zrozumieć pański niepokój. Czy wobec tego znowu jesteśmy przyjaciółmi? - spytała, wyciągając doń rękę.

Garrick ujął jej dłoń z przeświadczeniem, że nie zasłużył sobie na takie łatwe przebaczenie. Skóra Margaret Harper była gładka i miękka. Jak to możliwe, skoro tak ciężko pracowała i nieustannie musiała czyścić dłonie z farby?

- Przyjaciółmi? - powtórzył. - Niewątpliwie. - W tej chwili żywił do niej znacznie cieplejsze uczucia niż przyjaźń. - Bardzo się cieszę, że jest pani taka wyrozumiała.

- Och, wcale nie jestem. Dobranoc - powiedziała, wciąż patrząc mu w oczy.

Całkiem go zniewoliła tym swoim jasnym spojrzeniem. Wydawała się wcale nie śpieszyć z cofnięciem ręki, a Garrick nie ruszyłby się w tej chwili, nawet gdyby od tego miał zależeć los Teksasu!

- Dobranoc, panno Harper - odparł, ale nie mógł tak po prostu puścić jej dłoni i pozwolić jej otworzyć drzwi. Miała lekko rozchylone wargi, które lśniły, jakby pokryła je warstewka rosy. Powoli, jak we śnie, opuścił głowę i delikatnie dotknął tych warg swoimi.

Usłyszał jej gwałtowny wdech i natychmiast podniósł głowę, zdążył jednak zapamiętać cudowną miękkość ust Maggie.

- Nie rozumiem, dlaczego to zrobiłem, panno Harper - powiedział i szybko puścił jej rękę. Spodziewał się, że zostanie spoliczkowany za tę śmiałość.

Zamrugła, jeszcze bardziej zaskoczona tym, co powiedział, niż samym pocałunkiem.

- Niech pan nawet nie próbuje zrozumieć, panie Devlin. Dobranoc. - Z tymi słowami podniosła koszyk z ziemi, podeszła do tylnych drzwi redakcji i przekręciła klucz w zamku. Zanim zdążył wymyślić odpowiedź, już jej nie było.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dwa tygodnie później Maggie położyła kartkę zapisaną do połowy równym pismem na biurku Devlina, który ślęczał nad ostatnimi telegraficznymi doniesieniami. Nowy numer gazety wyszedł poprzedniego dnia, ale oboje już przygotowywali następny.

- Artykuł o zebraniu kółka krawieckiego - wyjaśniła. Pan Devlin zerknął na kartkę i mruknął:

- Dość krótki, panno Harper. Jak mam tym wypełnić kobiecą rubrykę? Czy nie może pani dodać nieco szczegółów?

- Na przykład jakich? Mam napisać, że panna Amanda Harris ufarbowała sobie suknię, żeby wyglądała jak nowa? Albo że Phoebe Stone zaprezentowała jeszcze jeden ze swych słynnych kapeluszy? - odpaliła Maggie. - Poza tym, o ile dobrze pamiętam, nie życzył pan sobie powtarzania w artykułach plotek. Naturalnie zawsze mogę zająć się pogłoską, że Edna Arnold spodziewa się dziewiątego dziecka... - Zacerpnęła tchu i dodała: - Na tych spotkaniach nie dzieje się nic takiego, co warto utrwalić. Może byłoby łatwiej dodać szczegóły, gdyby kazał mi pan napisać o czymś, co miałyby jakieś znaczenie.

- Panno Harper, zatrudniłem panią jako drukarza, a nie dziennikarkę... - zaczął.

- Wiem - przerwała mu - ale już złożyłam wszystkie pańskie artykuły i wykonałam wszystkie zlecenia, które udało nam się zdobyć. W gazecie ojca pisałam artykuły na pierwszą stronę. To bardzo frustrujące, jeśli nie ma większych wyzwań niż takie zebrania! - Postukała palcem w kartkę leżącą na biurku.

- Skończyła pani? - wycedził, co podziałało na Maggie jak kubek zimnej wody.

- Przepraszam. Pan mi zupełnie jasno wytłumaczył, czego mogę się

spodziewać po tej pracy. To ja chciałam zrobić z niej coś więcej. - Odwróciła głowę, żeby nie zauważył łez cisnących jej się do oczu. Bez wątpienia przed chwilą umocniła Garricka Devlina w przekonaniu, że Jankeski są natrętnymi, pozbawionymi kobiecości złościami.

Wolała jednak mieć złą opinię u Devlina, niż wyjawic mu prawdziwy powód, dla którego spotkania kobiet tak ją odstręczały. Siedziała tam z bardzo niemiłym poczuciem, że nie jest niczym więcej niż jankeskim natrętem, kobietą, której z powodu jej zajęcia nie można nazwać porządną. Oliwia Devlin i przyjaźniąca się z nią pani Long, żona burmistrza, robiły wszystko co w ich mocy, żeby Maggie czuła się dobrze w ich towarzystwie, ale te wysiłki tylko zwiększały jej poczucie osamotnienia.

W miarę jak milczenie się przeciągało, Maggie była coraz bardziej zadowolona, że Eureka Jones poszedł narąbać drewna dla Jowity i nie będzie świadkiem reprimendy, która niewątpliwie za chwilę ją czekała. Musiało jej się chyba śnić, że Garrick ją pocałował, bo od tej pory nie zdradził w żaden sposób, że żywi dla niej jakieś cieplejsze uczucia.

Odwróciła się sztywno wyprostowana, zdecydowana stawić czoło burzy.- Panno Harper... - zaczął Garrick, ale urwał, bo z ulicy dobiegł ich dźwięk bijącego dzwonu. - Co, u diabła...? - Był czwartek, środek dnia, a nie niedzielny ranek.

Nagle zobaczyli kilku biegnących mężczyzn.

- Coś musiało się stać - mruknął i wstając, sięgnął po oprawny w skórę notes oraz laskę, którą zawsze miał w zasięgu ręki. - Chodźmy, panno Harper.

Gdy wyszli na ulicę, zobaczyli tłum gromadzący się nie przed kościołem, lecz przed aresztem. Kościelny dzwon był jedynie narzędziem, którym Cal posłużył się, żeby zwołać mieszkańców miasteczka.

Gdyby Maggie była sama, podciągnęłaby spódnice i puściła się biegiem. Młodzi i dorośli, nawet dziewczęta, wszyscy ich wyprzedzali, rzucając przez ramię pospieszne słowa przeprosin. Wbrew swoim chęciom Maggie musiała zwolnić kroku,

wiedziała bowiem, jak bardzo irytująca dla Devlina jest jego niemożność szybkiego poruszania się.

- Co się stało, Davy? - krzyknął Garrick do jednego z młodych ludzi.
- Szeryf zbiera ludzi! - odkrzyknął tamten.
- Po co? - próbował jeszcze dowiedzieć się Garrick, ale chłopak był już daleko.

Pod areszt dotarli ostatni. Cal Devlin właśnie zaczynał przemawiać.

- Na pewno słyszeliście o bandzie, która grasuje w okolicy. Pisała o tym „Gazette” - wskazał głową brata - a poza tym wszyscy o tym gadają. Do tej pory bandyci zadowalali się pieniędzmi, ukradli też parę sztuk bydła i parę kurcząt. Niestety ani ja, ani mój zastępca nie mieliśmy szczęścia ich wytropić. Przed chwilą dostałem jednak wiadomość, że wczesnym popołudniem banda napadła na farmę Blevinsów. Zabili Hala Blevinsa i ciężko ranili jego syna, który może się z tego nie wylizać. Ukradli Blevinsom całe bydło. Dlatego zbieram ludzi do pościgu. Chcę, żeby każdy mężczyzna w pełni sił stawił się za godzinę przed stajniami, konno, uzbrojony i gotów do wyjazdu. Pościg będzie trudny. W razie konieczności zamierzam tropić tych drani do samego Meksyku.

- Może pan na mnie liczyć, szeryfie! - krzyknął jakiś mężczyzna, a za nim następni. Niektórzy natychmiast ruszyli w stronę domów, żeby przygotować się do wyjazdu.

- Czy chłopak Blevinsów widział któregoś z nich? - spytał ktoś z tłumu. -
Wie, jak wyglądali?

- Nie, w ogóle nie był w stanie mówić - odparł Cal z ponurą miną. - . Bardzo ciężko go postrzelili. Więcej na razie nie wiem. Ci z was, którzy mogą ze mną jechać, niech już idą się przygotować - polecił i znikł w swoim biurze.

Maggie zerknęła kątem oka na Garricka i zobaczyła tęskne spojrzenie, jakim obdarzył odchodzących mężczyzn.

- Chciałby pan z nimi jechać, prawda? - spytała cicho. - Uczestnik pościgu

mógłby napisać znakomitą relację. Można też podejść do tego tematu inaczej, panie Devlin. Na przykład...

- Czy chciałbym jechać? - przerwał jej z żarem w niebieskich oczach. - Oczywiście, że chciałbym. I co więcej, pojedę. Co to za mężczyzna, który w takiej sytuacji kryje się w mieście jak tchórz? Chcę być z nimi wszystkimi, gdy dopadną tych sku... tych bandytów. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby osobiście potraktować któregoś z nich kulą.

- Ależ, panie Devlin... - wyjąkała Maggie, starając się wytrzymać jego chłodne, przenikliwe spojrzenie. - Co z pana nogą? Czy może pan jeździć konno? Szeryf powiedział, że to będzie trudny pościg.

Spojrzał na nią groźnie, na jego twarzy malował się wyraz zaciętości.

- Owszem, mogę jeździć. Nie robię tego często, bo wygodniej mi korzystać z bryczki, ale dam sobie radę. Niech pani szybko pójdzie do mnie, do domu, i powie Eurece, żeby osiodłał Toby'ego. A Jowita niech mi zapakuje coś do jedzenia, cokolwiek! Jeśli uda im się to zrobić w czasie, gdy będę pakował swoje rzeczy, zdążę wyjechać razem ze wszystkimi.

- Pomyślałam, że jeszcze lepszy artykuł będzie wtedy, jeśli wybierzemy się na farmę i porozmawiamy z panią Blevins - podsunęła Maggie z nadzieją, że Garrick odzyska rozum. - Moglibyśmy tam pojechać bryczką i nie musiałby pan...

- Nic nie muszę, ale chcę, panno Harper, nie widzi pani tego? Nie jesteś moją matką, kobieto, a nawet ona wie, że nie wolno mnie rozpieszczać z powodu tej nogi - stwierdził Garrick stanowczym tonem, który wykluczał wszelką dyskusję. - Niech już pani idzie! - zakończył szorstko, popierając to żądanie wymownym gestem.

Co za tępy upór... Maggie podciągnęła spódnicę i pobiegła, wiedząc, że nie przemówi Devlinowi do rozumu.

Pół godziny później stała z Eureką, Jowitą i Johnnym przed szopą na tyłach domu i przyglądała się, jak Garrick troczy koc i juki do siodła Toby'ego, po czym sztywno go dosiada. Toby spojrzał na niego tak, jakby się zdziwił, i przez chwilę się

boczył, ale gdy Garrick zaczął do niego uspokajająco przemawiać i usadowił się w siodle, zrezygnował z oporu.

Maggie musiała przyznać, że na koniu Garrick jest zupełnie innym człowiekiem: pewnym siebie i władczy. Umiała sobie wyobrazić, jak z uniesioną szablą prowadził oddział do boju, a dookoła wybuchały pociski. Wydawał się też młodszy.

Pomachał im na pożegnanie i wydłużonym klusem odjechał w stronę stajni. Jowita odprowadziła podnieconego Johnny'ego do domu na drzemkę.

- Myśli pan, że nic mu się nie stanie? - szepnęła Maggie do Eureka, gdy Garrick zniknął za rogiem.

- Nie wiem - odparł Murzyn z bardzo strapioną miną. - Koń jest dobry, ale już długo nikt na nim nie jeździł albo nie nazywam się Eureka Jones. Siodło było zakurzone i przywalone starymi workami. Pani Jowita mówi, że nie widziała pana Devlina na koniu, odkąd u niego pracuje.

Maggie westchnęła. Nie było sposobu na powstrzymanie Garricka, to nie ulegało wątpliwości. Pozostała jej tylko modlitwa, żeby nie stało mu się nic złego. Może nawet wróci z porywającą relacją z pierwszej ręki, tak jak sobie wymarzył.

- Eureka, czy pan Devlin ma drugiego konia? Murzyn wydał się zaskoczony.

- Nie, proszę pani. Nie potrzebuje drugiego. Ale czemu pani pyta? Chyba nie chce pani jechać za pościgiem? Pan Devlin wpadłby w straszną złość, gdyby pani to zrobiła.

- Niech pan się nie martwi, Eureka. Chciałam tylko jechać na farmę Blevinsów. Ale pewnie mogę wynająć konia w stajniach. Pod warunkiem, że jeszcze jakiś został... - Przygryzła wargę. Pieniądze, które przywiozła z Austin, ledwie mogły jej starczyć do końca miesiąca. Gdyby wynajęła konia, oznaczałoby to rezygnację z kilku posiłków. Z drugiej strony, gdyby wróciła z farmy z dobrym artykułem, może pan Devlin podniósłby jej stawkę?

- Panno Maggie, raczej nie należy liczyć na to, że w stajniach zostało jakieś

zwierzę - powiedział Eureka. - Być może moja siostra pożyczycy pani muła. Nie jest szybki, ale za to łagodny, a Blevinsowie nie mieszkają daleko.

Tak więc pół godziny później Maggie trzęsła się na mule. Czuła wszystkie kości, bo siostra Eureka nie miała damskiego siodła i Maggie musiała jechać okrakiem na męskim, starym i twardym. Na szczęście nie było nikogo, kto obserwowałby jej przejazd. Jazda po męsku sprawiała, że widać było kilka centymetrów jej halki i spory kawałek okrytej pończochą nogi, niechybnie zszargałaby więc tym swoją reputację jeszcze bardziej.

- A potem wyciągnął pistolet... i zabił mojego Hala - zaszlochała wdowa po ofierze, kładąc głowę na piersi Maggie. - Wszystko dlatego, że złapał ich na tym, jak uprowadzali nasze bydło! Usłyszałam strzały i wybiegłam z domu na dwór. Wiedziałam, że stało się coś złego... I mój biedny chłopiec... - Skinęła drżącym, kościstym palcem ku stołowi w kuchni, na którym leżał jej syn. Ramię chłopaka zwisało bezwładnie. Doktor Broughton, odziany w kitel, odwrócony do nich plecami, badał ranę uda. - On tylko próbował mnie bronić przed tymi diabłami... - Klara Blevins znowu zaniosła się szlochem.

Maggie podtrzymywała ją i głaskała po plecach, a jednocześnie słuchała relacji. Nie wiadomo który raz pożałowała, że Garrick nie przyjechał tutaj razem z nią, zamiast brać udział w pościgu. Mógłby wszystko zanotować w swoim małym, oprawnym w skórę notesie, który nosił w kieszeni na piersi. Pozostawała jej tylko nadzieja, że zapamięta słowa żony zabitego farmera tak, jak naprawdę brzmiały.

- Pani Blevins, jak wyglądali ci bandyci? - spytała cicho.

- Powiedziałam wszystko Tomowi Bakerowi, temu człowiekowi, który tam stoi. To mój sąsiad, właśnie on pojechał do miasta po szeryfa...

- Wiem o tym i wiem, że trudno jest pani mówić na ten temat, ale jeżeli ludzie szeryfa nie dopadną tych bandytów dzisiaj, to pani opis będzie nieocenioną pomocą...

Klara Blevins tak skupiła się na odpowiedzi, że przestała płakać.

- Było ich pięciu. Wszyscy mieli twarze zasłonięte chustami, więc nie wiem,

jak wyglądali, ale jeden był chudy z jaśniejszymi włosami, drugi był wysoki, ten miał ciemne włosy i oczy, jeszcze jeden wyglądał tak, jakby był mieszańcem, nie czystej krwi białym. I był Murzyn... Ale najlepiej pamiętam ostatniego, tego, który zastrzelił Hala. Miał na sobie szarą, postrzępioną kurtkę, taką, w jakich wracali do domu nasi żołnierze. O Boże, jak ktoś, kto walczył po naszej stronie, mógł zrobić coś takiego?!

„Miał szarą, postrzępioną kurtkę”... Maggie zamknęła oczy i ujrzała zniszczony mundur Zeke'a Barbee. Czy to możliwe? Musiała powiedzieć o tym Garrickowi; Nie spodoba mu się to, ale może ta poszlaka doprowadzi do aresztowania bandy.

- Pani Blevins! - zawołał doktor od stołu i zrobił gniewną minę, gdy zobaczył, że to Maggie rozmawia z wdową. - Niewiele więcej mogę zrobić. Kula przeszła na wylot. Prawdopodobnie będzie mu się poprawiać... pod warunkiem, że nie dostanie gorączki.

- Nie możemy zostawić tu pani Blevins samej z rannym synem - oświadczyła Maggie. - Co będzie, jeśli bandyci wrócą?

- Zabiorę ich do siebie - odezwał się sąsiad. - To niedaleko Stąd. Moja żona będzie mogła się nimi zająć. Ja i synowie musimy stać na warcie, póki nie złapią tych drani.

Maggie zwróciła się z powrotem do pani Blevins.

- Opublikujemy opis bandytów w „Gazette” - obiecała. - Może będą mieli dość rozumu, żeby wynieść się z naszego hrabstwa. Dziękuję bardzo za rozmowę. Muszę wracać do siebie.

Klara Blevins otarła zaczerwienione oczy, a Maggie wyszła na dwór i skierowała się do muła przywiązanego pod wielkim dębem. Bolały ją wszystkie kości, Więc wcale nie cieszyła jej myśl o telepaniu się z powrotem na grzbiecie chuderlawego zwierzęcia, ale spieszyła się do redakcji, żeby usiąść przy biurku i opisać całą historię, póki jeszcze ją dobrze pamięta.

Skończyła artykuł i właśnie szła do hotelu na obiad, gdy zawołał ją pan Tyler, właściciel sklepu i zarazem poczty.

- Hej, panno Harper! Mam dla pani list z Austin!

- Bardzo dziękuję. Już idę! - Maggie szybko zmieniła kierunek marszu, a pan Tyler uprzejmie otworzył sklep. Żeby wręczyć jej przesyłkę. Och, jak bardzo ucieszył ją list od ojca. Mogła przynajmniej na chwilę przestać myśleć o Garricku i pościgu za bandytami.

Przeczytała dwie strony listu w czasie, gdy Bessie przygotowywała dla niej smażone kurczę, będące tego dnia daniem obiadowym. Kilka razy się uśmiechnęła, kilka razy głośno zaśmiała. Ostatni akapit, poprzedzający zamaszysty podpis ojca, wprowadził ją w zadumę.

Z zainteresowaniem przeczytałem twój opis pracodawcy, pana Garricka Devlina. Wydaje się pełen sprzeczności trudny człowiek, lecz interesujący. Między wierszami wyczytałem też, że jesteś nim zafascynowana, czyż nie? Uważaj, Maggie. Nie chciałbym, żeby znowu stała ci się krzywda.

Twój kochający ojciec John Harper

No, no! Musiała zaraz odpisać ojcu i uspokoić go. Przekonać, że nie ma powodu do zmartwienia, jest bowiem wysoce nieprawdopodobne, by jeszcze kiedyś miała zaufać jakiemuś mężczyźnie. A gdyby nawet tak się stało, tym mężczyzną na pewno nie byłby Garrick Devlin.

Ale gdy wzięła pióro do ręki i usiadła przy biurku, ze zdań jej listu wyłoniła się nagle zupełnie inna postać.

Ojcze,

Garrick Devlin jest człowiekiem, który wiele przeżył. Pisałam ci, że stracił nogę podczas wojny, że opuściła go żona. Te doświadczenia napęłniły go goryczą, nauczyły nieufności do świata, ale nie zmieniły jego charakteru - nadal jest porządnym, godnym szacunku człowiekiem. Z pewnością nie jestem dla niego

odpowiednią kobietą, ale modłę się, żeby znalazł sobie towarzyszkę, jeśli bowiem ktoś odważy się go pokochać, nie będzie tego żałował. Garrick Devlin bez wątpienia zasługuje na miłość uczciwej kobiety...

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pościg nie wrócił przed wieczorem, ale, prawdę mówiąc, Maggie wcale się tego nie spodziewała. Przecież szeryf i jego ludzie wyjechali w połowie dnia. Maggie знаła atmosferę wojskowych obozowisk, ojciec był bowiem w wojsku, przypuszczała więc, że noc zmusiła oddział pościgowy do urządzenia postoju. Wyobraziła sobie mężczyzn siedzących przy ognisku w pobliżu jakiegoś strumienia i opowiadających sobie różne historie przy kawie i fasoli. Przynajmniej połowa z nich z pewnością paliła cuchnące cygara, których żony nie pozwalały palić im w domu. Wielu uczestników pościgu niewątpliwie od lat nie miało tak dobrej zabawy.

Może nawet złapali bandytów i wyznaczyli dwuosobowe straże do pilnowania ich w nocy. Maggie wyobraziła sobie, jak nazajutrz pięciu zbirów będzie maszerować ulicami Gillespie Springs, z rękami związanymi na plecach. Odbędzie się proces i najprawdopodobniej wkrótce potem wszyscy zostaną powieszani.

Ale oddział pościgowy nie wrócił ani następnego ranka, ani nawet następnego popołudnia. Maggie złożyła tekst rozmowy z Klarą Blevins, żeby zająć czymś ręce, bo jej myśli krążyły nieustannie wokół tego, jak sobie radzi Garrick. Im później się robiło, tym bardziej była niespokojna. Czy nie spadł z konia? Czy nie został ranny? A może zabity? Czy bandyci nie wciągnęli pościgu w zasadzkę?

O piątej po południu miała już za sobą przykry obowiązek, wydrukowała bowiem nekrolog Hala Blevinsa z zawiadomieniem o nabożeństwie żałobnym w kościele baptystów, ale wciąż nie czuła głodu. Co jednak miała zrobić z resztą dnia?

Popracowała, potem napisała długi list do ojca. Nie miała już żadnego zamówienia i nic do czytania.

Przypomniała jej się Oliwia Devlin. Na pewno siedziała w domu sama, czekając na męża, więc towarzystwo mogłoby ją ucieszyć. Odwiedziny u niej były lepszym pomysłem niż zmuszanie się do jedzenia niechcianej kolacji albo chodzenie w kółko po redakcji i nieustanne wyglądanie przez okno.

Właśnie zeszła z drewnianego chodnika na ulicę i skręciła w lewo z zamiarem skierowania się do domu Cala i Livy, gdy usłyszała tętent z naprzeciwka.

Pościg wrócił. W głębi ulicy zobaczyła jeźdźców prowadzonych przez Cala Devlina. Niektórzy mężczyźni zatrzymali się przy stajniach, by oddać pożyczone wierzchowce, inni jechali dalej parami bądź w małych grupkach. Wszyscy mieli posępne twarze i byli bardzo zmęczeni. Nie było z nimi bandytów. Nie było też śladu Garricka.

Strach ścisnął Maggie za gardło. Widząc, że szeryf zsiada z konia przed aresztem, podciągnęła spódnicę i podbiegła do niego.

- Gdzie on jest? Gdzie jest pana brat? Nie ma go... - Nie mogła się zdobyć na dokończenie tego zdania.

Cal Devlin oderwał wzrok od strzelby, którą właśnie odczepiał od juków.

- Dobry wieczór, panno Maggie. Nie, nic mu się nie stało. Po prostu się zmęczył. Zaraz będzie. - Skina! głową w stronę, z której nadjechała reszta oddziału.

- Nie złapaliście ich? Szeryf pokręcił głową.

- Nie, chociaż znaleźliśmy wyraźne ślady biegnące wzdłuż rzeki Brazos na południe. Jakoś przeprawili się na drugi brzeg, a następnego dnia musieli się rozłączyć. Zgubiliśmy trop - przyznał niechętnie.

Kiedy chmura pyłu nieco opadła, Maggie ujrzała Garricka na jego wałachu. Wbrew przemożnej chęci, by wybiec mu na spotkanie, pozostała na miejscu, wiedziała bowiem, że Garrick nie życzyłby sobie takiego powitania.

Zbliżył się do nich, skinął głową bratu i odjechał, jakby w ogóle jej nie

zauważył. Znów spojrzała na Cal.

- On jest naprawdę zmęczony, panno Maggie - wyjaśnił zatroskany Cal, patrząc za oddalającym się Garrickiem. - Na pani miejscu obchodziłbym go teraz szerokim łukiem. Kiedy zmęczy się jak pies, trudno z nim wytrzymać.

- Ale dlaczego... - Nie chciała czynić mu wyrzutów, obawiała się jednak, że właśnie tak to zabrzmiało.

- Dlaczego pozwoliłem mu wziąć udział w pościgu? - dokończył za nią ze smutnym uśmiechem, podobnym do tego, który czasem pojawiał się na wargach Garricka. - Panno Maggie, obaj mamy już swoje lata, ale to Garrick jest starszy. Poza tym jest uparty jak osioł, co być może już pani zauważyła. Im więcej mu się tłumaczy, że nie powinien czegoś robić, tym bardziej się zapiera.

Maggie kiwnęła głową. Doskonale rozumiała, o czym Cal mówi. Wiedziała jednak również, że nie może zostawić Garricka samego. Odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła śladem idącego stępa wałacha, chociaż nie odważyła się zawołać Garricka.

Dogoniła go, gdy zatrzymał konia przy słupie przed redakcją „Gazette”. Odetchnęła z ulgą, obawiała się bowiem, że pojedzie prosto do domu.

Gdy wspięła się na wysoki chodnik przed budynkiem, Garrick sztywno zsiadał z konia, jakby miał sześćdziesiąt lat.

- Wrócił pan! - powitała go radośnie, trochę zmieszana, bo nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

Garrick skończył wiązać wodze do słupa i odwrócił się do niej. Twarz miał bladą, usta zaciśnięte, a przy ich kącikach widoczne były głębokie zmarszczki. Najbardziej jednak poruszył Maggie wyraz jego oczu - ponury i udęczony.

Zaczęła się do niego zbliżać, zapomniawszy o ostrożności. Sądziła, że Cal się pomylił, że Garrick Devlin jest ranny. Jak to możliwe, że nikt z mężczyzn tego nie wyczytał z jego zbolalej twarzy?

- Gar... panie Devlin, co się stało? - krzyknęła. - Gdzie pana zraniono? Czy to

postrzał?

- Prr, Toby - powiedział, bo wałach zaniepokoił się szelestem spódnic. -

Wcale nie jestem ranny, ty głupia Jankesko!

- Ale wygląda pan...

- Jestem po prostu wykończony - burknął. - Zanim wrócę do domu, muszę napić się whisky, którą trzymam w redakcji, w szufladzie biurka, o czym bez wątplenia pani wie, panno Harper. Jeśli chce pani odegrać damę wstrząśniętą i oburzoną tym faktem, to może pani iść na górę i zamknąć drzwi. - Ruszył ku wejściu, ale szedł tak, jakby miał gołe stopy, a pod nimi rozżarzone węgle i tłuczone szkło. Puściła mimo uszu insynuację, jakoby grzebała w jego rzeczach.

- Nie wstrząsa mną to, że mężczyzna pije whisky, panie Devlin - oświadczyła spokojnie. - Mój ojciec często wypijał wieczorami szklaneczkę albo dwie przed pójściem na spoczynek. - Już miała dodać, że i ona czasem mu towarzyszyła, ale Garrick jej przerwał.

- Nawet się nie będę wysilał, żeby pić ze szklaneczki, panno Harper - powiedział wyzywająco, przekraczając próg, podczas gdy Maggie trzymała drzwi. - Co pani na to?

Zignorowała tę prowokację i weszła za nim do środka.

- Tymczasem może mi pan opowiedzieć o pościgu.

- Nie ma o czym. - Usiadł zgarbiony na krześle, drewnianą nogę wsunął pod biurko i zdecydowanym ruchem otworzył szufladę, z której wyjął na pół opróżnioną butelkę whisky. Odkorkował ją i przytknął do warg, a Maggie przyglądała się ruchowi jego pokrytej pyłem grdyki. - Sama pani widzi, że nie przywieźliśmy ani jednego skutego bandziora. Zresztą mój brat na pewno już pani powiedział, że zgubiliśmy trop.

Maggie stanęła nad biurkiem i skinęła głową.

- Niech będzie. Wobec tego ja opowiem panu, co zrobiłam wczoraj po południu, po pańskim wyjeździe. A może po prostu powinnam panu pokazać artykuł.

Naturalnie musi go pan zatwierdzić do druku - dodała i poszła po brudnopis swojej rozmowy z Klarą Blevins. Postanowiła nie mówić Garrickowi, że tekst jest już złożony.

- Założę się, że chciałaby mi pani powiedzieć: „Anie mówiłam...” - mruknął pogardliwie, gdy podała mu kartki. - Ma pani wywiad z wdową, a ja straciłem dwa dni na gonienie wiatru w polu. Widziała, że nadal szuka zwady.

- Wcale nie myślałam w ten sposób - odparła spokojnie. - Pańska relacja z pościgu na pewno będzie bardzo interesująca, mimo że nie udało się zatrzymać bandytów. Sądziłam, że zamieścimy oba te artykuły obok siebie.

- Zawsze władcza, zawsze pełna pomysłów, tak, panno Harper?

Jego swarliwość zaczęła ją wreszcie irytować.

- Oczywiście może pan zrobić, co mu się podoba - powiedziała, wpatrując się w jakiś punkt nad jego głową.

Devlin spiorunował ją wzrokiem, po czym znów spojrzął na artykuł. Zaczął czytać, raz czy dwa przerwał, żeby pociągnąć z butelki łyk whisky. Maggie zauważyła, że alkohol zabarwił jego policzki nieznacznym rumieńcem.

Wiedziała, kiedy przeczytał ostatnie zdanie, bo odrzucił kartkę, jakby go parzyła.

- „Tak jak wspomniano, jeden z bandytów nosił zniszczony mundur konfederacki. »Gazette« wraz z panią Blevins ubolewa nad faktem, że ktoś, kto prawdopodobnie walczył po jednej stronie z weteranami naszego miasta, w tak haniebny sposób zwrócił się przeciwko swoim ziomkom z Południa”. Jak widzę, dała pani mały pokaz jankeskiego dziennikarstwa, panno Harper.

Tym wreszcie ją sprowokował do wybuchu.

- A czy „Gazette” nie powinna ubolewać nad tym faktem? Zresztą opisałam również pozostałych bandytów, dwóch białych, Murzyna i Metysa... Skoro zaś sam pan poruszył tę kwestię, to kogo ostatnio widział pan w takim zniszczonym mundurze?

Nie próbował udawać, że nie rozumiał. - Zeke Barbee nie zrobiłby czegoś takiego. Nie ma pani prawa go oskarżać na podstawie samego tylko zniszczonego szarego munduru. Na Południu wielu ludzi nosi stare mundury, bo nie stać ich na nowe ubranie, ponieważ jankescy spekulanci nas okradają! - Zerwał się, zaciskając zęby. Maggie widziała, że jest wściekły. - Idę do domu, panno Harper. Zobaczymy się jutro i wtedy... - Nagle zachwiał się i z najwyższym trudem utrzymał równowagę, ciężko wsparłszy się na lasce. Twarz mu zbieleła i pokryła się potem.

Maggie uznała, że po prostu wypił zbyt dużo whisky na pusty żołądek. Ale po chwili w świetle zachodzącego słońca zobaczyła, że jego prawą nogawkę znaczą liczne plamy krwi.

- Jednak jest pan ranny. - Postąpiła krok w jego stronę.
- Dlaczego powiedział mi pan co innego? Niech pan usiądzie
- poleciała zdecydowanym tonem, podsuwając mu krzesło. - Sprowadzę lekarza...
- Nie - zaprotestował, ale usiadł i zamknął oczy. - Nie pozwolę się dotknąć temu staremu szarlatanowi. Zresztą i tak nic by na to nie poradził. Nie jestem ranny, do diabła!
- Nie wierzę panu. - Maggie drżała, pilnowała jednak, by brzmienie głosu jej nie zdradziło. - Skąd ta krew, jeśli nie jest pan ranny? Może nikt pana nie postrzelił, ale prawdopodobnie zahaczył pan o gałąź albo coś podobnego.
- Po prostu trochę przeceniłem swoje siły. Odpocznę chwilę i pojedę do domu.
- Nie, najpierw pozwoli mi pan obejrzeć nogę. Devlin otworzył jedno oko.
- Panno Harper...
- Podczas wojny pracowałam jako pielęgniarka. Niech pan tu poczeka, przyniosę wodę i szmatę. I koc, żeby mógł pan zdjąć spodnie. Nie może pan wrócić do domu w takim stanie, bo śmiertelnie przestraszy pan synka.

Usłyszawszy to, Garrick raptownie uniósł powieki, zamrugnął i znowu je opuścił. Z jękiem odchylił głowę do tyłu.

Maggie pobiegła do swojego pokoju i chwyciła ze stojaka dzbanek z wodą,

dużą miskę i czysty ręcznik, a z łóżka ściągnęła koc. Była prawie przekonana, że po powrocie na dół nie zostanie już tam Devlina. Okazało się jednak, że wciąż siedzi skulony na krześle i jest taki blady, że przez chwilę nie była pewna, czy jeszcze żyje.

Podeszła do drzwi i wywiesiła tabliczkę ZAMKNIĘTE, po czym opuściła żaluzję we frontowym oknie, wychodzącym na ulicę.

- Panie Devlin, przytrzymam koc, a pan tymczasem ściągnie spodnie - powiedziała. - Potem proszę z powrotem usiąść, obmyję pańską... nogę.

Spodziewała się oporu, ale Garrick mruknął tylko:

- Niech pani zamknie oczy.

Usłuchała i po chwili poczuła, jak Garrick wyjmuje jej koc z rąk. Poczekala, aż usłyszy szurgot krzesła, i otworzyła oczy. Garrick przyglądał jej się w skupieniu. Koc przykrywał go w pasie i zachodził na zdrową nogę.

Przełknęła ślinę, przypomniała sobie bowiem, że ciotka zabraniała jej, pannie, opatrywać żołnierzy, lecz ona wbrew temu poleceniu często pomagała dyżurnej pielęgniarce w kąpieniu najciężej rannych mężczyzn, gdy ciotka była zajęta na innym oddziale. Naturalnie żaden z nich nie był w stanie pozwolić sobie na nic zdrożnego. Jeden nawet wydał ostatnie tchnienie w czasie, gdy gąbką ocierała mu czoło z potu. W każdym razie, jeśli radziła sobie wtedy, to mogła sobie poradzić również teraz...

Spuściła wzrok i spojrzała na drewnianą imitację nogi, zaopatrzoną w „kolano” na zawiasach i oddzieloną od kikuta opatrunkiem z bawełny. Bawełna była upstrzona ciemnobrązowymi plamami, na których widać było smugi świeższej, jaskrawoczerwonej krwi.

Maggie przytknęła dłoń do ust, żeby nie krzyknąć. Zaraz jednak uklękła, podsunęła miskę i nalała do niej wody.

- Czy może mi pan pokazać, jak to odpiąć? - spytała z nadzieją, że Garrick nie wyczuje drżenia jej palców.

- Sam to zrobię - odparł. Patrzyła, jak jego palce, niewątpliwie dobrze obeznane z paskami i sprzączkami, automatycznie wykonują zadanie. Po chwili

drewniana noga z łoskotem uderzyła o podłogę.

Pozostał jednak jeszcze do usunięcia przesiąknięty krwią opatrunek przy kikucie. Maggie zaczerpnęła tchu i zaczęła rozwijać bawełniane bandaże.

Gdy odwinęła zewnętrzne warstwy, delikatnie za nie pociągnęła, chcąc oderwać tę część, która przyschła do ciała.

- Niech pani to odmoczy.

- Proszę, niech pan się jeszcze napije. - Podała mu butelkę whisky, a dopiero potem wzięła dzbanek i wylała nieco wody na zakrwawiony opatrunek. Poczekala, aż Devlin wypije parę łyków whisky. Miała nadzieję, że tymczasem woda rozmiękczy zaschniętą krew. Rzeczywiście tak się stało.

Okrągła, zablizniona końcówka uda była jaskrawoczerwona wszędzie tam, gdzie stykała się z gniazdem protezy.

- Wielki Boże - jęknęła Maggie. Samo wejście z ulicy do redakcji musiało być dla Garricka męczarnią. - Po wojnie siedziałem na koniu może raz, może dwa razy, nie więcej. Zresztą nawet wtedy chciałem tylko sobie udowodnić, że jestem w stanie to zrobić. Wyglupiłem się. Zdawało mi się, że nagle będę mógł galopować jak sir Galahad. - W jego głosie brzmiała pogarda do samego siebie, oczy miał zamknięte, jakby nie mógł znieść widoku Maggie obnażającej kikut jego nogi.

Drgnął, gdy przytknęła mu do nogi zwilżony ręcznik i zaczęła zmywać zaschniętą krew. Podniosła wzrok i zobaczyła, że z całej siły przygryza palec.

- Dalej, niech pani się nie przejmuję - syknął. Jego czoło znów pokryło się potem.

Potem już w milczeniu znosił ostrożne przemywanie kikuta. Widać było jednak, że wstrzymuje dech. Powieki miał mocno zaciśnięte i gdyby nie sztywno wyprostowane ciało, Maggie podejrzewałaby, że zemdlął.

- Zaraz wrócę - oświadczyła i jeszcze raz poszła do swojego pokoju. Przyniosła stamtąd buteleczkę olejku różanego, którym zaczęła delikatnie przemywać obrzmiałą skórę.

- Będę przez panią pachniał jak jakiś cholerny kwiatek - burknął i pociągnął następny łyk whisky.

Maggie zauważyła jeden z noży Eureka, pozostawiony na stole w głębi redakcji. Podeszła do stołu, wzięła nóż, odwróciła się plecami do Devlina i poddałszy spódnicę, zaczęła ciąć na paski swoją halkę. Wkrótce kikut był opatrzony czystymi bandażami.

- Dziękuję - powiedział Garrick z wysiłkiem. Otworzył oczy, ale nie podniósł wzroku. Schylił się i chciał przysunąć do siebie drewnianą nogę.- Nie może jej pan teraz przypinać - zaprotestowała Mag- - gie. - Obrzęk jest zbyt silny. Noga znowu zacznie krwawić.

Garrick niewątpliwie wypił za dużo whisky, o czym świadczył jego dość bełkotliwy głos i sposób, w jaki próbował manipulować rzemykami. Maggie nie wspomniała jednak, że również z tego powodu nie powinien się nigdzie ruszać. Alkohol zwykle wyzwalał w mężczyznach niewiarygodny upór.

- Nie mmmogę tutaj zostać.

- Pomogę panu dostać się do domu. - Ruszyła ku drzwiom, zamierzając poszukać Jonesa. Kiedy jednak zerknęła przez ramię, stwierdziła, że Devlin wytrwale próbuje dosięgnąć drewnianej nogi, wróciła więc do niego i zabrała protezę do siebie na górę. Wiedziała, że nie jest w stanie pójść za nią.

- Niech pan tu poczeka - poleciła stanowczo. - Zaraz przyjdę.

- Protestuję, ty natrętna Jankesko! - krzyknął. Jego podniesiony głos jeszcze dzwonił jej w uszach, gdy zamykała za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Następnego ranka Garrick wszedł do redakcji w chwili, gdy Margaret Harper schodziła z góry nie w ciemnej sukni roboczej, którą zawsze wkładała do pracy przy maszynie, lecz w sukni z jakiegoś sztywnego czarnego materiału i kapeluszu.

- Dzień dobry - powiedziała, schodząc z ostatniego stopnia.

- Chyba pani nie odchodzi? - Czy to ja... czy to moja wina? Garrick nie był w stanie wyrazić głośno przypuszczenia, że odrażający widok jego obciętej nogi poprzedniego wieczoru skłonił pannę Harper do wyjazdu.

Zamrugła powiekami, wyraźnie zaskoczona.

- Odchodzę? Nie, skądże. Idę na pogrzeb. Nie byłam pewna, czy pan się wybiera, a sądzę, że ktoś z „Gazette” powinien tam być.

Pogrzeb? Nagle go olśniło. Naturalnie, przecież dwa dni temu zginął Hal Blevins, zastrzelony przez bandytów. Dziś miał się odbyć jego pogrzeb na cmentarzu przy kościele baptystów.

- Czy... czy pan przyniósł te kwiaty na grób pana Blevinsa? - spytała i wskazała głową bukiet, o którym Garrick całkiem zapomniał.

Pokręcił głową. Ulżyło mu, że Maggie nie wyjeżdża, w każdym razie nie przed pogrzebem. Wiedział, że jeśli powie jej wszystko tak jak należy, może ją zatrzyma.

- Nie, przyniosłem je dla pani.

Otworzyła szeroko oczy, lecz nie dopuścił jej do słowa, żeby niewłaściwie nie zinterpretowała jego gestu.

- Zdaje się, że jestem skazany na to, żeby panią przeproszać. W każdym razie ten bukiet jest na przeprosiny za wczoraj - powiedział, wysuwając przed siebie czerwono- żółte kwiaty. - Jestem wobec pani nie w porządku, mówiłem straszne rzeczy. A poza tym dla pani taki widok... opatrywanie mojej nogi... Och, do tego obowiązku żadna kobieta, żadna dama nie musiałaby się poczuwać. Zwłaszcza że

nawet nie jesteśmy spokrewnieni. Chciałem tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro i nie będę zdziwiony, jeśli z tego powodu zechce pani zrezygnować z pracy.

Margaret Harper uniosła dłoń odzianą w czarną rękawiczkę.

- Chwileczkę, panie Devlin. Wcale nie chcę odchodzić, chyba że pan sobie tego życzy. - Jej wielkie, zielone oczy kontrastowały z gładką cerą policzków o odcieniu kości słoniowej.

Garrick postąpił krok naprzód, oczarowany tą zielenią.

- Ja? Co za pomysł, panno Harper. Chcę, żeby pani wiedziała, że nie powtórzę się już nic z tego, co... co było wczoraj. Nigdy więcej nie będę pił alkoholu w pani obecności. Jestem też wstrząśnięty, że musiała pani oglądać...

- Nie ma potrzeby tak mnie przepraszać, panie Devlin. Wczoraj wrócił pan bardzo zmęczony i cierpiący. Przez cały czas o tym pamiętałam. A co do nogi... po prostu spełniłam swój chrześcijański obowiązek. Jak ona... to znaczy, jak pan się czuje? - spytała i Garrick zobaczył, że spłonęła rumieńcem.

- Lepiej - odparł szybko. Nie chciał rozmawiać o swojej nodze. Skóra kikuta wciąż była obrzmiała, choć po zabiegach Maggie jej stan zdecydowanie się polepszył. Gdy rano oglądał nogę, wciąż czuł od niej różany zapach.

- Proszę - powiedział i podał jej bukiet. - Może ma pani na górze jakieś naczynie, żeby wstawić kwiaty do wody? Poza tym... poza tym jestem pani winien halkę - dodał, przypominając sobie haftowane paski bawełny, którymi obandażowała mu nogę. - Myślę jednak, że nie byłoby stosowne, gdybym chciał ją pani odkupić, więc po prostu włożę trochę więcej pieniędzy do koperty z wypłatą, żeby zrekompensować pani to poświęcenie na rzecz zręczliwego, starego secesjonisty.

Z przyjemnością patrzył na uśmiech, którym nagrodziła tę autoironię. Przyniosła bukiet do twarzy.

- Piękne kwiaty, a jakie kolorowe! Dziękuję bardzo.

Przykro mu było, że nie mógł obdarować jej różami, liliami ani innymi wyrafinowanymi kwiatami godnymi damy. Nie miał jednak żadnych kwiatów na

podwórzu, a te rosły dziko za domem. Ale polne kwiaty pasowały do panny Harper.

- Tymczasem włożę je do dzbanka - powiedziała, ruszając ku schodom. - I zaraz wracam, bo jeśli mam iść na ten pogrzeb, to już najwyższy czas.

- Mogę panią zawieźć. Dzisiaj przyjechałem bryczką, żeby nie forsować nogi!
- zawołał za nią. Wpadało mu iść na ten pogrzeb, przecież „Gazette” powinna być reprezentowana. Jeśli Maggie również się tam wybierała, to miał pretekst, żeby jeszcze trochę nacieszyć się jej towarzystwem, zanim wróci do swoich stałych ról pracodawcy i pracownika.

Na pogrzebie Hala Blevinsa było całe miasteczko, nawet ludzie, którzy rzadko przekraczali próg kościoła. Wdowa po zamordowanym siedziała w pierwszej ławce. Cała ubrana w czerń, miała przeraźliwie bladą twarz. Towarzyszyli jej burmistrz z żoną i najbliżsi sąsiedzi. Ranny syn był jeszcze zbyt słaby, by wstać z łóżka

W pozostałych ławkach bez umiaru tłoczyli się ludzie. Garrick i Maggie znaleźli jedno z ostatnich miejsc i musieli siedzieć tak blisko siebie, że czuli swoje najdrobniejsze poruszenia. Maggie zmówiła w sekrecie krótką modlitwę dziękczynną za rozejm, jaki osiągnęli. Owszem, spodziewała się, że Devlin będzie zakłopotany po tym, jak poprzedniego wieczoru opatrzyła mu nogę, ale nie przypuszczała, że może posądzić ją o chęć odejścia. Wielkie nieba, czyżby wydawała mu się wiotka i delikatna jak fiołek? Czy jeśli jego niedawno zmarła żona była właśnie taka, to tak powinien widzieć wszystkie kobiety?

Kaznodzieja wygłosił mowę, w której wychwalał Blevinsa jako męża i ojca. Potem Cal, blady i poważny, wstał i zapewnił, że nie ustanie w wysiłkach, póki nie odda morderców w ręce Sprawiedliwości, żeby niewinni ludzie nie musieli więcej ginąć bez powodu.

Gdy trumnę opuszczono do wykopu i każdy rzucił na nią po garści ziemi, ludzie zaczęli wychodzić z kościelnego dziedzińca na ulicę.

Garrick i Maggie podeszli do bryczki w towarzystwie Oliwii Devlin, którą Garrick zaofiarował się odwieźć do domu, bo Cal musiał spotkać się ze swoim

zastępcą i burmistrzem, żeby się naradzić, jak złapać bandytów. Garrick właśnie miał pomóc Maggie we wsiadaniu, gdy za jego plecami rozległ się kobiecy głos:

- Panie Devlin, niech pan poczeka!

Wszyscy troje odwrócili się i zobaczyli spieszącą w ich kierunku Phoebe Stone.

- O Boże - jęknęli równocześnie Garrick i Oliwia. Czerń stanowczo nie wpłynęła korzystnie na wygląd modystki. Nawet jeszcze podkreśliła jej wymizerowaną twarz.

- Och, jest pan, panie Devlin - zaczęła. - Miałam nadzieję, że zdążę pana złapać, zanim pan odjedzie... Z pewnością poczucie obowiązku każe panu natychmiast wracać do tej zatęchłej redakcji!

Budynek „Gazette” należał do najnowszych w Gillespie Springs i z pewnością nie miał kiedy zatęchnąć, ale Devlin ugryzł się w język i nie powiedział tego. Jakoś zdobył się na uprzejmy półuśmiech i spytał cicho:

- Czym mogę służyć, pani Stone? Czy interesuje panią ogłoszenie w „Gazette”? Jeśli tak, to panna Harper - skinął głową ku Maggie - chętnie udzieli pani wszystkich informacji.

Phoebe ledwo zauważalnie skłoniła głowę przed Maggie.

- Obawiam się, panie Devlin, że pańska pracownica niewiele mi pomoże. Liczyłam na pańskie odwiedziny dziś wieczorem... wiem, że to bliski termin, ale chyba nie ma pan nic przeciwko temu. - Nie dała mu dojść do słowa, więc nie mógł wyrazić sprzeciwu, nawet gdyby chciał. - Do tego zdecydowanie jest potrzebny mężczyzna... och, naturalnie mam na myśli pańskie doświadczenie wydawcy. Zastanawiam się nad rozpoczęciem wysyłkowej sprzedaży kapeluszy, coś takiego jak „Godey's Lady's Book”, tylko naturalnie na większą skalę! Chciałabym, żeby przeczytał pan tekst, który napisałam do rysunków przedstawiających moje wzory, i wyłapał te nieznośne drobne błędy, które zawsze się wkradają, gdy ktoś pracuje w gorąco twórczej... - Zakończyła zamasztyłym gestem, bo zabrakło jej tchu.

- Pani Stone - zaczął Devlin - schlebia mi, że, pani zdaniem, mógłbym być pomocny w takim... w takim twórczym przedsięwzięciu, ale niestety dziś wieczorem jestem zajęty. Moja tu obecna szwagierka zaprosiła pannę Harper i mnie na kolację.

Maggie stłumiła okrzyk zdziwienia. Oliwia również zrobiła dość zaskoczona minę, lecz mimo to skinęła głową i powiedziała bez wahania:

- To prawda. Już od dawna chcieliśmy oficjalnie powitać Maggie w Gillespie Springs, ale i ona, i mój drogi szwagier zawsze są tacy zajęci... w gazecie. - Jej ton i uniesienie brwi wskazywały, że można się doszukiwać w tych słowach ukrytego znaczenia.

Z twarzy Phoebe Stone odpłynęły resztki koloru i jej policzki nabrały jeszcze bardziej żółtawego odcienia niż poprzednio. Zmierzyła wzrokiem najpierw Garricka, potem Maggie, aż wreszcie Maggie poczuła, że się czerwieni.

- Ach, więc to tak... - syknęła i zrobiła nadąsaną minę. - Już rozumiem, dlaczego nie ma pan czasu pomóc biednej wdowie. Życzę miłego dnia - dorzuciła i z dumnie podniesioną głową zawróciła ku ludziom rozmawiającym na kościelnym dziedzińcu. W bryczce długo panowało milczenie. Wreszcie Devlin odchrząknął i ze spuszczonego wzrokiem powiedział:

- Bardzo przepraszam, panno Harper, że wykorzystałem panią jako pretekst do wyrwania się ze szponów tej kobiety. Mam nadzieję, Oliwio, że ty również mi wybaczysz. Po prostu przypomniało mi się zaproszenie, z którym wystąpiłaś zaraz po przyjeździe panny Harper do miasta.

Maggie wciąż nie bardzo mogła wymyślić, co powinna powiedzieć, a tymczasem Oliwia nerwowo zachichotała i zapewniła:

- Mnie nie musisz przeproszać. Jeszcze dobrze pamiętam, jak ta kobieta uganiała się za moim Calem. Muszę jednak dodać od siebie przeprosiny dla Maggie za to, że tak bezwstydnie ubarwiłam wymówkę Garricka. Ale gdybym jej nie zniechęciła, wkrótce znowu by cię napadła, Garricku. Za to teraz w miasteczku wezmą ciebie i Maggie na języki. Plotkarzy jest tu niemało, a Phoebe nikt w tym nie

dorównuje. Naprawdę bardzo przepraszam, Maggie!

- Doskonale rozumiem sytuację. Zauważyłam, że pani Stone potrafi być bardzo natarczywa.

- To mało powiedziane - mruknął Devlin.

- Możemy tę wymówkę urzeczywistnić - oświadczyła Oliwia. - Czemu nie mielibyście przyjść dziś do mnie i Cala na kolację? Trzeba się liczyć z tym, że Phoebe Stone będzie obserwować mój dom dziś wieczorem. A ja rzeczywiście dotąd nie wywiązałam się z zaproszenia wobec Maggie. Prawdę mówiąc, ostatnio czułam się nie najlepiej, ale już wszystko jest w porządku. Oczywiście przyprowadź również Johnny'ego, Garricku. Uwielbiam tego wspaniałego chłopca!

Entuzjizm Oliwii rozbawił Maggie.- Naprawdę nie wiem, muszę...

Garrick odkaslnął i przerwał jej w pół zdania:

- Dziękuję, Oliwio, ale nie musisz obejmować swoim zaproszeniem również mnie i Johnny'ego. Jowita już zaplanowała kolację...

Teraz z kolei Oliwia mu przerwała:

- Daj spokój, Garricku, Doskonale wiem, że w soboty wieczorem Jowita odwiedza rodzinę. Przecież była moją gospodynią, jeśli pamiętasz. Oczekuję was trojga dokładnie o szóstej, naturalnie pod warunkiem, że pani zechce przyjść, Maggie.

Zanim Maggie zdążyła zerknąć na Garricka, żeby przekonać się, co on o tym sądzi, powiedział:

- Pozostaje pani jedynie kapitulacja, panno Harper. Gdy Oliwia czegoś chce, zawsze to osiąga. Mój brat Cal wie o tym aż za dobrze!

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Garricku, weź jeszcze ciasta - zaproponowała Oliwia i nie czekając na odpowiedź, odkroiła pokaźny kawałek, by położyć mu go na talerzu. - Maggie, Johnny, a wy?

- Dziękuję, ale nic już nie zmieszczę - odparła Maggie. Z przyjemnością odpoczęła jeden dzień od posiłków w hotelu. Bessie była dobrą kucharką, ale z Oliwią nie mogła się równać. - Wszystko było przepyszne, zwłaszcza szynka w galarecie.

- Ciociu Livy, jestem pełny! - oznajmił uroczyście Johnny, wyciągając przed siebie rękę z talerzem. Przez cały czas był wzorem grzeczności, teraz jednak zaczął się wiercić, bo jedzenie się skończyło, a dorośli nie zdradzali chęci odejścia od stołu.

- No, talerz wyczyściłeś wspaniale - pochwaliła go Oliwia. - Chcesz zobaczyć szczeniaki? Mamy czarną sukę, która znalazła nas akurat w porę, żeby się oszczenić. Psiaki są w stodole. Nie martw się o chłopca, Garrick. Suka jest bardzo łagodna. Na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby Johnny dotknął któregoś z piesków.

- Szczeniaki? - zawołał. - Chcę! Czy mogę wstać od stołu? - I nie czekając na odpowiedź, wybiegł z pokoju.

- Wspaniały chłopak, Garrick. Masz prawo być z niego dumny - powiedział Cal, odchylając się na krześle, by popatrzeć przez okno, jak Johnny biegnie przez podwórze.

Maggie zauważyła błysk zadowolenia w oczach Garricka, który również spojrzał w okno.

- Jestem dumny - przyznał. - Kiedy na niego patrzę, myślę, że moje małżeństwo z Cecylią nie było jednak wielką tragedią.

- Mam nadzieję, że i my będziemy takiego mieli. - Cal spojrzał z uśmiechem

na żonę. Oliwia odpowiedziała mu tak szczęśliwym uśmiechem, że Maggie poczuła bolesne ukłucie zazdrości. Cal i Livy podejmowali ją bardzo gościnnie, ale jakże brakowało jej tego, co było ich udziałem, a co ona w swej naiwności chciała znaleźć z Richardem Burke.

Zerknęła na Garricka. Początkowo budził tylko jej podziw - mimo ciężkiego doświadczenia przez los zdołał się podźwignąć i osiągnąć coś w życiu. Wkrótce uświadomiła sobie, że Garrick pociąga ją fizycznie. Była jednak przekonana, że po małżeństwie z Cecylią Garrick nigdy więcej nie zaufa kobiecie, a w niej zawsze będzie widział tylko natrętą Jankeskę, niegodną miana porządnej kobiety.

Gdyby mogła być choć trochę podobna do Oliwii Devlin! Ten rodzaj kobiet Garrick niewątpliwie darzył uznaniem. Widział w nich wcielenie ideału kobiecości, jakiemu hołdowali mieszkańcy Południa. Maggie jednak nie mogła sama siebie oszukiwać, musiała więc przyznać, że nie umiałaby upodobnić się do Oliwii, nie potrafiłaby ograniczyć swojego świata do męża i domu. Nie wyobrażała sobie życia bez gazety. I wcale nie była bardziej ufna niż Garrick. Raz zawierzyła mężczyźnie i co z tego wynikło? Zauważyła, że Garrick przenosi wzrok z Oliwii na swojego brata, a potem znów przygląda się Oliwii i znów bratu.

- Braciszku, czyżbyś próbował nam coś powiedzieć? Na miłej, choć poprzecinanej bliznami twarzy Cala pojawił się szeroki uśmiech.

- Na to wygląda - odrzekł, ujmując dłoń żony. - Oliwia zostanie... to znaczy Oliwia i ja zostaniemy we wrześniu rodzicami.

- Chcieliśmy, żebyście dowiedzieli się o tym pierwsi - wtrąciła Oliwia. Maggie zrobiło się ciepło na sercu. Była bardzo poruszona, że dopuszczono ją do udziału w tej uroczystej rodzinnej chwili.

- To wspaniała nowina! - zawołał Garrick. Jeszcze nie widziała u niego tak promiennej twarzy. - Najpierw Sam i Mercy, a teraz wy! Mercy będzie rodzić lada dzień, prawda?

- Owszem - potwierdził Cal. - Rodzina Devlinów się powiększa.

- To dlatego powiedziała pani wcześniej, że ostatnio nie najlepiej się czuła - zauważyła Maggie.

Na policzkach Oliwii pojawił się uroczy rumieniec.

- Tak - przyznała. - Już wtedy myślałam, że sekret się wyda. Ale tamto niedomaganie nie trwało długo. Wiem, że tym razem wszystko na pewno pójdzie jak najlepiej. - Wymienili z Cal'em ukradkowe spojrzenia.

Czyżby miała na myśli wcześniejsze poronienie? Maggie nie wiedziała, jak długo Oliwia i Cal są małżeństwem, ale wydawało jej się, że niezbyt długo. Och, taka bliskość z mężczyzną musi być cudownym uczuciem, pomyślała.

- Czyli zostanę podwójnym wujkiem w ciągu... policzmy... - Garrick rozprostował palce - sześciu miesięcy. - Uśmiechnął się szeroko. - To niesamowite. Oliwio, gdybym tylko mógł jakoś pomóc, daj mi znać, zwłaszcza jeśli mój braciszek wbije sobie do głowy, że musi dalej ścigać bandytów.

Maggie zobaczyła, że przez twarz Oliwii przemyka cień.

Garrick niewątpliwie również to zauważył.

- Och, ten mój przeklęty język. Przepraszam, Oliwio, nie chciałem wywlec tego...

Oliwia znowu rozpogodziła się.

- Przecież wiem, Garricku, że praca szeryfa jest niebezpieczna, ale za nic nie pozwoliłabym Calowi jej zaniedbywać tylko ze względu na mnie.

W tej chwili przez drzwi od podwórza wszedł do domu Johnny. Na rękach trzymał szczeniaka. Z dworu dochodziło niespokojne szczekanie psiej mamy.

- Chciałbym mieć tego pieska! Czy mogę go zatrzymać, ciociu Livy? - spytał, wyciągając przed siebie wiercące się żółto- białe- czarne zwierzątko.

Oliwia przyklękła i obejrzała szczeniaka.

- Och, Johnny, to jest suczka, nie piesek. Poza tym te szczeniaki mają dopiero miesiąc. Są jeszcze za małe, żeby rozstać się z mamą.

Chłopiec spochmurniał.

- Czy będę go... czy będę ją mógł zatrzymać, kiedy trochę urośnie?
- O to musisz zapytać tatę.

Johnny zwrócił się do Garricka i zadał mu to samo pytanie.

Garrick zawahał się.- Już masz kotka, Johnny...

- Och, tato, proszę!

- O ile pamiętam, Garrick, miałeś w domu sporą menażerię - włączył się do rozmowy Cal. - Wszyscy mieliśmy. Były szczeniaki, kotki, żaby... Mama nie zgodziła się tylko na myszy i węże.

Garrick westchnął.

- Niech będzie. Widzę, że niedługo też będziemy mieli mały zwierzyniec, zwłaszcza że to suczka, ale jeśli chcesz się opiekować zwierzętami, to proszę bardzo... możesz wziąć suczkę, kiedy ciocia Livy powie, że jest dość duża, żeby odłączyć ją od matki. Ale musisz być ostrożny i zawsze trzymać ją dwiema rękami.

Johnny podskoczył i wydał okrzyk zachwyty godzien Komańcza. Szczenie pisnęło przestraszone.

- Juhuuu! Nazwę ją Maggie! - zawołał, promiennie uśmiechając się do imienniczki pieska.

Maggie, nieco zaskoczona, powiedziała:

- Jestem zaszczyczona, Johnny, dziękuję.

- A teraz bardzo ostrożnie odnieś „Maggie” do jej sióstr i braci - polecił synkowi Garrick. - Już czas, żebyś wrócił do domu i położył się spać.

- Dobranoc - żegnał wszystkich Cal w kilka minut później, stojąc na ganku z Oliwią. Garrick usadowił się na koźle bryczki, a Johnny usiadł obok Maggie. Wciąż opowiadał coś o piesku, którego niedługo będzie miał, ale język zaczynał mu się już plątać, a powieki raz po raz opadały. Zasnął, nim jeszcze zatrzymali się przed redakcją „Gazette”.

- Nie musi pan odprowadzać mnie do drzwi - powiedziała Maggie, gdy Devlin zaczął układać synka na siedzeniu. - Zbudzi pan Johnny'ego, a poza tym mam

swój klucz. Wydawał się wahać, lecz w końcu powiedział:

- Zgoda, ale nie odjadę, póki nie zobaczę światła w oknie. Dobranoc, panno Harper. Dziękuję za miły wieczór. I...

Czekała, co powie, przyglądając się jego surowym rysom w świetle księżyca. Jednak to ona musiała przerwać milczenie:

- Mnie też było bardzo miło. Pana brat i jego żona są wspaniałymi ludźmi. Będą dobrymi rodzicami.

Garrick skinął głową.

- Tak, Johnny będzie miał przynajmniej kuzynów...

Bo nie będzie miał braci ani sióstr. Maggie wiedziała, że właśnie to pomyślał Garrick. A przecież wcale nie musiał z góry podejmować takich nieodwołalnych decyzji.

- Dobranoc - powiedziała wreszcie, gdy stwierdziła, że Garrick nie zamierza już nic więcej dodać. - Dziękuję za podwiezienie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Harper.

Czy rzeczywiście była to dla niego przyjemność? - zastanawiała się, otwierając drzwi. Czy on robi cokolwiek dla przyjemności? Przystąpiwszy próg, zapaliła lampę, którą specjalnie zostawiła blisko wejścia, i pomachała przez okno. Patrzyła jeszcze przez chwilę, jak bryczka zakręca i powoli się oddala, a w końcu całkiem znika.

Gdy w poniedziałek rano poszła przed pracą do hotelu na śniadanie, Bessie przekazała jej nowinę. Zdarzył się następny napad na farmę w okolicy Gillespie Springs. Tym razem nikogo nie zabito ani nie zraniono, ale zabudowania spalonodo szczeru i uprowadzono całe bydło. Ocaleli mieszkańcy schronili się u krewnych w mieście, a szeryf znów organizował pościg.

Maggie wróciła w pośpiechu do redakcji i zastała tam Garricka, który przez okno przyglądał się jeźdźcom gromadzącym się na głównej ulicy.

- Czy chce pan jechać z nimi? - spytała, starając się zachować spokój. Boże,

nie pozwól mu na to! Żeby tylko nie obudziło się w nim poczucie fałszywie pojętego męskiego obowiązku, bo znów wróci półżywy.

Devlin zmierzył ją spojrzeniem.

- Nie - mruknął. - Niech się pani nie niepokoi. Proszę... - podszedł do biurka, na którym leżał kawałek papieru - niech pani przeczyta artykuł wstępny, który napisałem, czekając na panią.

Wzięła od niego kartkę i przebiegła ją wzrokiem. W artykule znalazła krótkie zestawienie wszystkich przestępstw bandy.

- „Okupacyjne oddziały federalne - przeczytała na głos podsumowanie - które dławią Teksaszczyków, próbujących rządzić we własnym kraju, narzucając im przysięgę na wierność Federacji i stosując represyjne, dyktatorskie metody, powinny raczej pomóc mieszkańcom stanu schwytać i postawić przed sądem takich przestępców jak banda z rejonu Gillespie Springs. Z pewnością byłoby to dla nich bardziej odpowiednie zadanie niż pasienie swych niebiesko odzianych brzuchów owocami pracy Teksaszczyków...”

Trudno było jej powstrzymać się od chichotu, do którego prowokował ją ten obraz, lecz jednocześnie poważnie się zatroskała.- Czy na pewno powinien pan pisać takie napastliwe teksty? Czy nie obawia się pan, że te „represyjne, dyktatorskie metody” zostaną zastosowane przeciwko panu?

Oczy Garricka zapłonęły.

- Wolność prasy jest zagwarantowana przez konstytucję, może nie? Czyżby dotyczyła tylko północnych stanów?

- Z pewnością nie, ale rozsądek nakazywałby...

- Do diabła z rozsądkiem, panno Harper! - odburknął. - Nie pozwolę nałożyć sobie kagańca, jakbym był psem. Napisałem prawdę!

Maggie już zdążyła polubić polityczne dysputy ze swoim pracodawcą.

- Być może zostanie pan po prostu zamknięty nie jak pies, lecz jak niebezpieczny byk, panie Devlin. Wprawdzie zgadzam się z panem, że oddziały

federalne powinny pomóc w złapaniu bandytów...

- Byk? Przypominam pani niebezpiecznego byka, panno Harper? Lepiej być bykiem niż tresowaną myszą - odpalił.

- Czy to niby ja mam być tą tresowaną myszą, panie Devlin? - zaperzyła się Maggie. - Nie, nie nazwałam pana bykiem, chociaż pański upór istotnie osiąga bycze rozmiary. Inaczej nie ryzykowałby pan zamknięcia pańskiej drogocennej gazety przez oddziały federalne...

- Dobry Boże, panno Harper! Prędzej zdarzy się chłodny dzień w Hadesie, niż pozwolę, żeby wataha Jankesów dyktowała mi, co mam pisać!

Maggie szukała właśnie ostrej riposty, gdy do redakcji wpadła Oliwia Devlin.

- Och, Garrick, miałam nadzieję, że cię tutaj znajdę. Dookoła takie zamieszanie - wskazała szybko powiększający się oddział pościgowy, formujący się przed biurem szeryfa - a ja dostałam od telegrafisty najwspanialszą wiadomość na świecie! - Machnęła kartką papieru. - To od Sama! „Przyjedźcie zobaczyć, co się urodziło!” Założę się, że dumny młody ojciec wysłał telegram, bo nie mógł ani na chwilę oderwać się od maleństwa! A jaki spryciarz! Nawet nie napisał nam, czy ma syna, czy córkę! Sądziłam, że gdy Mercy urodzi, wszyscy razem pojedziemy obejrzeć dziecko. Ale teraz naturalnie Cal nie może pojechać... - Urwała i posmutniała wyraźnie.

Zaraz jednak dzwonek nad drzwiami odezwał się znowu i Maggie ujrzała wchodzącego szeryfa.

- Toć to wujek Cal we własnej osobie! - powitał go Garrick.

- Niesamowite, wujek Garrick! - odparł szeryf, odwzajemniając szeroki uśmiech brata. - Posłuchaj, muszę jechać, już na pewno wiesz o pościgu. Kristof, mój zastępca, zostaje i będzie czuwać nad porządkiem w mieście. Nie ma powodu, żebyście nie mogli tymczasem zobaczyć naszego nowego kuzyna albo kuzynki. Wolałbym, żeby Livy nie siedziała sama w domu na skraju miasta.

Garrick zawahał się.

- W którą stronę uciekli bandyci? Czy przejazd drogą jest bezpieczny?
- Znowu skierowali się na południe, a ponieważ jechalibyście główną drogą na zachód, nic nie powinno wam grozić. Na wszelki wypadek weź strzelbę i pistolet i miej oczy szeroko otwarte. Zresztą wiem, że jeśli o to chodzi, zawsze można na ciebie liczyć.

Garrick skinął głową.- Wygląda na to, że mam łatwe zadanie, ale zgoda, zrobię tak, jak mówisz.

- Cudownie! - Oliwia klasnęła w dłonie. - Idź do domu po Johnny'ego, a ja przygotuję trochę jedzenia na drogę.

- Powiedz mamie, że przyjadę podziwiać jej nowe wnuczę, jak tylko będę mógł - dodał Cal już z dłonią na klamce.

Oliwia podeszła pocałować męża na do widzenia i szepnęła mu ukradkiem:

- Uważaj na siebie, kochanie.

Na chwilę znowu posmutniała, zaraz jednak odzyskała radosny nastrój.

- Och, nie mogę się doczekać, kiedy wezmę na ręce to maleństwo Sama i Mercy. Wyobrażam sobie, jak to będzie, kiedy na jesieni i nam się takie urodzi... Tylko poczekaj, aż poznasz tych dwoje, Maggie! Sam to najmłodszy z braci Devlinów, przystojny jak diabeł, a Mercy jest doprawdy przemiła...

- Ja? - zdziwiła się Maggie. - Pewnie któregoś dnia rzeczywiście ich poznam, ale...

- Któregoś dnia? - Oliwia roześmiała się. - Maggie, przecież jedziesz z nami, poznasz ich dzisiaj! Oni mieszkają razem z matką na farmie pod Bryan, mniej więcej godzinę drogi stąd, więc nie ma powodu, żebyś z nami nie pojechała. Prawda, Garrick? - Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: - Och, jak przyjemnie będzie jechać tam razem we czworo!

- Mam do złożenia artykuł - zaprotestowała Maggie, wyciągając przed siebie kartkę, którą przez cały czas trzymała w dłoni. Garrick dotąd się nie odezwał, była więc pewna, że wcale nie pragnie jej wziąć z sobą. - Poza tym nie chciałabym

przeszkadzać w rodzinnej uroczystości...- A gdybym chciał, żeby pani tam pojechała? - spytał nagle Garrick, nieśmiało spoglądając jej w oczy. - Artykuł może poczekać do naszego powrotu, oboje świetnie o tym wiemy.

- Będiesz na pewno mile widziana, Maggie - dodała Oliwia. - Mama Devlin jest podobna do Johnny'ego: nie ma dla niej obcych. Dla Sama i Mercy również.

Maggie prawie jej nie słyszała. Nie mogła oderwać wzroku od przenikliwych niebieskich oczu Garricka. Serce biło jej znacznie szybciej niż zwykle, gdy w myślach powtarzała sobie jego słowa: „A gdybym chciał, żeby pani tam pojechała?”

- No więc dobrze - powiedziała, czując narastające podniecenie. - Pojadę z wami, tylko dajcie mi chwilę, żebym mogła się przebrać.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jazda wozem na rodzinną farmę Devlinów sprawiła Garrickowi wielką przyjemność. Już dawno nie był taki zadowolony. Oliwia zaczęła śpiewać, a Johnny jej pomagał. Nie znał słów, za to przejawiał wielki entuzjazm. Potem Oliwii zawtórowała Maggie, wreszcie i Garrick dołączył do chóru swój baryton. Uświadomił sobie, że ostatnio śpiewał w pierwszych dniach wojny.

Na farmę dojechali wczesnym popołudniem. Wszyscy, z wyjątkiem Mercy, wyszli im na powitanie, nawet wielebny Jeremiasz Fairweather i Charity, ojciec i siostra Mercy, którzy zdążyli przyjechać z Kansas przed szczęśliwymi narodzinami.

Oliwia pomogła wysiąść z wozu Johnny'emu, a potem, gdy Sara Devlin ścisnęła wnuka, wysiadł również Garrick i podał rękę Maggie.

Wiedział, że rodzina jest zaskoczona widokiem nieznajomej kobiety, ale mimo pewnej nieufności wszyscy spoglądali na nią życzliwie, nawet owdowiała siostra Garricka, Annie, która niekiedy bywała bardzo przykra.

- Mamo, walebny Jeremiaszu, Annie, Charity, Sam, to jest panna Margaret Harper, moja pomocnica z „Gazette” - dokonał prezentacji. - Oliwia... to znaczy Oliwia i ja pomysleliśmy, że byłoby miło, gdyby panna Harper mogła obejrzeć farmę i poznać was wszystkich.- Proszę mówić do mnie Maggie - usłyszał jej cichy głos, gdy witała się z kolejnymi członkami rodziny.

- Bardzo się cieszymy, Maggie, że Garrick panią przywiózł. Serdecznie witamy - powiedziała Sara Devlin, ujmując w dłonie rękę Maggie, a chwilę później jej słowa powtórzyła Annie, choć wydawała się nieco skonsternowana północnym akcentem pracownicy brata.

Za to brat Garricka, Sam, w ogóle nie miał uprzedzeń.

- Słyszałem, że pani jest Jankeką, ale Garrick nie wspomniał nam ani słowem, jaką ładną! Mądry z siebie człowiek, Garrick, że wzięłaś do „Gazette” taką śliczną pomocnicę. Teraz praca to czysta przyjemność, prawda? - Uśmiechnął się dobrodusznie.

- Niech pani wybaczy mojemu bratu - powiedział Garrick. - On nigdy nie umiał powściągać języka. A gdzie jest Mercy, Sam? Czy mam bratanka, czy bratanicę?

Uśmiech Sama nie mógł chyba być już szerszy.

- Mercy wam pokaże. Jest w sypialni. Tędy - dodał, wskazując drogę.

Ruszyli za Samem do dużego domu z kamienia, a gdy znaleźli się w sieni, skierowali się korytarzem do sypialni, którą bracia Devlinowie dzielili jako chłopcy. Zastali Mercy w łóżku; siedziała w koszuli nocnej, okryta szalem. Na rękach trzymała nie jedno, lecz dwoje niemowląt.

- Bliźniaki? - spytał zaskoczony Garrick. Mercy uśmiechnęła się z dumą.

- Niespodzianka! Daliśmy im na imię Mercedes i Wyatt, na cześć dwojga ludzi w Abilene, którzy pomogli nam się poznać.

- Dzieci, tato! - zawołał cicho Johnny z nabożnym zachwytem. - Dwoje! Garrick wziął syna na rękę, żeby mógł lepiej zobaczyć niemowlaki.

- Aż trudno uwierzyć, że i ty kiedyś byłeś taki mały - szepnął i nagły smutek ścisnął go za gardło. Nie widział Johnny'ego w okresie niemowlęcym, nawet nie wiedział o jego istnieniu. Przedstawił Maggie bratowej.

- Witaj, Maggie, miło mi panią poznać - powiedziała pogodnie Mercy Fairweather Devlin. - Przykro mi, że nasze dzieci śpią i nie mogą powitać pani i wuja Garricka.

- Za chwilę się zbudzą. Jak na takie maluchy mają niezwykle mocne głosy - oświadczył Sam. - Czy nie są to najpiękniejsze niemowlaki, jakie widzieliście? Garrick przyznał mu rację.

- Za parę lat będziecie mieli z nimi ciężkie życie: podwójny kłopot. No i będziecie musieli trzymać wartę przed domem, bo chłopaki z okolicy będą wam się zalecać do córy - przepowiedział. Rozbawiła go zaniepokojona twarz brata.

- Chyba nie będą gorsi niż w swoim czasie my trzej. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Czy mogę jedno potrzymać? - spytała zachwycona Oliwia. - Muszę poćwiczyć, sami rozumiecie - wyjaśniła z roześmianą twarzą.

Gdy po kolacji wszyscy usiedli na ganku, ciesząc się pogodnym, wiosennym wieczorem, Garrick uświadomił sobie, że przez cały dzień ani razu nie pomyślał o swojej nodze.

- Dobrze to pani idzie - stwierdziła Charity Fairweather, trzymająca małego Wyatta. Jej pochwała była skierowana do Maggie, która siedziała obok na starym, bujanym fotelu i kołysała małą Mercedes. - Czy pochodzi pani z dużej rodziny?

Maggie uniosła głowę, bo przedtem z wielkim zaangażowaniem trącała nosem mięciutkie policzki dziecka.

- Nie, jestem jedynaczką, ale zawsze lubiłam dzieci.

Jak to małeństwo do niej pasuje, pomyślał Garrick i wyobraził sobie, że to nad jego dzieckiem Maggie się pochyla. Poczul zakłopotanie, gdy uświadomił sobie tę myśl.

Wstał.

- Powinniśmy już wracać do domu - powiedział. - Wkrótce zapadnie zmrok.

- Jeszcze nie, tato! - błagalnie zawołał Johnny z kolan babki.

- Chyba nie chcesz tak szybko zabrać mi wnuka - poparła ten protest Sara Devlin. - Dopiero co znowu się do siebie przyzwyczailiśmy. Może zostawisz go u nas na parę dni?

- To dobry pomysł - włączył się Sam, mierzwiąc włosy chłopca. - Obiecałem Johnny'emu, że pójdziemy jutro na ryby, prawda?

- Tak! - krzyknął Johnny. - Chcę na ryby, tato!

- Ale nie przywozłem jego rzeczy - zaproponował Garrick.

- Nie szkodzi - zapewniła go matka. - Jest ciepło, więc może spać w bieliźnie.

- Wobec tego zgoda.

- Zostanę z babcią! Pójdę na ryby! - cieszył się Johnny. Garrick, trochę zaniepokojony samodzielnością syna, a trochę z niej dumny, powiedział cicho:

- A ja się martwiłem, że będzie za mną tęsknił.

- Cał go odwiezie, kiedy tu po mnie przyjedzie - obiecała Oliwia. Nagle Garrick uświadomił sobie, że pozostawienie Johnny'ego oznacza dla niego powrót do Gillespie Springs jedynie z Margaret Harper.

Na jego twarzy musiał odmalować się popłoch, bo Sam dodał szybko:

- Nie przejmuj się, Garrick, będzie mu tu dobrze. Nie ma takiego kłopotu, z którym mama by sobie nie poradziła, a poza tym nie będziesz znowu tak daleko. Możecie wracać z Maggie do Gillespie Springs i podziwiać po drodze piękny księżyc - wskazał pomarańczowy krąg, wylaniający się znad rozłożystego dębu przy bramie.

Jeszcze tylko pełni księżyc brakowało! Myśl o uroczej twarzy Maggie skąpanej w księżycowej poświacie wprowadziła Garricka w panikę, lecz jednocześnie dziwnie go podnieciła.

- My nie... Chciałem tylko wyjaśnić, że panna Harper... - zamilkł. Co mógł powiedzieć, żeby nie wydać się śmiesznym? Skłamałby, gdyby twierdził, że ta

Jankeska jest mu całkiem obojętna, ale zdawał sobie sprawę, że Margaret Harper jest dostatecznie urodziwa, by mieć każdego mężczyznę, który jej się spodoba. Wcale nie musi zadowalać się takim jak on kaleką.

- Dobranoc, synu - powiedziała Sara Devlin, jakby wyczuwała jego wahania i nie chciała dać mu czasu na nierozważne słowa. - Maggie, może nas pani odwiedzać zawsze, kiedy tylko pani zechce. Nie musi pani czekać na zaproszenie od Garricka.

Usłyszał uprzejmą odpowiedź Maggie i zrobiło mu się miło, że rodzina ją zaakceptowała. Zresztą nie było w tym nic dziwnego. Devlinowie nie mieli uprzedzeń wobec ludzi tylko dlatego, że ktoś urodził się nie tam, gdzie trzeba, poza tym Cal służył w armii unionistów, a Sam ożenił się z panną z Kansas.

Johnny z entuzjazmem zgodził się pozostać na farmie, ale zażyczył sobie, żeby Garrick osobiście położył go spać, więc było już całkiem ciemno, zanim wóz z Maggie i Garrickiem wyruszył w drogę.

- Mam nadzieję, panno Harper, że Sam nie wprowadził pani w zakłopotanie - odezwał się Garrick, gdy farma Devlinów znikła z pola widzenia. - Chodzi mi o jego żarty na temat księżycy. - Czuł na sobie jej spojrzenie, ale nie odważył się go odwzajemnić.

- Zakłopotać? Nie, skądże. A w ogóle to czy nie sądzi pan, że po takim dniu jak dzisiejszy mógłby pan wreszcie zacząć mówić do mnie „Maggie”?

Spojrzał na nią i zrozumiał, że popełnił grubo błąd. Tak jak się obawiał, księżycowa poświata czyniła cuda. Zielone oczy panny Harper zamieniły się w ciemne, bezdenne jeziora, lśniące tajemniczym blaskiem, a jej miękkie wargi zachęcały do pocałunku.

Zaczerpnął tchu, okazało się jednak, że przychodzi mu to z największą trudnością.

- Dobrze, Maggie. Sądziłem po prostu, że nie jest to stosowne, skoro pani u mnie pracuje. - Mógł myśleć w tej chwili tylko o tym, że chciałby ją pocałować.

- Rozumiem. Ale ja będę do pana mówić „Garricku”. To niezwykle imię,

pasujące do takiego szczerego człowieka - powiedziała. - W redakcji możemy pozostać przy „pannie Harper” i „panu Devlinie”, jeśli pan tak woli.

Podobał mu się sposób, w jaki Maggie wymawiała jego imię, brzmiało zupełnie inaczej niż w ustach ludzi urodzonych na Południu. Podobało mu się też, że Maggie zawsze mówi wprost.

- Moja matka dała mi je na cześć wielkiego szekspirowskiego aktora, Dawida Garricka - wyjaśnił, by podtrzymać rozmowę i mieć pretekst, by dalej patrzeć na Maggie. - Tacie się to nie spodobało, bo był Irlandczykiem. Powiedział, że to zbyt wymyślne imię dla chłopaka z Teksasu. Ale mama zawsze umiała go przekonać do swoich pomysłów.

- Bardzo polubiłam pana matkę. W ogóle lubię całą pańską rodzinę.

- Zauważyłem, że oni też panią polubili. - Co jeszcze mógłby powiedzieć?

Taką rozmowę mogli prowadzić zakochani, a nie oni! - Maggie...

- Słucham, Garricku? Znowu zapadło milczenie.

- Och, nic takiego... - wyjąkał w końcu, mocniej zacisnąwszy dłonie na wodzach, kuśiło go bowiem, żeby objąć Maggie. - Chciałem tylko powiedzieć, że bardzo w pani cenię przyjaciela i niezastąpionego pracownika.

Wydała się rozczarowana tą pochwałą, nawet na chwilę odwróciła głowę. Zaraz potem jednak znów skrzyżowała z nim spojrzenia.

- Skoro zebrało nam się na wyznania przy księżycu, Garricku, to powiem, że żywię do ciebie podobne uczucia i...

- I?

- I mam nadzieję, że mnie pocałujesz.

Popatrzył na nią zdumiony, ale po chwili objął ją i spełnił jej życzenie. Kołatała mu w głowie myśl, że puścił wodze, jednak wałach, na szczęście, nie zamierzał wykorzystać sytuacji, po prostu spuścił głowę i spokojnie zaczął skubać trawę, która bujnie porastała skraj drogi.

Garrick miał właśnie cofnąć głowę, gdy poczuł, jak wargi Maggie rozchylają się wolno. Temu nie mógł się oprzeć. Mocniej przyciągnął ją do siebie, aż poczuł dotyk jej jędrnych piersi. Jego dłoń całkiem bez udziału woli zawędrowała na jedną z tych piersi, a Garrick poczuł, że budzi się w nim od dawna uśpione pożądanie.

- Garricku... - westchnęła Maggie, gdy oboje przerwali pocałunek, by zaczerpnąć tchu. Przytuliła się i położyła rękę na jego nodze, tuż powyżej miejsca, gdzie kikut łączył się z protezą.

Nie zdawała sobie z tego sprawy, ale ten gest podziałał na Garricka jak kubeł zimnej wody.

- Przepraszam... - wymamrotał i odsunął się, żeby Maggie nie zdążyła wybuchnąć oburzeniem, że tak się zapomniał. Kątem oka zauważył jednak, że na jej twarzy nie widać śladu złości ani nawet zakłopotania, tylko pożądanie, to samo pożądanie, które go wprost rozsadzało.

- Przepraszasz? Dlaczego, przecież było mi przyjemnie...

- Mnie też - odparł szybko, żeby znów nie ulec pokusie. - O wiele za bardzo. A tego nie wolno, i już.

- Nie wolno mi okazywać uczuć mężczyźnie, który stał się dla mnie ważny? - spytała spokojnie. - Którego... którego po...

- Wcale nie - przerwał jej rozgorączkowany. - Nie może być ważny dla ciebie człowiek bez nogi, człowiek okaleczony. Nie pozwolę, żebyś zmarnowała sobie życie.

Zamrugnęła powiekami, zaskoczona gwałtownością tego wybuchu. - Będę szczery, Maggie. Czy naprawdę potrafisz znieść myśl o kalece w łóżku? Bo do tego prędzej czy później sprowadziłaby się nasza znajomość, gdybyśmy dalej całowali się i dotykali. Nie jestem dorastającym chłopcem, którego można zbyć kilkoma pocałunkami i pieszczotami przy księżycu. Jestem mężczyzną. Nie mogę otworzyć serca przed jeszcze jedną kobietą, która z krzykiem ucieknie ode mnie z łóżka.

- Myślisz, że skoro twoja żona... Przerwał jej jeszcze szybciej niż poprzednio:

- Nawet nie plam swoich ust wspomnianiem tej dziwki.
- Garricku, przecież mówisz o matce Johnny'ego! - krzyknęła pobladła.

Przeraziła ją nie tylko jego bezlitosna ocena Cecylii, choć on naturalnie nie mógł tego wiedzieć. - Ja... ja też jestem daleka od ideału, ale...

Znów nie pozwolił jej dokończyć.

- Cecylia była zbyt wrażliwa, żeby znieść mnie w łóżku, jednak to nie przeszkodziło jej popełnić bigamii z pierwszym mężczyzną, który był gotów wziąć ją pod swój dach. Szczerze wątpię, czy możesz mieć na sumieniu większy grzech.

Maggie wbiła wzrok w dłonie i wtedy zauważyła ich drzenie.

- Nie rozumiem więc, dlaczego tak nagle się odsunąłeś.

Znowu zaczął jej tłumaczyć, że nie pozwoli, by zmarnowała sobie życie z kaleką, ale tym razem to ona mu przerwała:

- Nie jesteś swoją nogą, Garricku. Owszem, to część twojego ciała, ale kocha się całego człowieka. A w tobie jest tyle do pokochania!

Prawie mu powiedziała, że go kocha. Garrick przyglądał jej się długo, a ona bez mrugnięcia okiem wytrzymała to spojrzenie.

Chciał jej powiedzieć, że i on ją pokochał, że spróbuje jej zaufać, nie mogło mu to jednak przejść przez gardło.

- Nie wiem... - bąknął w końcu. - Muszę myśleć o Johnnym. Gdyby nic z tego nie wyszło... Matkę już stracił. Nie mogę narażać go drugi raz na coś podobnego.

Myślał, że Maggie zaprzeczy swojej słabości do malca, choć mógł ją wyczytać z jej oczu za każdym razem, gdy patrzyła na Johnny'ego. Ona prostu zwiesiła głowę, w milczeniu przyjmując to, co powiedział.

Po chwili niezgrabnie schylił się po luźno zwisające wodze, cmoknął na Toby'ego i znów ruszyli w stronę Gillespie Springs.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Przez całą drogę powrotną Maggie była rozdarta między dumą a miłością. Wiele razy otwierała usta, by powiedzieć Garrickowi, że tak łatwo nie można jej zniechęcić, iż dowiedzie mu swych uczuć. Że może jej zaufać i nie musi lękać się ani o siebie, ani o los Johnny'ego.

W końcu jednak nie zwyciężyła ani duma, ani miłość, Maggie nie odezwała się więcej po prostu ze wstydu. Garrick dał jej przedsmak tego, jak może w przyszłości zareagować na prawdę o niej, kiedy nazwał swoją niedawno zmarłą żonę dziwką.

Jak mogła zapomnieć o tym, kim jest? Za sprawą Richarda Burke'a i przez własną głupotę wcale nie była lepsza od Cecylii, zmarłej żony Garricka. Wprawdzie jako kobieta stanu wolnego mogła oddać swoje ciało, komu chciała, nawet zupełnie niewłaściwemu mężczyźnie, jednak to wcale jej nie usprawiedliwiało.

Wyobraziła sobie, jak mówi Garrickowi, że nie jest dziewicą. Znowu poczułby się zdradzony i oszukany. Na pewno odwróciłby się od niej z pogardą.

Nie, stanowczo nie była godna takiego mężczyzny jak Garrick Devlin.- Wierz mi, bracie - powiedział Cal do Garricka następnego dnia rano w redakcji „Gazette” - że jeszcze nie byłem w takich tarapatach. Musimy znaleźć kryjówkę tej bandy. Tymczasem oni za każdym razem znikają po napadzie jak duchy.

Był wtorek. Garrick, Maggie i Eureka uwijali się jak w ukropie, przygotowując do druku nowy numer „Gazette”, gdy Cal i jego ludzie brudni i wymęczeni wrócili z pościgu. Cal zajrzał do brata, żeby go zawiadomić o swoim powrocie, potem miał się umyć i jechać na farmę rodziców po żonę i Johnny'ego.

- Muszą przenosić się z miejsca na miejsce, bo inaczej na pewno znalazłbyś tę kryjówkę - pocieszał go Garrick. - Nie martw się, na pewno ich złapiesz. W końcu powinie im się noga. Może zresztą ten artykuł wstępny o obowiązku wojsk federalnych udzielenia ci pomocy dotrze we właściwe miejsce. Maggie zawsze

wysłała kilka egzemplarzy „Gazette” do ojca w Austin, a tym razem specjalnie go poprosiła, żeby pokazał ten numer dowódcom oddziałów stacjonujących w stolicy.

- Może. - Cał uśmiechnął się blado. - Nigdy nie sądziłem, że akurat ty będziesz się zwracał o pomoc do wojska.

- Niech przynajmniej uczciwie zarobią na swoje utrzymanie.

- Z tym nie będę się sprzeczał. Idę już, bo musicie pracować. Johnny'ego przywiozę pewnie dopiero jutro rano.

Garrick skinął głową.

- Nie ma potrzeby pędzić na złamanie karku dziś wieczorem. Zresztą wątpię, czy mama by cię puściła. Na pewno chce się nad tobą poużalać. I pożegnaj Sama w moim imieniu. Skoro dzieci urodziły się zdrowe, to ani chybi niedługo wyruszy ze stadem.

Maggie żegnała Cala razem z Garrickiem i Eureka, ale myśli przez cały czas miała zajęte czym innym. Nie uszło jej uwagi, że Garrick nie wrócił do oficjalnego „panno Harper” i nadal zwracał się do niej po imieniu. Może nic to nie znaczyło, ona jednak była zdecydowana potraktować to jako znak, że w drodze z Bryan coś jednak między nimi się zmieniło.

- Dziękuję panu, Eureka - powiedziała dużo później, podając Murzynowi jeszcze wilgotną gazetę. W nozdrza uderzył ją zapach farby drukarskiej. - To ostatni egzemplarz. Jutro możemy sprzedawać nowy numer. Dziękuję, że pan został tak długo. Doprawdy nie mam pojęcia, jak nam się udało wydać pierwszy numer bez pana pomocy.

- Proszę nie dziękować, panno Maggie - odparł Eureka. Garrick przed godziną poszedł na specjalne posiedzenie rady miejskiej. - Niech pani jak najszybciej idzie do hotelu na kolację. Bessie zapowiedziała mi, że dzisiaj będzie potrawka z kurczaka, a poza tym obiecała zostawić specjalnie dla pani kawałek ciasta orzechowego. Ja tu tymczasem posprzątam.

- Świetnie, bardzo lubię potrawkę z kurczaka i ciasto orzechowe -

oświadczyła Maggie, wycierając ręce w fartuch. - Dlaczego nie odłoży pan sprzątanina do rana? Na pewno jest pan nie mniej zmęczony ode mnie, a bałagan poczeka. Przecież i tak zawsze wstaje pan razem z kurami.

Eureka uśmiechnął się od ucha do ucha i przeciągnął.

- Słusznie, panno Maggie. Wobec tego uciekam do domu - odparł i parę minut później wyszedł tylnymi drzwiami. Maggie z satysfakcją spojrzała na równy stos gazet leżących na biurku i gotowych do sprzedaży następnego dnia. Kilku właścicieli pobliskich farm już zwróciło się do Garricka z pytaniami o prenumeratę. Naprawdę możemy być dumni z tego, co osiągnęliśmy w tak krótkim czasie, pomyślała i zapaliła lampę jak zawsze przed wyjściem na kolację, żeby po powrocie z hotelu łatwiej jej było wejść na górę. Otuliła ramiona szalem i podeszła zamknąć tylne drzwi.

Owionął ją wieczorny podmuch wiatru, a wraz z nim dobiegł jej uszu cichy odgłos śmiechu z zabudowań po drugiej stronie bocznej ulicy, zwanych żłóbkami. Mieszkały tam i pracowały trzy damy, które nie dbały o swoją reputację.

Drzwi były uchylone. Widocznie Eureka ich nie domknął, a wiatr rozwarł je ponownie.

Nagle szparę zasłonił jakiś ciemny kształt.

Maggie zmartwiała.

- Kto to?

Postać przesuwała się w jej stronę. Maggie szybko zawróciła po lampę.

- To ja, panno Harper. Ezechiel Barbee - odpowiedział idący za nią człowiek, gdy światło padło na jego twarz naznaczoną kpiącym grymasem. Tym razem kapitan nie miał na sobie wystrzępionego szarego munduru, był ubrany w surduta i miał krawat. Mógłby nawet uchodzić w tym stroju za dżentelmena, gdyby nie pożądlive oczka, chytry uśmieszek i niechlujny zarost na podbródku.

W każdym razie Maggie nie potrafiła traktować go jak dżentelmena. W Zeke'u Barbee było coś takiego, co nasuwało jej myśl o dotykaniu oślizgłego przedmiotu.

Zainteresowało ją jednak, skąd kapitan ma nowe ubranie.- Redakcja jest już zamknięta. Pan Devlin... - Urwała, bo instynkt ostrzegł ją, że nie powinna mówić temu człowiekowi o nieobecności swego pracodawcy. - Musi pan poczekać do jutra.

- Och, mnie wcale nie interesuje gazeta - wycedził. - I nie przyszedłem do tego starego kuternogi. Wiem, że jest na jakimś zebraniu.

Maggie zdrętwiała, słysząc tę jawną drwinę z Garricka. Jednocześnie ogarnęło ją złe przeczucie.

- Muszę prosić, żeby pan stąd wyszedł - powiedziała stanowczo. - Właśnie miałam zamknąć redakcję.

- Wiem. Widziałem, jak wychodził ten czarnuch - odparł nie zrażony tym, że go wyprosiła. Nie patrzył jej w twarz, lecz prosto na piersi. - A ja chcę zaprosić panią na kolację.

- Czyżby, panie Barbee? Nie wiem, czemu pan sobie wyobraził, że gdziekolwiek z nim pójde - oświadczyła lodowato i zaczęła się cofać w stronę frontowych drzwi. Niestety, doskonale wiedziała, że główna ulica jest całkiem opustoszała. Eureka poszedł, a mieszkańcy Gillespie Springs albo jedli kolację w domach, albo byli na zebraniu, tak jak Garrick, albo siedzieli w saloonie.

- Oj, oj! Czy w ten sposób należy rozmawiać z takim miłym człowiekiem jak ja? - spytał Barbee.

Maggie cofała się nadal.

- Nie tak szybko, panno Harper - mruknął i wyciągnął rękę, chcąc chwycić ją za ramię. - Pomyślałem, że skoro dopisało mi szczęście i znalazłem kilka dolców, powinna pani jeszcze raz zastanowić się nad moim zaproszeniem.

Wściekłość pomogła jej zapomnieć o strachu.

- Najwyraźniej żyje pan w całkowicie błędnym przekonaniu, że poprzednio nie przyjąłam tak zwanego zaproszenia tylko z powodu pańskiego stroju. Powiem panu wprost, Barbee. Nie mam przyjemności rozmawiać z panem i to się nie zmieni, nawet gdyby przyszedł pan do mnie we fraku i w cylindrze. Rozumie pan? Barbee zmrużył

oczy.

- Okropnie zadziera pani nosa jak na kogoś, kto przez ostatnie kilka godzin po wyjściu staruszka Garricka pospolitował się z tym czarnuchem. Naprawdę nie musi pani przybierać przede mną takiej pozy. Nie rozumiem, dlaczego mój stary kumpel Garrick chce mieć u siebie taką kobietę, ale...

Te paskudne insynuacje wreszcie wyprowadziły Maggie z równowagi.

- Nie muszę się przed panem tłumaczyć, Barbee, ale wyjaśnię to panu: pan Jones i ja razem pracujemy. Odważył się pan znowu pokazać w mieście. Co się stało z tym postrzępionym mundurem? Może zostawił go pan na miejscu jednego ze swoich napadów?

Świńskie oczka kapitana zwięziły się w szparki. Mimo opalenizny widać było, że zbladł.

- Napadów? O czym ty gadasz, kobieto? Pozwoliła sobie na błądy uśmiech.

- Myślę, że dobrze pan wie, Barbee. To bardzo dziwny zbieg okoliczności, że dwoje świadków napadów, które zdarzyły się w tej okolicy, widziało człowieka odpowiadającego pańskiemu opisowi, w dodatku ubranego w zniszczony konfederacki mundur. Wkrótce pana złapią i wtedy zawisnie pan na szubienicy. Na pańskim miejscu szybko wyniosłabym się z Teksasu raz na zawsze. Znow wpadła w panikę, bo poczuła na twarzy gorący, nieświeży oddech Barbee. Co ją opętało, żeby tak prowokować tego człowieka, chociaż byli zupełnie sami? Krew pulsowała jej w uszach, wargi nagle wyschły.

Zeke Barbee opuścił głowę, a gdy ich twarz dzieliły już tylko centymetry, syknął:

- Ale nie jest pani na moim miejscu. Za to ja na pani miejscu byłbym bardziej uprzejmy. Zobaczysz, ty zarozumiała Jankesko, zaraz cię nauczę grzeczności... - warknął i zatkał jej usta dłonią.

- Nic z tego - zabrzmiał w ciemności głos Eureka. Och, jaką radość jej sprawił!

Barbee odwrócił się, z zaskoczenia puściwszy Maggie.

- Wynoś się stąd, czarnuchu - warknął. - To nie twoja sprawa.

Maggie szybko uciekła poza zasięg jego rąk i schroniła się za plecami Murzyna, który stał z dwururką gotową do strzału.

- Właśnie że moja. A teraz wynocha stąd, śmieciu, i to szybko, zanim wyślę cię prosto do piekła.

Barbee stał nieruchomo i mierzył ich morderczym spojrzeniem. Przez cały czas zaciskał i rozluźniał dłonie.

- Nie przekazałem jeszcze pannie Maggie wiadomości od jej dobrego znajomego - powiedział, sięgając do kieszeni na piersi.

- Nie ruszaj się! Ręce do góry! - wykrzyknął Eureka. - Nie jestem głupi, żeby wierzyć w takie bajki. Nie pozwolę ci sięgnąć po broń!

Oczy Zeke'a pałały gniewem, posłusznie uniósł jednak ręce do góry.- Nie możesz mnie zabić, czarnuchu - parsknął. - Zawisłbyś za zabicie białego człowieka i dobrze o tym wiesz.

- Tak czy owak, najpierw ty będziesz martwy, śmierdzielu - odparł Eureka.

Barbee zwrócił wzrok ku Maggie.

- Naprawdę mam dla pani list, panno Maggie - powiedział. - Niech mu pani powie, żeby przynajmniej pozwolił mi go pani przekazać.

Ona jednak również nie zamierzała ryzykować.

- Nie wierzę panu. Z pewnością nie mamy wspólnych znajomych.

- Pani strata, panno Maggie. Trudno, przyjaciel będzie musiał się z panią porozumieć w inny sposób. Wobec tego idę - oświadczył i zaczął ostrożnie cofać się do tylnych drzwi.

Maggie i Eureka obserwowali go, póki nie znikł za drzwiami. W chwilę później usłyszeli stukot końskich kopyt, początkowo w kłusie, potem w galopie.

Eureka ostrożnie wyjrzał na dwór przez szparę.

- Odjechał - mruknął i starannie zamknął drzwi. Maggie zaczęła drżeć jak

osika.

- Dziękuję panu, Eureka. Jak to się stało, że pan wrócił? Murzyn uśmiechnął się, pokazując garnitur białych zębów.

- Przypomniało mi się, że zostawiłem tu klocki dla Johnny'ego, nad którymi miałem popracować po kolacji. Wracając, zobaczyłem tego drania, jak wślizguje się tylnymi drzwiami. Szybko pobiegłem do domu, jak pani wie, to tylko kilka chałup dalej, i wziąłem tę starą dwururkę. Po nim niczego dobrego nie można się spodziewać.

- On chyba nie mógł mieć dla mnie listu - głośno zastanawiała się Maggie. - Nie potrafię zgadnąć, od kogo mógłby być taki list. - Znowu ogarnął ją lęk. Eureka pokręcił głową.

- Nie, on po prostu chciał wyjąć broń. - Potarł czoło. - Panno Maggie, musimy powiedzieć o tym panu Devlinowi.

Maggie przypomniała sobie, że Garrick prosił, by go zawiadomiła, gdyby Barbee znowu ją niepokoił.

Zaczęła się zastanawiać, jak zareagowałby na taką nowinę. Wprawdzie pokłócił się z Zeke'em o zatrudnienie jej i Eureka w redakcji, ale gdy oskarżyła Barbee o udział w napadach, bronił dawnego towarzysza. A jej duma nie pozwalała drugi raz wystąpić z takim samym oskarżeniem. Była zresztą pewna, że Barbee nie odważy się wrócić.

- Nic pan nie powie, Eureka - zdecydowała. - Niech mi pan to obieca. Pan Devlin tylko by się zmartwił, a ma dosyć swoich kłopotów. Barbee już tu nie wróci.

Murzyn podrapał się po głowie.

- Nie wiem, panno Maggie. Tacy ludzie nie lubią, kiedy ktoś ich przechytry.

- Będę codziennie zamykać drzwi na klucz. Poza tym mam pod poduszką derringera, przywiozłam go z Austin. - Było to drobne kłamstwo, bo żadnej broni nie miała, ale mogła nazajutrz wstąpić do sklepu i kupić pistolet.

- Ma pani derringera? To proszę mi pokazać, że umie go pani naładować i

strzelić - zażądał Eureka.

Zaskoczył ją tym.

- Oskarża mnie pan o kłamstwo, Eureka? - spytała z udanym oburzeniem, zaraz jednak zobaczyła, że nic jej to nie pomoże. Westchnęła. - Rzeczywiście, nie mam broni - wyznała - ale mogę jutro kupić...Eureka przyjrzał jej się uważnie.

- Zgoda, panno Maggie. Będę panią odprowadzał do hotelu i z powrotem. I będę spał tu, w redakcji, na wypadek, gdyby ten drań chciał się zakraść nocą. Pan Devlin nie musi o tym wiedzieć. Zanim przyjdzie, będę już zamiatał.

- Przecież nie może pan spać na podłodze!

- Panno Maggie, kiedy byłem niewolnikiem, zdarzało mi się spać w znacznie gorszych warunkach. Nic mi się nie stanie.

- Niech będzie. - Prawdę mówiąc, tej nocy bałaby się zostać sama w budynku redakcji. Barbee tak na nią patrzył...

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Następnego ranka Maggie nie miała nawet czasu się zastanowić, czy bezsenna noc, którą spędziła na rozmyślaniu o zakusach Barbee, odcisnęła znaki na jej twarzy. Dzwonek nad drzwiami redakcji dźwięczał prawie bez przerwy, a z ulicy płynął nieprzerwany strumień klientów. Wszyscy mieszkańcy Gillespie Springs chcieli kupić najnowszy numer gazety. Każde nowe wydanie stawało się wydarzeniem. Klienci często zatrzymywali się na chwilę, żeby przejrzeć gazetę na miejscu i zamienić parę zdań z sąsiadami. Owszem, interesowały ich artykuły o poczynaniach władz stanowych i federalnych, ale, zgodnie z przewidywaniami burmistrza Longa, najbardziej lubili czytać o sobie. Garrick dawał im i jedno, i drugie.

Patrząc, jak właściciel saloonu klepie Garricka po plecach i chwali za artykuł

wstępny, Maggie cieszyła się z sukcesu swojego pracodawcy. Garrick naprawdę zaczął robić coś, czego ta społeczność potrzebowała.

I wcale nie przywłaszczał sobie wszystkich zasług.

- To napisała moja pomocnica - powiedział, gdy pani Long pochwaliła artykuł o początkach miasta.

Maggie podeszła podziękować żonie burmistrza za komplement, bardzo zadowolona, że Garrick nazwał ją swoją pomocnicą. W ten sposób przyznał, że jej rola nie ogranicza się bynajmniej do obsługi maszyny drukarskiej.

Phoebe Stone, która przyszła po gazetę razem z żoną burmistrza, zauważyła z przekąsem, że nikt nie zwrócił się do niej o informacje, chociaż wraz ze swym mężem była wśród pierwszych mieszkańców Gillespie Springs. Przesłała Maggie jadowne spojrzenie i skupiła uwagę na Garricku.

- Czy będzie pan na naszym dorocznym festynie w parku? - spytała głosem, który Maggie nieodmiennie kojarzył się z gruchaniem gołębia.

Garrick zdawał się nie wiedzieć, o co chodzi.

- Czyżby nikt panu o tym nie powiedział? Czy nie widział pan ogłoszeń, które wyszły spod pana maszyny? - spytała z wyrzutem Phoebe. - Przecież to już jutro! Będą wyścigi konne i zawody strzeleckie dla mężczyzn, a dla pań konkursy pieczenia ciasta, haftowania i szycia kołder. Często wygrywam wszystkie trzy - wyznała z tak fałszywą skromnością, że Maggie musiała bardzo się pilnować, żeby się nie roześmiać. - Wielebny jest sędzią w konkursie pieczenia ciasta, a on bardzo lubi mój placek z brzoskwiniami.

- Muszę przyznać, że zupełnie zapomniałem o festynie - powiedział Garrick. - Ale naturalnie może być pani pewna, że „Gazette” zrelacjonuje wszystkie wydarzenia.

Phoebe uśmiechnęła się kpiąco.

- Szkoda, że pana sympatia nie może spróbować sił w konkursie pieczenia ciasta. Przecież mieszka w tym ciasnym pokoiku na górze - znacząco podniosła

wzrok ku piąterku - i je wszystkie posiłki w hotelu, czyż nie? Ja nie mogłabym żyć bez kuchni i moich wypieków! - oświadczyła.

Chyba bez swojego kotła czarownicy, pomyślała Maggie i ze złości omal nie zacisnęła rąk w pięści. Garrick wydawał się dość zmieszany tym, że nazwano ją jego sympatią, a żona burmistrza wyglądała, jakby tylko brak śmiałości powstrzymywał ją przed skarceniem swojej towarzyszki. Phoebe napuszyła się i zwróciła do Maggie:

- Ale chyba ma pani wieczorami czas na robótki. Może zgłosi pani jakąś pracę do konkursu haftów?

Maggie, zirytowana w najwyższym stopniu protekcyjnym tonem modystki, postanowiła wyręczyć Garricka w odpowiedzi.

- Myli się pani, Phoebe, nie jestem sympatią pana Devlina - oświadczyła. - W odróżnieniu od większości kobiet częściej trzymam w dłoni sztylet zecerski niż igłę, ale praca u boku takiego profesjonalisty jak pan Devlin w zupełności zaspokaja moje twórcze aspiracje.

Phoebe Stone wyglądała w tej chwili tak, jakby jej gorset zrobił się nagle za ciasny.

- Moim zdaniem takie twórcze aspiracje nie przystoją porządnej kobiecie - stwierdziła i szeleszcząc spódnicami, odpłynęła z redakcji jak okręt pod pełnymi żaglami.

Marta Long została w redakcji. Przesłała Maggie i Garrickowi współczujące spojrzenie.

- Ona robi się coraz bardziej nieznośna. Wszystko przez to, że jej mąż zginął na wojnie. Przykro mi, moja droga - zwróciła się do Maggie - że akurat panią upatrzyła sobie na przeciwniczkę. Phoebe jest bardzo samotna, ale który mężczyzna odważyłby się do niej zbliżyć?

Objęła spojrzeniem również Garricka.

- W każdym razie nie wiedziałam, że między wami coś się zaczęło pruć - powiedziała z uśmiechem. - To wspa... - Skądże znowu - przerwała jej szybko

Maggie, nie chcąc, żeby zrobił to Garrick. - Pana Devlina i mnie łączy praca, nic więcej.

Żona burmistrza wydawała się nie w pełni przekonana.

- Doskonale rozumiem, że trzeba być dyskretnym. Nie bójcie się, nie zdradzę waszego sekretu, póki sami nie będziecie do tego gotowi. Muszę już iść. Burmistrz lubi coś zjeść dokładnie w południe, a jeszcze niczego mu nie przygotowałam.

O jedenastej nastąpiła chwila spokoju. Chwilę wcześniej wyszedł z redakcji Cal, a za nim Eureka, który wziął ze sobą plik gazet do rozniesienia na North i South Street.

Maggie z Garrickiem zostali sami.

- Maggie - przerwał nagle ciszę Garrick - bardzo mi przykro z powodu gadaniny tej starej plotkary. Naturalnie mam na myśli Phoebe, a nie żonę burmistrza. Pani Long ma jak najlepsze intencje i na pewno nie będzie plotkować.

- Phoebe Stone nie robi na mnie wrażenia - powiedziała Maggie z godnością.
- Jestem przyzwyczajona do kobiecej zawiści. Tam, gdzie przedtem mieszkałam, była cała armia żon żołnierzy, bardzo podobnych do Phoebe.

Przypomniała sobie, jak wzięły ją na języki po jej nieszczęsnym romansie z Richardem Burke'em.

- Przykro mi tylko, że przeze mnie również o panu źle mówią - dodała.

Garrick lekceważąco machnął ręką.

- To nieważne. Myślę, Maggie, że byłoby miło, gdybyśmy razem poszli na ten festyn. My dwoje i Johnny. Co pani na to?

Maggie miała wielką ochotę pojechać na piknik z Garrickiem i poprzyglądać się zabawom Johnny'ego. Jednak w drodze z farmy Devlinów Garrick powiedział coś, co nijak nie godziło się z tym zaproszeniem, w dodatku wspomnienie słów Phoebe Stone i podobnych złościwości, które dawniej musiała znosić, było bardzo bolesne.

- Jest pan bardzo rycerski, Garrick - odparła, spuszczać wzrok - ale nie mogę tego wykorzystywać. Na pewno byłoby rozsądniej, gdybyśmy trzymali się

wcześniejszych postanowien. - Zaczęła się krzątać przy gazetach przeznaczonych dla prenumeratorów spoza miasteczka. - Chciał pan, żebym to wysłała. - Otworzyła szufladę biurka, w której trzymała drobne pieniądze, wzięła garść monet i podeszła do drzwi.

- Chwileczkę, Maggie... - zaczął Garrick.

Udała jednak, że go nie słyszy, i szybko wyszła na ulicę. Musiała to zrobić, bała się bowiem, że wybuchnie płaczem.

Cyrus Tyler powitał Maggie zza lady i wziął od niej plik gazet.

- Mam dla pani list z Austin, zdaje się, że od ojca. Dwa centy za wysłanie gazet, proszę. Piękny dzień dzisiaj mamy, prawda? Aha, muszę pani powiedzieć, że bardzo mi się podoba to ogłoszenie fryzjera, które zrobił Eureka Jones. Myśli pani, że dla mnie też mógłby zrobić taką kostkę ze znakiem cechowym?

- Oczywiście, panie Tyler - odrzekła Maggie, bardzo zadowolona, że właściciel sklepu nareszcie postanowił dać ogłoszenie do „Gazette”. Już dość dawno próbowała mu wytłumaczyć, na czym polega przygotowywanie stereotypów, ale widocznie pan Tyler zapamiętał jedynie tyle, że jest to rodzaj klocka. - Powiem Eurece, że pan jest zainteresowany- dodała. - Na pewno szybko uwinie się ze zleceniem. Naturalnie pokażemy panu ogłoszenie do zatwierdzenia przed opublikowaniem go w gazecie.

Nie czuła się jeszcze na siłach wrócić do redakcji i spojrzeć Garrickowi w oczy, postanowiła więc poszukać Eureka. Gdzie teraz mógł być? Czy na North Street, gdzie mieszkali ubożsi, czy już na South Street, gdzie stały domy burmistrza i innych zamożnych obywateli miasta?

Postanowiła spróbować szczęścia na North Street, ponieważ Eureka uwielbiał wdawać się w rozmowy z ludźmi. Zawróciła w tamtą stronę.

- Pst, pst - rozległ się cichy kobiecy głos gdzieś z prawej strony. - Panno Harper! Tutaj!

Maggie odwróciła się i zobaczyła głowę wystającą z przejścia między sklepem

i domem doktora. Zerkająca stamtąd kobieta miała mocno upudrowaną twarz, a na policzkach plamy rózu wyglądające jak dwa kwiaty.

- Kim pani jest? - spytała Maggie, podszedłszy bliżej. Okap sklepowego budynku zaciemniał przejście.

- Nazywam się Ruby Timmons. Jesteśmy sąsiadkami. Pracuję w żłóbku, za łaźnią. Idę za panią, odkąd wyszła pani z „Gazette”.

- Dlaczego nie możemy stanąć na ulicy, jeśli chce pani porozmawiać? - spytała nieufnie Maggie. Wprawdzie nie widziała, by ktokolwiek czał się za plecami kobiety, ale mimo wszystko ciasne przejście budziło w niej złe skojarzenia.

- Bo nie chcę, żeby mnie zobaczył ten wścibski szeryf

- odparła kobieta, wskazując skinieniem głowy areszt i biuro Cala, znajdujące się po drugiej stronie ulicy. - Ostrzegał mnie, żebym nie ważyła się pokazywać na Main Street, póki przyzwyczajeni ludzie nie położą się spać.

Znając Cala Devlina, Maggie szczerze wątpiła, czy mógł wydać zarządzenie tego rodzaju, postanowiła jednak nie wdawać się w zbędne szczegóły.

- Co pani chce mi powiedzieć? - spytała, stojąc na ulicy, podczas gdy kobieta wciąż kryła się w mroku zaułka.

- Mam dla pani wiadomość - powiedziała i dodała, gdy Maggie się zawahała:

- Wiem, że wszystkim zależy, żeby złapać tych bandytów. Jeden z nich był u mnie poprzedniej nocy i powiedział mi, gdzie obozują.

Maggie szybko przemyślała tę informację.

- Jeden z bandytów spędził z panią noc? Dlaczego miałby powiedzieć pani coś, co mogłoby spowodować na nich pościg? - spytała nieufnie.

- Pewnie myślał, że nic mu nie grozi, bo oboje jesteśmy na bakier z prawem. Był ze mnie bardzo zadowolony, więc chciał, żebym wzięła resztę dziewczynek i przyszła do nich na przyjęcie, jeśli pani rozumie, co mam na myśli... - Ruby szelmowsko mrugnęła, zaraz jednak w jej głosie zabrzmiało oburzenie: - Phi, miałybyśmy uwierzyć, że nam zapłacą, a nie poderzną gardel? Serdeczne dzięki, nie

jesteśmy takie naiwne.

- Więc dlaczego pani mówi o tym akurat mnie? Dlaczego nie szeryfowi? - dopytywała się Maggie.

Ruby energicznie splunęła na ziemię.

- Powiedziałam już, że z szeryfem nie wchodzimy sobie w drogę. Zresztą on by mi nie uwierzył. Pani to co innego. Pisze pani artykuły do gazety. Pewno nie sądziła pani, że ktoś taki jak ja umie czytać, co? A ja chcę pomóc drugiej pracującej kobiecie. Pomyślałam, że takiej przedsiębiorczej osobie jak pani przyda się pomoc. Mogłaby pani przyjrzeć się ich kryjówce i napisać o tym artykuł.

- A dlaczego miałyby pani zdradzić... swojego klienta?

- wciąż nie dowierzała Maggie.

W mroku było widać, jak oczka Ruby Timmons nagle się zamknęły.

- Bo źle mnie potraktował, ot co - odparła rzeczowo. - Mam siniaki i ślady ugryzienia, naturalnie tam, gdzie pani ich nie zobaczy. Niepotrzebne mi coś takiego.

Maggie uwierzyła. Widocznie Ruby Timmons była jeszcze jedną nieszczęsną kobietą zdaną na łaskę okrutnego mężczyzny.

- Gdzie jest ta kryjówka? I dlaczego ludzie szeryfa jej nie znaleźli?

Kobieta zaśmiała się chrapliwie.

- Nie tak szybko, pani redaktor. Ja też muszę z czegoś żyć. Nie znaleźli, bo bandyci nie siedzą długo w jednym miejscu. Ale mogę wskazać ich główny obóz.

Maggie zmarszczyła czoło, nagle pozbawiona idealistycznych złudzeń.

- Nie mam przy sobie pieniędzy, żeby zapłacić - powiedziała, choć w jej torebce było jeszcze pięć dolarów.

- Nie ma pieniędzy, nie ma informacji - odparła kobieta.

- Poza tym chcę, żeby to pani wszystko sprawdziła, a nie Devlin. Rozumie pani?

Maggie miała zamiar jej powiedzieć, że jeśli kupi informację, spożytkuje ją tak, jak uzna za stosowne, w ostatniej chwili doszła jednak do wniosku, że nie należy

się spierać, Kobieta mogła się rozmyślić, a przecież bandytów należało złapać jak najszybciej, żeby nikogo więcej nie skrzywdzili. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej była przekonana, że to rzeczywiście ona powinna odszukać kryjówkę bandy. Garrick i Cal najprawdopodobniej zlekceważyliby informację pochodzącą z takiego źródła. Ale gdyby udało jej się podkraść do obozowiska, mogłaby sprawdzić wiarygodność kobiety, zanim przekazałaby tę informację Garrickowi. Po plecach przebiegł jej dreszcz podniecenia. Nareszcie będzie miała okazję napisać porządny artykuł, nie jakieś nudne sprawozdanie ze spotkania kółka szwaczek.

- W porządku. Tu jest pół dolara - powiedziała, sięgając do torebki po złotą monetę. - Więcej nie mam,

- Wystarczy - odparła Ruby, chciwie wrywając jej z ręki pieniądz. - Niech pani słucha... - Zniżyła głos: - Wyjedzie pani z miasta drogą na wschód. Jakies pięć kilometrów stąd rośnie dąb, częściowo spalony przez piorun. Tam skręci pani na ścieżkę, którą dotrze pani do strumienia. Skręci pani na zachód i wzdłuż strumienia dojdzie do trzech głazów. Przy nich jest bród przez strumień. Potem skręci pani na wschód i dojdzie do topoli, która leży w poprzek ścieżki. Wtedy skręci pani w prawo i będzie szła przed siebie aż do jaskini w skale. To jest ich kryjówka. Na pewno ich tam pani znajdzie, jeśli tymczasem nie przenieśli się, żeby szukać pieniędzy gdzie indziej. - Zachichotała, jakby bardzo ją to śmieszyło.

Maggie powtórzyła otrzymane wskazówki, licząc na to, że zdoła je zapamiętać do chwili, gdy spisz je na kartce. Miała też nadzieję, że nie pomyli wschodniego wyjazdu z miasta z Zachodnim.

- Doskonale. Ma pani dobrą pamięć, Jankesko - stwierdziła Ruby. - Powodzenia. Może potem będzie pani chciała napisać artykuł o złóbkach.

Wyraźnie nie oczekiwała reakcji na tę sugestię, bo zaśmiała się i znikła w głębi przejścia, zanim Maggie zdążyła wymyślić odpowiedź.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

- Panno Maggie, czemu pani rozmawia z taką kobietą? - usłyszała jakiś głos za plecami.

Maggie nerwowo drgnęła, zaraz jednak uświadomiła sobie, że nie ma powodu do niepokoju.

- Och, Eureka. Skąd pan się tu wziął?

- Z drugiej strony ulicy. - Pokazał, że ma wolne ręce. - Sprzedałem wszystkie gazety, które wziąłem z redakcji.

- To wspaniale, ale przestraszył mnie pan! W każdym razie właśnie miałam pana poszukać. Pan Tyler zrozumiał wreszcie, że powinien zamówić u nas cotygodniowe ogłoszenie i...

- Mniejsza o to - odparł, wpatrując się gniewnie w puste już przejście między domami. - Czego chciała od pani ta... ladacznica? Że też miała czelność w ogóle się do pani zbliżyć.

- Niech pan się nie denerwuje, Eureka, nic mi nie zrobiła

- zapewniła go Maggie. Na szczęście Murzyn był za daleko, żeby podsłuchać rozmowę. Wystarczyło jej jednak krótkie spojrzenie, by mina Eureka ją przekonała, że można mu wyjawić nie więcej niż Garrickowi. A to znaczyło, że nie miała co liczyć na pożyczanie muła jak wtedy, gdy jechała do pani Blevins. Pozostawał jej koń z publicznej stajni.

- Zaproponowała mi tylko, żebyśmy napisali krótki artykuł o, hm... miejscu jej pracy. - Maggie poczuła, że się rumieni. - Właśnie szukałam taktownego sposobu wytłumaczenia jej, że mój pracodawca prawdopodobnie się na to nie zgodzi.

Eureka syknął pogardliwie.

- Ma pani rację. Pan Devlin nie ma kłopotu ze znajdowaniem tematów.

- To prawda... Muszę już iść. Mam coś do zrobienia. Zacznie pan rzeźbić

stereotyp dla pana Tylera?

- Naturalnie, panno Maggie. Czy może mi już pani oddać spodnie i marynarkę?

Niedawno Maggie zaofiarowała się, że zaceruje mu stare spodnie, które rozdarł na jakimś wystającym gwoździu w redakcji, Eureka wyznał bowiem, że jego siostra nie ma drygu do igły. A gdy Maggie wzięła spodnie, nieśmiało wręczył jej również marynarkę.

Ubrania były już zreperowane, jednak pytanie Eureka nasunęło jej pewien pomysł.

- Nie, dopiero muszę do tego usiąść - powiedziała. - Pozaszywam wszystko dziś wieczorem i jutro rano będzie gotowe, zgoda?

- Dobrze, panno Maggie. Dziękuję.

Wracając do redakcji, czuła na sobie jego wzrok. Czyżby domyślił się, że nie powiedziała mu wszystkiego?

Otwierając drzwi, wciąż obawiała się spotkania z Garrickiem, ale ku jej zdziwieniu nie było go w redakcji. Weszła na pierwsze stopnie schodów, bo chciała iść do siebie, by w spokoju zapisać wskazówki, jakie dostała od Ruby, gdy zauważyła kartkę przyczepioną do maszyny drukarskiej:

Droga Maggie!

Pojechałem poćwiczyć strzelanie. Można mnie znaleźć, jadąc drogą na zachód. Muszą sprawdzić, czy jeszcze się do czegoś nadaję, żeby nie skompromitować się na festynie. - Kiedyś byłem najlepszym strzelcem w pułku. Proszę trochę odpocząć - ostatnio bardzo ciężko pani pracowała. Może sen pomoże pani zmienić zdanie co do wspólnego pikniku.

Garrick

Pierwsza część listu wywołała na twarzy Maggie uśmiech. Przytyki Phoebe

sprowokowały dodatkowego zawodnika do udziału w konkursie strzeleckim. W dodatku szczęśliwym zrządzeniem losu Garrick pojechał w przeciwnym kierunku, niż miała prowadzić jej droga, mogła więc liczyć na to, że uda jej się opuścić miasto po kryjomu.

Przy ostatnim zdaniu nieco się zasepiła. Mimo silnej pokusy w żadnym wypadku nie wolno jej było zmięknąć w sprawie festynu. Oboje z Garrickiem hołdowali zasadzie „wszystko albo nic”, a ponieważ Richard Burke odebrał jej coś bardzo ważnego, nie mogła już dać Garrickowi wszystkiego.

Jakoś zdołała się jednak oderwać od tych smutnych myśli, poszła na górę i usiadła przy stole, gdzie zawsze leżał plik kartek na wypadek, gdyby nadszła ją natchnienie. Na jednej z nich zapisała wskazówki, które otrzymała od Ruby. Może nic nie przekreśliła. Ale czy przy strumieniu miała skręcić na wschód czy na zachód? Na zachód...

Pozostała jeszcze kwestia stroju. Nie mogła podjechać konno do samej kryjówki, bo zostałaby zauważona. Koń robił zbyt wiele hałasu, musiała więc tam niepostrzeżenie podejść. Większą swobodę ruchów miałyby z pewnością w męskim przebraniu.

Doprawdy sprzyjało jej szczęście, że jeszcze nie oddała Eureka jego spodni i marynarki. Murzyn był niezbyt wysoki, więc spodnie powinny na nią nie najgorzej pasować. Bluzkę miała tylko jedną, niestety białą, ale gdyby zapięła marynarkę, nie byłoby jej widać.

Zdjawszy suknię i halki, przekonała się, że Eureka, choć niewysoki, jest jednak od niej zdecydowanie wyższy. Musiała podwinąć mankiety nogawek, żeby nie potykać się o nie przy chodzeniu. Poza tym był cięższy w pasie, więc spodnie zwieszały jej się z bioder. Na dole znalazła mocny sznur, którym przepasała się w talii, po czym wróciła na górę zrobić porządek z fryzurą.

Rozpuściła włosy, rozczesła gęste pukle, spłotła je w warkocz, a następnie starannie upięła go na czubku głowy, żeby po włożeniu kapelusza, zostawionego

przez Eurekę na wieszaku przy tylnych drzwiach, mieć pewność, że ogniście rude włosy nie zdradzą jej przed bandytami.

Mogła teraz wyruszać. Przedstawiała sobą bardzo zabawny widok, bo spod podwiniętych spodni Eureki wystawały damskie trzewiki, ale przy odrobinie szczęścia miała szansę uniknąć spotkania znajomych. Postanowiła podejść do stajni od tyłu, przez North Street. To była najbezpieczniejsza droga, musiała tylko niepostrzeżenie minąć dom Eureki i Bessie. Ha, niech się dzieje, co chce. Wcisnęła do kieszeni kartkę ze wskazówkami i tylnymi drzwiami wyszła na dwór.

Nie mogła jednak oszukać stajennego, który dokładnie przyglądał się każdemu, kto pożyczał konia. Gdy wręczała mu zapłatę, bezwstydnie wytrzeszczył na nią oczy, wywnioskował więc, że ją poznał.

Udała, że nie zauważa jego zdziwionego spojrzenia, i zażądała konia, który byłby zarówno potulny, jak i zdolny do galopu w razie potrzeby. Wprawdzie zamierzała tylko wytropić obozowisko bandytów i wycofać się niepostrzeżenie, ale musiała być przygotowana na każdą okoliczność.

- Czy za pół dolara mogę zatrzymać tego konia do końca dnia?

Stajenny skinął głową i z niechętną miną zaczął siodłać deresza, po którego wyglądzie należało sądzić, że kiedyś wiodło mu się lepiej.

- Czy jest pan pewien, że ten koń jest zdolny do galopu? - spytała z niedowierzaniem.

Stajenny oderwał wzrok od zapinanego popręgu.

- O, tak. Downy był koniem kawalerzysty. Może galopować, że ho, ho, tylko trzeba go do tego zmusić sławnym okrzykiem secesjonistów.

- Okrzykiem secesjonistów...? Stajenny parsknął z pogardą.

- Zapomniałem, że pani jest Jankeską - mruknął. - O, tak. - Wydał z siebie wrzask, który nie tylko skłonił konia do poderwania łba znad koryta, lecz zapewne zbudził także umarłych spoczywających na cmentarzu po drugiej stronie ulicy.

- Ach, już rozumiem - odparła Maggie, której wciąż dzwoniło w uszach.

Miała nadzieję, że potrafi wydobyć z siebie taki dźwięk, choć, prawdę mówiąc, wolałaby tego nie sprawdzać. Garrick nie umiał wytłumaczyć, dlaczego nagle obudził się w nim niepokój, chociaż dopiero co zdążył rozstawić cynowe puszkę na polu pod miastem i wymierzyć w pierwszą z nich lufę swej wypróbowanej starej strzelby. Dzień był idealny do ćwiczeń strzeleckich, tak ciepły i słoneczny, że nawet wiosną w Teksasie trudno o piękniejszy. Z pobliskiej topoli raz po raz odzywała się sroka.

To była niedorzeczność. Garrick nie wierzył w intuicję, w przeczucie, jak nazywał to jego ojciec Irlandczyk. Wiedział jednak, że nie poćwiczy strzelania, póki nie sprawdzi, co się dzieje z Maggie.

Od samego rana wydawała mu się dziwnie rozdrażniona. Zauważył to już we wczesnych godzinach, zanim ludzie zaczęli schodzić się po gazetę. I choć nie było powodu, by sądzić, że Maggie jest w niebezpieczeństwie, musiał się o tym osobiście przekonać.

Toby spojrzął na swego pana z łagodnym wyrzutem, gdy Garrick znowu zaczął go siodłać, choć dopiero co zdjął mu siodło i pozwolił skubać bujną, soczystą trawę. Ale opór wałacha był mało stanowczy, nawet wędzidło nie skłoniło go do prawdziwego protestu.

- Wiem, staruszk, że w tym nie ma sensu - mruknął Garrick i aż się wzdrygnął, bo przy dosiadanu konia znów poczuł przeszywający ból w nodze, której od dawna nie miał. - Pewnie znajdę ją w jej pokoju i będzie na mnie patrzyła, jakbym był niespełna rozumu. I dobrze, staruszk, wtedy wrócimy tutaj i będziesz mógł dalej skubać sobie trawę* zgoda?

Znalezienie trafionego piorunem dębu nie sprawiło Maggie kłopotu. Drzewo miało rozplątany pień, a poczerniałe połówki odchylały się od siebie pod dziwnym kątem.

Dalej jednak wskazówki były mniej klarowne. Ścieżkę prowadzącą do lasu widziała dobrze i wkrótce dotarła do strumienia, ale z dala od miasta zaczynała tracić orientację w terenie. Czy zachód jest w prawo, czy w lewo? Gęste topole, rosnące nad

strumieniem, przesłaniały słońce, na szczęście można było odejść kilka metrów od wody i wtedy złota tarcza rysowała się wyraźniej. Tymczasem minęło już południe. Słońce powinno opadać ku zachodowi. Znaczyło to, że należy skręcić w lewo, tak w każdym razie uznała Maggie.

Następnym punktem orientacyjnym były trzy głazy. Ale w strumieniu czy na brzegu? Wolno jechała naprzód, rozglądając się na prawo i lewo. Co pewien czas ogarniał ją lęk, że minęła już głazy i że niepotrzebnie dała się namówić na tę wyprawę. Zresztą wcale nie dlatego się zdecydowała, że tamta wszetecznicza rozmawiała z nią jak pracująca kobieta z drugą pracującą kobietą. Nie, wszystko przez to, że połechtano jej dziennikarską ambicję. Wyobraziła sobie podziw, jaki odmaluje się na twarzy Garricka, i wdzięczność, jaka spotka ją za ten śmiały czyn ze strony mieszkańców miasteczka, a zwłaszcza Cala. Dzielna kobieta, będą mówić o niej. Nieustraszona.

Głupia, skarciła siebie w duchu. Wcale nie miała powodu wierzyć tej ladacznicy, a nawet jeśli tamta nie skłamała, to trzeba było jeszcze znaleźć obozowisko i bezpiecznie wrócić do miasteczka. Boże, żeby chociaż miała pistolet!

Nagle zobaczyła przed sobą przewróconą topolę.

- Ty tu Zostajesz, Downy - powiedziała, zsiadła z konia i przywiązała go do zwalonego drzewa. Zanim ruszyła dalej, wyjęła z kieszeni kartkę i sprawdziła następne wskazówki.

„Przy zwalonej topoli skręć w prawo” - brzmiała ta najbardziej aktualna. Rzeczywiście, gdy uważnie się przyjrzała, zauważyła ślad podkowy odcisnięty w ziemi, przygniecioną trawę i połamane łodygi roślin, co wskazywało na to, że ktoś niedawno szedł tędy lub jechał. Schowała kartkę do kieszeni na piersi marynarki, pomodliła się w myślach i zaczęła się skradać, uważając, żeby nie nastąpić na jakąś gałązkę, która pękając, mogłaby narobić hałasu.

Droga do obozowiska bandytów prawdopodobnie wiodła prosto jak strzełił, pytanie tylko, jak daleko trzeba będzie iść. Stawy rozbolały Maggie od posuwania się

naprzód w kucki, strach paraliżował jej ruchy. Nagle z pobliskiego drzewa rozległ się krzyk spłoszonego drozda. Maggie omal nie krzyknęła jeszcze głośniejsze.

Zaraz potem zmienił się kierunek wiatru i wtedy w nozdrza uderzył ją zapach dymu. Usłyszała strzępek zdania wypowiedzianego męskim głosem, gardłowym i ochryplym. Potem drugi mężczyzna coś odpowiedział i wszyscy ryknęli śmiechem. Metal zazgrzytał o metal, jakby ktoś wydrapywał jedzenie z dna miski. Tak, z pewnością była już bardzo blisko obozowiska. Przed sobą miała niewielką kępę młodych magnolii mniej więcej metrowej wysokości. Otaczały wielką, zwałoną magnolię, która dała im początek, a potem przez swoją śmierć umożliwiła im wzrost.

Maggie opadła na czworaki i zaczęła powoli pełznąć przed siebie. W nocy padał deszcz, więc pod palcami czuła chłód mokrej darni.

Zerknęła przez lśniące listowie jednej z młodych magnolii. Najpierw zauważyła rząd koni przywiązanych do liny, rozciągniętej między sosnami. Stały pyskami do niej. Przesunęła wzrok w prawo i drgnęła. Wprawdzie spodziewała się zobaczyć bandytów, ale ich widok i tak ją zaskoczył.

Mężczyzn było czterech. Dwaj siedzieli przy ognisku z cynowymi talerzami w dłoniach. Jeden z nich, chudy, z brudnymi, żółtymi włosami, właśnie odstawiał na ziemię metalowy kubek, z którego upił łyk jakiegoś płynu. Drugi, Murzyn, jadł widelcem fasolę.

Z dwóch pozostałych mężczyzn jeden, z twarzą o miedzianej karnacji i prostymi, tłustymi, długimi czarnymi włosami, dowodzącymi niewątpliwie jego indiańskiego rodowodu, czyścił pistolet. Wszyscy trzej pasowali do opisu pani Blevins.

Czwarty mężczyzna stał do niej tyłem, więc jego twarzy nie widziała. Schylił się właśnie do juków, przerzuconych przez zdjęte z konia siodło. Miał na sobie wystrzępiony szary mundur, a gdy po chwili wyprostował się i podszedł do ogniska, Maggie, bynajmniej nie zaskoczona, poznała w nim Zeke'a Barbee.

Zobaczyła, że Zeke wsadza sobie do ust prymkę tytoniu i zaczyna ją żuć. No i

co pan na to, Garricku? - pomyślała. Nie wierzył mi pan, kiedy mówiłam o swoich podejrzeniach, a teraz mogę ich dowieść. Nie miała jednak uczucia triumfu z tego powodu, przeciwnie, ogarnął ją niesmak.

Pani Blevins powiedziała, że na jej farmę napadło pięciu mężczyzn... gdzie więc się podział piąty? Czyżby odszedł z bandy? A może zginął podczas kolejnego napadu, dokonanego gdzieś dalej od Gillespie Springs?

Nagle go zobaczyła. Stał między dwoma końmi i szczotkował zgrzebłem jednego z nich. „Wysoki, miał ciemne włosy i oczy” - mówiła pani Blevins. Mężczyzna stał zbyt daleko od Maggie, by mogła dostrzec kolor jego oczu, lecz mimo to wydał jej się znajomy... ten wąsik, ruchy...

Mężczyzna wyglądał jak Richard Burke.

Natychmiast jednak odrzuciła tę myśl. Przecież Richard Burke pojechał do Waszyngtonu. Nie mógł być jednocześnie tam i w Teksasie. Poza tym ten człowiek był w zwyczajnym ubraniu. Miał drelichowe spodnie i pasiastą koszulę, nie niebieski mundur. Richardowi za bardzo zależało na karierze w wojsku, żeby miał z niego wystąpić i w dodatku przyłączyć się do bandytów.

Na świecie było mnóstwo ciemnowłosych mężczyzn podobnych do tego, który ją uwiódł. To po prostu taki typ urody.

Skoro już zobaczyła wszystkich pięciu, powinna cichcem oddalić się od obozowiska i opowiedzieć o wszystkim Devlinom. Zastanawiała się, jak Garrick przyjmie informację, że jego kompan bez wątpienia jest jednym z morderców.

Właśnie miała rozpocząć odwrót, gdy Zeke spojrzął na żółtowłosego i powiedział:

- Uważasz, że powinniśmy zrobić to ranczo nad Thompson Creek, tam, gdzie mają tyle dobrych koni?

- Pewnie, że tak. Pomyśl tylko, ile dostalibyśmy za nie w Nowym Orleanie. Nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy dziś załatwić tego rancza.

- Bo powiedziałem, że nie, i koniec. Mam ochotę trochę odpocząć po tej

zabawie, którą mieliśmy wczoraj. Poza tym mają tu przyjechać dziwki z miasta i postarać się, żebyśmy byli zadowoleni.- Wy, biali, myślicie tym, co macie między nogami - stwierdził z pogardą Metys. - Mówię wam, bierzmy te konie i nie zatrzymujmy się, póki nie znajdziemy się w Meksyku. Kobiety możemy mieć, kiedy zechcemy.

- E tam, w Meksyku nie dostanie się dużo pieniędzy za konie - sprzeciwił się Murzyn.

Dobrze, pomyślała Maggie. Dyskutujcie dalej, gdzie sprzedać konie. Zanim napadniecie na ranczo, wszyscy będziecie w kajdankach.

Wiedziała, że powinna już iść, lecz mimo to wciąż obserwowała obozowisko i wpatrywała się w człowieka, który szcztokował konia. Chciała, żeby się odezwał, chciała usłyszeć jego głos. On jednak nadal w milczeniu zajmował się koniem.

To przesądziło sprawę. Ten człowiek nie może być Richardem, uznała Maggie, bo Richard nie milczałby, gdy inni dyskutują. Miał zwyczaj przewodzenia wszystkim i z pewnością zabrałby głos na temat planowanego napadu.

Bała się podglądać bandytów dłużej, zaczęła się więc wycofywać, wciąż na czworakach, nie spuszczać oczu z wypoczywających mężczyzn.

Miała już dostateczną zasłonę* by unieść się i dalszą drogę pokonywać w mocno pochylonej pozycji, lecz na dwóch nogach. Zaczęła dźwigać się z ziemi, gdy nagle coś zimnego i śliskiego przesunęło się jej po dłoni.

Wąż znikł w trawie, a ona stłumiła krzyk, jednak nie dość szybko.

Metys poderwał głowę.

- Co to było? Coś słyszałem.

- Co?- Taki dziwny odgłos... o, tam.

W tej samej chwili jeden z uwiązanych koni parsknął, a chwilę później Maggie usłyszała ciche rzenie Downy'ego jakieś sto metrów dalej.

- Ktoś tu jest!

Maggie zerwała się na równe nogi i pognała przed siebie, zanim jeszcze

usłyszała krzyk. Przebiegła może piętnaście metrów, gdy huknął strzał i kula odłupała korę z pnia dębu, koło którego pędziła.

Odruchowo zmieniła kierunek biegu, żeby znaleźć się jak najdalej od okaleczonego drzewa.

- Cholera! Spudłowałeś! - wrzasnął ktoś za jej plecami.

Rozległ się tupot. Maggie przyspieszyła kroku, ale musiała biec zygzakami, bo ścigały ją strzały. Widziała już swojego wąża, który w popłochu szarpał wodze. Boże, nawet gdyby dobiegła do konia, to jak miała go odwiązać i dosiąść, zanim dopadnie ją pościg?

- Nie pozwól mu uciec! - zabrzmiał inny głos.

- Zamknij się. On nie...

Maggie poczuła, że jej kapelusz zaczepił się o gałąź drzewa. Szarpnęła się i przekłute nakrycie głowy zostało na gałęzi, a starannie upięty warkocz opadł jej na plecy.

- Do pioruna, to kobieta!

- I tak nie możemy jej stąd wypuścić!

Była już tak blisko wąża, że widziała białka jego oczu, gdy wspiął się na tylne kopyta.

- Spokojnie, Downy, spokojnie - powiedziała, modląc się, żeby nie uciekł jej podczas odwiązywania i żeby zdążyła go dosiąść, zanim trafi ją kula.

Rozległ się następny strzał. Maggie rzuciła się na ziemię, pewna, że tym razem bandyci nie chybią. Ale to nie ona była celem. Downy, którego kula trafiła w grzbiet, zerwał stare wodze trzymające go przy drzewie i pogalopował z powrotem ścieżką, którą wcześniej przyjechali.

Maggie zerwała się i popędziła wzdłuż strumienia, chociaż doskonale wiedziała, że bez konia nie ma żadnych szans ucieczki. Prędzej czy później bandyci musieli ją doścignąć.

Nie pozostawało jej jednak nic innego jak biec. Musiała przynajmniej

próbować. Nie mogła pozwolić, żeby złapano ją i zaciągnięto do obozu...

Ale tupot za jej plecami, teraz już przynajmniej dwóch par nóg, coraz bardziej się zbliżał, a jej zaczynało brakować sił. W płucach miała ogień, ból rozsadzał jej żebra... Czyżby bandyta ją trafił? Ale nie, nie słyszała następnego strzału, po prostu musiała ją złapać kolka...

Przed nią ukazały się trzy głowy. Wskoczyła do płytkiego strumienia i biegnąc w bród na drugi brzeg, zaryzykowała spojrzenie przez ramię. Mężczyzna z żółtymi włosami wyprzedził w pościgu Metysa i miał do niej jeszcze tylko kilka kroków. Wyciągnął przed siebie ramię, żeby chwycić ją za powiewający warkocz...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W głębi lasu rozległ się strzał.

- Dalej, Toby! - krzyknął Garrick i chlasnął wałacha po zadzie. Czyżby ten strzał oznaczał, że już jest za późno?

W oddali usłyszał krzyki, odgłosy przedzierania się przez las, następne strzały, a w końcu również rozzwierające rzenie konia. Zmusił Toby'ego do jeszcze większego wysiłku. Doleciał go tętent kopyt konia zbliżającego się z przeciwka.

Na ścieżkę przed nim wypadł spłoszony deresz bez jeźdźca. Przemknął obok jak strzała, Garrick zdążył jednak zauważyć czerwoną smugę na jego boku. Wielki Boże, czy to Maggie jechała na tym koniu? Czy strzał wysadził ją z siodła? Jeśli tylko Maggie spadł choćby jeden włos z głowy, jego zemsta będzie straszna.

I nagle ją zobaczył. Biegła przez strumień, a tuż za nią dwaj mężczyźni! Jeden z nich, biały, już ją prawie miał...

Garrick przyłożył do ramienia starego winchestera, wstrzymał oddech i strzelił. Huk był ogłuszający. Mężczyzna z żółtymi włosami osunął się na ziemię,

trzymając się za kolano, a ciemnowłosy Metys, który biegł za nim, w jednej chwili zawrócił i pognął w drugą stronę.

Ale Garrick widział tylko Maggie, rozpaczliwie biegnącą ku niemu z pobladłą twarzą i oczami oszalałymi ze strachu.- Maggie! Tutaj! Wskocz na konia!

Zobaczyła go i nieznacznie skręciła. Wystarczyło jej kilka sekund, by dopaść Toby'ego. Garrick strzelił jeszcze kilka razy w zarośla na wypadek, gdyby drugi napastnik był uzbrojony i postanowił zaatakować ich zza zasłony. Wprawdzie nikogo nie widział, nie znaczyło to jednak, że istotnie nikogo tam nie ma. Mężczyzna postrzelony w kolano nie przedstawiał już sobą zagrożenia, bo leżał na ziemi, zwijając się z bólu, i jęczał. Garricka bardzo kusiło, żeby posłać mu drugą kulę, z pewnością zasłużoną, ale przede wszystkim musiał myśleć o Maggie.

Wsunął strzelbę do futerału przy siodle, wyjął lewą nogę ze strzemienia i zawrócił konia, tak by jego lewy bok znalazł się przed Maggie.

- Prr, Toby. - Zwrócił się do Maggie: - Tutaj, złap mnie za rękę! - Nie zwracając uwagi na protesty swojego kikuta, na którym oparł cały ciężar ciała, wciągnął Maggie na koński grzbiet, gdy tylko postawiła stopę w wolnym strzemieniu.

Kiedy mocno objęła go w pasie, zwolniła strzemień i Garrick mógł z powrotem wsunąć tam lewą stopę.

- Trzymaj się! - krzyknął, czując jej twarz tulącą mu się do pleców. Wyciągnął z pochwy pistolet, odwiódł kurek i przygotował go do strzału na wypadek, gdyby chciano ich ścigać. Potem ścisnął boki wałacha. - Naprzód, Toby!

Przez całą drogę spodziewał się usłyszeć za plecami tętent kopyt i świst kul, jednak nic takiego się nie stało. Mimo to kilka razy podczas tej szaleńczej jazdy oglądał się za siebie. Nikt ich nie gonił, ale Garrick zwolnił dopiero wtedy, gdy znaleźli się przed domem Cala i Livy na obrzeżach Gillespie Springs. Nie wjechał jednak na podwórze, tylko skręcił w wysadzaną drzewami parkową aleję.

Dzięki Bogu, w szkole musiały jeszcze trwać lekcje, bo park jest pusty, pomyślał. Czuł, że Maggie siedzi za nim sztywno wyprostowana, nie odezwała się

jednak, dopóki nie zatrzymał Toby'ego w cieniu nieco oddalonej od drogi kępy mirtów.

- Czy nie powinniśmy jechać do biura szeryfa i powiedzieć Calowi o bandytach, Garricku? Musi się dowiedzieć, gdzie mają obozowisko, żeby mógł ich złapać, zanim uciekną.

- Ach, więc to oni cię gonili. Tak przypuszczałem. Zsiadaj - polecił i wysunął nogę ze strzemienia, żeby umożliwić jej zejście na ziemię. - Musimy porozmawiać.

- Ale... oni uciekną... - sprzeciwiła się, choć posłusznie stanęła na ziemi.

- Założę się, że dawno już ich tam nie ma - powiedział posepnie i również zsiadł z konia. - Nawet gdyby Cal zorganizował pościg w pięć minut, i tak mógłby szukać wiatru w polu.

Jeszcze nie doszedł do siebie. Wściekle bolała go sforsowana noga, a serce dalekie było od odzyskania równego rytmu, tak bardzo bał się wcześniej, że znajdzie Maggie martwą lub, co gorsza, będzie świadkiem jej śmierci. Przez długą chwilę po prostu stał i patrzył na nią wrogo.

- Garricku, skąd, wiedziałeś, gdzie mnie szukać? - spytała w końcu Maggie i roześmiała się niepewnie. - Napisałeś mi, że jedziesz poćwiczyć strzelanie, ale prawdę mówiąc, nie mogłeś się zjawić w bardziej odpowiedniej chwili...

- Przeczytałem wskazówki, które zostawiłaś w swoim pokoju.- Przecież wcale ich nie zostawiłam - odparła zaskoczona, wyciągając pomiętą kartkę z kieszeni.

- Nie, ale coś mi powiedziało, że chcesz narobić sobie kłopotów, więc zacząłem cię szukać. Poszedłem do twojego pokoju i zauważyłem wgniecione ślady ołówka na kartce. Kiedy natarłem kartkę szmatką zwilżoną atramentem, wszystko dokładnie przeczytałem.

- Coś takiego! Jaki jesteś sprytny! Cieszę się...

- Panno Harper, czy wszystkie jankeskie kobiety są pozbawione instynktu samozachowawczego? - Nagle poczuł, że musi wykrzyczeć cały swój lęk. - Co cię skłoniło do takiej karygodnej lekkomyślności, żeby szpiegować bandytów? Czy

naprawdę nie masz więcej rozumu, niż Bóg dał osłu?

Zobaczył, że Maggie otwiera usta, a do oczu napływają jej łzy. Chciał jej wytłumaczyć, że krzyczy, bo tak bardzo się o nią bał, ale nie zdążył.

- Nikt lepiej ode mnie nie wie, jak głupio postąpiłam - powiedziała zduszonym głosem, a na jej policzki wystąpiły jaskrawe rumieńce. - Ale powinieneś pierwszy się dowiedzieć, że w obozowisku widziałam wśród bandytów Zeke'a Barbee. I wciąż nosił ten przeklęty wystrzępiony mundur.

Garrick zamknął oczy. Czyż w głębi duszy nie przeczuwał, że Maggie ma rację co do Zeke'a?

- Musisz też wiedzieć, że poprzedniego wieczoru, kiedy poszedłeś na zebranie, Zeke zaskoczył mnie wieczorem w redakcji - ciągnęła, a w jej zasnutych łzami oczach pojawił się wyraz gorzkiej satysfakcji. - Miał paskudne zamiary i nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby nie Eureka...

Garricka coś ścisnęło za gardło.- Do kroćset, kobieto! Powinnaś była mi o tym powiedzieć zaraz z samego rana! Mniejsza o to, już wiem: Barbee jest bandytą, myliłem się co do niego. Ale nie próbuj zmieniać tematu! Czy nie pomyślałaś o tym, co czułem, gdy niepotrzebnie narażałaś się na takie niebezpieczeństwo? A jeśli już nie myślałaś o mnie, to trzeba było pomyśleć o moim synu. Jak sądzisz, co by czuł, gdyby coś ci się stało? - Ciskał w nią tymi pytaniami, jakby to były noże.

Maggie wstała, jej oczy lśniły.

- Co się stało? - spytał nieufnie, zdziwiony nagłą odmianą, jaka w niej zaszła.

Odpowiedziała mu promiennym uśmiechem.

- Garricku - powiedziała rozmarzonym tonem i zbliżyła się do niego o krok - czy wiesz, co wyznałeś mi przed chwilą?

Nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

- Wyznałem? Co ty gadasz, Maggie?

- Nie powiedziałaś tego wprost, więc muszę ci pomóc. To wbrew twoim przekonaniom, wbrew temu, co twoim zdaniem powinno być, ale... chyba zależy ci

na mnie.

- Zależy mi? To podobne do takiej głupiej Jankeski, żeby kręcić, gdy mowa o uczuciach - odburknął. - Nie zależy mi na tobie. Ja cię kocham. Kocham cię, ty głupia Jankesko! I wcale nie oczekuję, że odwzajemnisz moją miłość. Nawet nie chcę, żebyś ją odwzajemniła - oświadczył, po czym sam sobie zaprzeczył: - Jeśli nie dbasz o siebie, to czy w przyszłości nie mogłabyś mieć trochę względów dla mnie i nie ryzykować bez potrzeby?

Jej oczy lśniły, gdy zarzucała mu ręce na szyję.

- Może tego nie chcesz, ale ja też cię kocham - wyszeptała, zatrzymując wargi o centymetry od jego ust. - I nie będę słuchać więcej kazań o tym, jak to nie powinnam marnować życia, wiążąc się z kaleką, słyszysz? - Objęła go mocniej i pocałowała w usta.

Całowali się i pieścili do utraty tchu.

- Maggie... - wymamrotał w końcu Garrick, chociaż nie miał pojęcia, co dalej. Pragnął jej, chciał ją mieć teraz, natychmiast i na zawsze. Nie mógł jednak zapomnieć o tym, że jest okaleczony i że może wzbudzić w niej odrazę.

Gwizd chłopca, który przywoływał psa gdzieś za mirtami, rozwiął czar.

Garrick z żalem opuścił ramiona i powiedział:

- Chyba skończyły się lekcje. Za parę minut w parku będzie pełno dzieci... Nie wiedziałem, że zrobiło się tak późno.

- Musisz wracać do domu - powiedziała za niego. Skinął głową, ale nadal wpatrywał się w jej twarz.

- Nie skończyliśmy tej rozmowy, Maggie. Kiedy...?

- Może spotkamy się... dziś wieczorem? Pójdziemy na spacer albo wymyślimy coś innego.

Spojrzał na nią z uwagą.

- Jowita będzie w domu, więc Johnny ma opiekę... Dobrze, przyjdę do redakcji, kiedy mały zaśnie.

Potem poszli do Cala. Ten szybko zebrał kilku ludzi i z Garrickiem, który miał posłużyć za przewodnika, pojechali w stronę obozowiska bandytów. Zgodnie z przewidywaniami Garricka wrócili jednak z pustymi rękami w porze kolacji.

Cal i Garrick zatrzymali się przed redakcją, a Maggie, która na próżno usiłowała skupić się na artykule o swoich przeżyciach, wybiegła im na powitanie. Garrick powiedział, że bandyci dosłownie rozplynęli się w powietrzu. Zostawili tylko kilka butelek po whisky i parę rozżarzonych węgli. Ślady rozchodziły się w różnych kierunkach mniej więcej kilometr za obozowiskiem,

- Ale przecież... przecież Garrick jednego zranił - powiedziała Maggie do Cala. - Zdaje mi się, że w kolano.

- Może wobec tego nie ucieknie za daleko. Pewnie zaszyje się w jakiejś kryjówce i będzie szukał pomocy lekarza - odparł Cal. - Zanim pójde do domu, poproszę Hanka Sweeneya, żeby rozesłał telegramy do okolicznych miast, niech uważają na tych drani. I niech poszukają ранego człowieka. Może będzie próbował odwiedzić lekarza w okolicy, a jeśli go złapiemy, to na pewno uda nam się go namówić, żeby zaprowadził nas do pozostałych.

- Jeśli wie, dokąd uciekli - dodał Garrick z powątpiewaniem.

Cal wzruszył ramionami.

- Nie mamy wyjścia, musimy poczekać. Tymczasem proszę mi obiecać, panno Maggie, że więcej nie będzie pani tak głupio ryzykować - powiedział i spojrzał na nią surowo.

To Garrick go do tego namówił, pomyślała Maggie i przeniosła wzrok na starszego z braci Devlinów. O dziwo, nawet się nie rozzłościła. Wszak zdobyła jeszcze jeden dowód na to, że Garrickowi na niej zależy.

- Obiecuję.

- Sądzę też, że byłoby lepiej, gdyby tymczasem przeprowadziła się pani do nas - dodał Cal. - Garrick powiedział mi, że ten skunks Barbee niepokoił panią wczoraj wieczorem. Mamy z Livy wolny pokój, a ona na pewno bardzo by się ucieszyła z

pani towarzystwa. Ujęła ją życzliwość szeryfa, lecz jednocześnie pomyślała, że gdyby przeniosła się do Cala i Livy, nie mogliby wieczorem iść z Garrickiem na spacer, a kto wie, jak długo potem Garrick...

- Nie, nie, dziękuję panu, Cal, ale nie mogę. Nie chciałabym... Nie chciałabym burzyć waszego domowego spokoju.

- Po tym, co zaszło, nie może pani bezpiecznie nocować w budynku „Gazette”, panno Maggie.

Garrick wbił wzrok w ziemię.

- Może rzeczywiście powinna pani tak zrobić, Maggie. Nie chciałbym, żeby coś się pani stało.

- Nawet Barbee nie jest na tyle bezczelny, żeby wrócić do Gillespie Springs po tym, jak się wydało, że należy do bandy - powiedziała z nadzieją, że zniechęci go do pomysłu Cala. Potem znowu zwróciła się do szeryfa: - Będę bardzo uważać, żeby redakcja była zamknięta i od frontu, i od tyłu, a poza tym mam solidny zamek w drzwiach pokoju. Jestem panu szczerze wdzięczna za życzliwość, Cal, ale za bardzo przyzwyczyłam się do tego, że wieczorem piszę artykuły i składam teksty, jeśli akurat mam taki kaprys.

- Panno Maggie... - zaczął Cal.

- Powiedziałem ci, że się nie zgodzi - mruknął Garrick. - Przekłete uparte Jankeski. Trudno, wobec tego - zwrócił się do Maggie, podając jej pistolet - obiecaj mi, że będziesz to nosić ze sobą przez cały czas, gdy w redakcji nie ma nikogo oprócz ciebie. Nawet wtedy, gdy wychodzisz do hotelu na kolację.

- Zgoda - poddała się Maggie, bardzo zadowolona, że ani jeden, ani drugi z braci nie obstaje przy pomysle Cala. - A teraz sio, panowie! Idźcie do domów na kolację. Garricku, do...

- Słucham?

Splonęła rumieńcem, bo Cal wciąż był z nimi, a ona nieroztropnie chciała powiedzieć „do zobaczenia później”.

- Ach, nic takiego - odparła niefrasobliwie, odwróciła się i schroniła w redakcji, bo jej policzki zalał ciemny rumieniec.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Następne godziny wydawały się Maggie wiecznością. Długo siedziała nad kolacją w hotelu, machinalnie coś przeżuując, aż wreszcie kucharka wyrwała ją z zadumy, pytając, co takiego jest w gulaszu, że Maggie śni na jawie.

- Nic takiego, Bessie - odparła natychmiast. - Zamyśliłam się nad historią, którą opisuję.

- Ha - powiedziała Murzynka, wspierając się pod biodra - żadna panna nie wygląda w ten sposób z powodu jakiejś pisaniny.

Czyżby wszystko było po mnie widać? - zdziwiła się w duchu Maggie. Podziękowała Bessie za kolację, podpisała kartę, dzięki której mogła płacić za posiłki raz w miesiącu, i wyszła. W torebce ciążył jej pistolet.

Nie wróciła jednak prosto do swojego pokoiku nad redakcją. Najpierw skierowała kroki do łaźni.

Najczęściej zadowalała się obmyciem ciała gąbką, a wodę przynosiła sobie w wiadrze z pompy w centrum miasteczka, jednak tego wieczoru postanowiła wziąć prawdziwą kąpiel w ciepłej, pachnącej wodzie.

Powiedziała zaskoczonemu łaźnielnemu, że chce wziąć kąpiel w jedynej kabinie łaźni.

- Dobrze, ale to...- Wiem, wiem, kosztuje dodatkowe dwadzieścia pięć centów.

Łaźnia była w tej chwili pusta, Maggie nie zamierzała jednak kąpać się we wspólnej sali, w której w sobotni wieczór z rzędu wanien mogło korzystać kilku

cowbojów naraz. Podczas gdy łaźiebny wiadrami wnosił do kabiny wodę z podgrzewanego kotła, znajdującego się przed wejściem, zatkała chusteczką do nosa dziurę po sęku w drzwiach. Jedyнным mężczyzną, który mógł oglądać jej ciało, był Garrick Devlin.

- Czy coś jeszcze, proszę pani? - spytał łaźiebny, położywszy na stojaku przy wannie dwa ręczniki i kostkę mydła. Na widok dziury zatkanej chusteczką zmarszczył czoło, ale Maggie wiedziała, że nie odważy się wspomnieć na ten temat ani słowem, a tym bardziej tknąć chusteczki.

- Nie, dziękuję - odparła, poszła za łaźiebny do drzwi i dokładnie je za nim zamknęła. Potem wlała do wanny flakonik olejku różanego, który przyniosła w torebce, i wyjęła kostkę różanego mydła. Zwykle tego wieczoru jej nie zadowalało!

Wdychając kwietny aromat, zanurzyła się po szyję w wodzie. Przynajmniej raz jej dłonie nie będą śmierdzieć terpentyną, a zza paznokci znikną ślady farby.

Tłumaczyła sobie, że Garrick przyjdzie tylko dokończyć popołudniową rozmowę. Może nawet zrobią to na opustoszałych ulicach Gillespie Springs. A może Garrick będzie zmęczony po forsownej jeździe konno i będzie wolał posiedzieć za swoim biurkiem.

Ale jakkolwiek miała się skończyć ta rozmowa, Maggie wiedziała, że nic między nimi nie pozostanie już takie, jak było dawniej. Boże, czy naprawdę słusznie zdecydowała, że Garrickowi można zaufać? Znała już różnicę między takim mężczyzną jak Richard Burke, który tylko wydaje się godny szacunku, a takim jak Garrick, który rzeczywiście zasługuje na szacunek. Garrick powiedział też, że ją kocha. Ma jednak za sobą złe doświadczenia. Czy nie należało przypuszczać, że jego miłość może nie przetrwać, jeśli Maggie mu wyzna, że w swej naiwności oddała się wcześniej innemu mężczyźnie?

Nie, on nie może się o tym dowiedzieć, uznała. Ale już za chwilę doszła do wniosku, że powinna mu wszystko powiedzieć. Nie możesz być mniej honorowa niż Garrick. Postąpiłabyś nieuczciwie, tłumaczyła sobie.

Czy jednak takie wyznanie nie będzie dla niego po prostu niepotrzebnym ciężarem? Może wcale nie musi o tym wiedzieć? Richard Burke wrócił do Waszyngtonu i swojej żony. A ona, Margaret Harper, popełniła omyłkę, ale to nie powinno zaszkodzić jej szczęściu z Garrickiem. Może nawet Garrick nie oczekuje od niej dziewictwa. Może uprzedzenia, jakie żywi wobec pracujących Jankesek, każą mu przypuszczać, że zatrudnił kobietę mającą już za sobą pewne doświadczenie.

Niezdecydowana, jak postąpić, westchnęła i oparła plecy o ścianę wanny.

Czuła obawę przed tym, co - jak miała nadzieję- powinno zająć między nią a Garrickiem. Przemknęło jej przez głowę, że, o dziwo, za coś może jednak być wdzięczna Richardowi.

Wprawdzie Burke miał nie więcej honoru niż zwykły skunks, ale pomógł jej przezwyciężyć niewiedzę, a więc i lęk, na który były skazane wszystkie panny z tak zwanego dobrego domu. Maggie wiedziała już, co rozgrywa się w sypialni między mężczyzną a kobietą, nie obawiała się więc tej sytuacji z Garrickiem Devlinem.

Kapitanowi Burke zbywało na honorze, w sztuce miłosnej był jednak prawdziwym mistrzem. Pokazał jej, czego pragnie jej ciało, jak reaguje na różne pieszczoty i pocałunki.

Owszem, żałowała, że nie może ofiarować Garrickowi swojej niewinności. Powiedziała sobie jednak, że razem z Garrickiem będą odkrywać miłosne rozkosze tylko dla siebie. A kapitana Burke najprawdopodobniej miała już nigdy nie spotkać.

Wydawało jej się, że zażywała ciepłej kąpieli bardzo długo, ale gdy wyszła z łaźni, wciąż z mokrą głową, przekonała się, że ledwie minęła siódma. Powiedział jej to wielki zegar ustawiony w witrynie banku.

Dopiero zaczynało zmierzchać. Bez wątpienia nawet mały chłopiec, taki jak Johnny, nie chciał zasnąć, póki słońce stało nad horyzontem. To zaś znaczyło, że od spotkania z Garrickiem może ją dzielić jeszcze parę godzin. W zasadzie jednak było to po jej myśli. Dzięki temu miała mnóstwo czasu, żeby wysuszyć włosy i zdecydować, co włożyć w ten ważny wieczór.

Wszedłszy do budynku „Gazette”, nie traciła czasu na dole, lecz od razu poszła do swojego pokoju. Przy wejściu otarła się o koronkową koszulkę nocną i szlafroczek, które nietknięte wisiały na drzwiach od dnia jej przyjazdu do Gillespie Springs.

Zwykle spała w koszuli nocnej z bawełny. Śliczną francuską koronkową koszulkę kupiła kiedyś dla kaprysu jako część wyprawy ślubnej, gdy jeszcze sądziła, że wkrótce zostanie panią kapitanowa Burke. Nie bardzo nawet rozumiała, po co przywiozła ją tu z Austin.

Miała tylko jedną suknię, w której Garrick jeszcze jej nie widział, jedwabną, zdobioną wzorem w listki. Dzieliła ona los francuskiej koszulki nocnej: wisiała na wieszaku i czekała na swój dzień. Maggie zaczęła się upajać dotykiem gładkiego, śliskiego materiału, gdy układała fałdy sukni na biodrach. Ho, ho, wiele czasu minęło, odkąd ostatnio miała na sobie coś, w czym czuła się naprawdę kobieco. Wierzyła, że Garrick doceni tę suknię.

Przysunęła krzesło do okna, z którego widziała ulicę, i korzystając z łagodnych podmuchów wiatru, zaczęła dosuszać swoje kręcone włosy, póki nie okryły jej szyi i ramion jak ciemnoruda chmura.

- Jowito, mam jeszcze... mam jeszcze coś do załatwienia w redakcji - powiedział Garrick, mijając Meksykankę, która siedziała w kuchni przy lampie naftowej i robiła na drutach. - Wrócę raczej późno. - Równie dobrze mógłby powiedzieć jej prawdę, że idzie na spotkanie z Maggie i wróci... kto wie, kiedy? Bał się jednak odpowiedzieć na to pytanie nawet w myślach.

- *Si*, senior Devlin - odrzekła grzecznie Jowita, ale popatrzyła na niego tak, jakby wiedziała, że Garrick nie mówi jej całej prawdy. Wcześniej poprosił ją o nalanie gorącej wody do niewielkiej wanny, ogolił się drugi raz w ciągu dnia i zmienił koszulkę, choć nie było ku temu wyraźnego powodu. Bystra gospodyni niewątpliwie wiedziała więc, co jej chlebodawca zamierzał załatwić w gazecie. Co więcej, gorąco popierała ten pomysł! Nic nie ujdzie uwagi Jowity, pomyślał z

rozbawieniem. Pewnie wybrała już nawet dla niego i Maggie datę ślubu i miała gotowe imiona dla ich przyszłych dzieci.

Tak czy owak, gdy zmierzał ciemnym zaułkiem do tylnego wejścia redakcji „Gazette”, serce biło mu mocno.

Na dole było ciemno, chociaż Garrick spodziewał się spotkać Maggie na progu, gotową do spaceru lub rozmowy w pomieszczeniu, w którym codziennie pracowali. Czyżby tymczasem lepiej zastanowiła się nad tym, czym jest zbliżenie z mężczyzną, którego prawa noga kończy się powyżej kolana? Czyżby zmieniła zdanie? Skrzyp desek zdradził mu, że Maggie jest w pokoiku na górze. Może pakuje rzeczy?

Nie, powiedział sobie stanowczo. Maggie nie postąpiłaby w ten sposób. Przecież to ona sama stanowczo mu powiedziała, że robi ze swojej drewnianej nogi zbyt duży problem. Ta myśl dodała Garrickowi śmiałości, zaczął więc wspinać się na schody. Stał przed drzwiami i uniósł rękę.

Zanim zdążył zapukać, drzwi się otworzyły.

- Och... właśnie miałam zejść na dół! Chyba straciłam poczucie czasu, ubierając się i susząc włosy... Poza tym nie wiedziałam, o której można się ciebie spodziewać.

Wyglądała tak uroczo, że na chwilę odebrało mu dech. To już nie była praktyczna Jankeska w ciemnej, roboczej sukni, osóbką z włosami zebranymi na karku i palcami wciąż umazanymi farbą drukarską i pachnącymi terpentyną. Teraz stała przed nim piękność pachnąca różami. Maggie miała na sobie zieloną suknię, a rude, poskręcane włosy opadały jej na ramiona.

- Nie powinnaś tak szybko otwierać drzwi - powiedział, szukając dla siebie ratunku w surowym tonie. - A gdybym to nie był ja? Należało poczekać, aż zapukam i się odezwę. Kąciki jej warg, tych warg, o całowaniu których marzył przez całe popołudnie, uniosły się lekko. To był bardzo kobiecy uśmiech.

- Znam twój chód, Garricku - odparła ze skrzyżnymi się zielonymi oczami.

- Przyszedłbym wcześniej, ale mali chłopcy nigdy nie chcą zasnąć wtedy, kiedy życzą sobie tego ich tatusiowie. Musiałem mu dzisiaj opowiedzieć dwie historie zamiast jednej.

- Rozumiem...

Nigdy nie widział jej z rozpuszczonymi włosami. Nie mógł oderwać od nich wzroku. Miał ochotę wtulić twarz w te włosy, oplatać się nimi tak, by już nigdy nie odzyskać wolności.

- Masz piękne włosy - powiedział schrypniętym głosem. - Czy mogę...? - Musiał ich dotknąć, musiał przekonać się, czy go nie poparzą.

Uśmiechnęła się przyzwalająco.

- Maggie - westchnął i ukrył palce w gęstwinie jedwabistych, rudych loków, pochylając jednocześnie głowę.

Pocałowała go namiętnie, dowodząc tym, że jej spokój jest tylko pozorny. Garrick poczuł, jak od tego pocałunku krew burzy mu się w żyłach. Objął i przytulił Maggie, która drząc, czekała na następną pieszczotę. Serce biło jej jak szalone.

Garrick pomyślał, że powinien najpierw uciszyć jej lęk. I swój własny. Cofnął usta, dotknął czołem jej czoła, a potem uniósł głowę, spojrzał jej w oczy i powiedział:- Maggie, wiem, że umawialiśmy się na spacer. I wiem, że nie powinienem się tak spieszyć. Ale nie mogę dłużej czekać. Muszę to wiedzieć... Czy mnie poślubisz? Chcę, żebyś została moją żoną, dzieliła ze mną łóżko i całe życie. Oczywiście zrozumieć, jeśli... jeśli nie tego oczekujesz, i zapewniam, że nie masz powodu do obaw... Nawet jeśli odpowiesz „nie”, zachowasz pracę...

- Zamknij się, Garricku! - krzyknęła i przytknęła mu palec do warg.

- Słucham? - zapytał zaskoczony.

- Powiedziałam, żebyś się zamknął. Przed chwilą mi się oświadczyłeś, ale od tej pory nie zamilkłeś nawet na sekundę, żebyś mogła powiedzieć „tak”.

- Tak? - powtórzył, nie wierząc własnym uszom. - Po prostu „tak” i już?

- Po prostu! Dzisiaj po południu wyznałeś mi, że mnie kochasz. Ja

powiedziałam, że kocham ciebie. A teraz zaproponowałeś mi małżeństwo. Nie zamierzam udawać, że trzeba mnie przekonywać albo że niepokoję się o swoją pracę...

Z gardła Garricka dobył się okrzyk triumfu, ten sam okrzyk secesjonisty, którego nie wydawał od czasu ostatniej szarży na Jankesów. Zaraz jednak zreflektował się i objąwszy swoją Jankeskę, poderwał ją z podłogi, by zawirować z nią na podeście.

- Pobierzemy się, Maggie! Może jutro? - wyszeptał, gdy odstawił ją na ziemię i ujął w dłonie jej twarz w kształcie serca.

Odpowiedziała mu radosnym śmiechem.

- Garricku, czyżbyś zapomniał? Jutro jest festyn. Wielebny będzie za bardzo zajęty ocenianiem ciast, żeby udzielać ślubów. Poza tym chciałabym dać mojemu ojcu trochę czasu na przyjazd z Austin. Zobaczysz, jak go polubisz, jestem tego pewna! Będziecie mogli bez końca rozmawiać o prowadzeniu gazety. A ja chciałabym mieć na ślub suknię...

Westchnął, ale przecież nie mógł zdobyć się na to, by odmówić jej czegoś, czego zawsze pragnęła kobiety. Poza tym sam również chętnie obejrzałby ją w sukni ślubnej.

- Dobrze, weźmiemy ślub ze wszystkimi ozdóbkami i fatalaszkami - obiecał, uśmiechając się szeroko - ale...

- Ale co? - spytała z nadzieją.

- Ale to nie znaczy, że teraz musimy sobie powiedzieć dobranoc. Chciałbym... no, przypieczętować umowę, którą zawarliśmy.

- Przypieczętować umowę? - powtórzyła. - Jak zawsze, wychodzi z ciebie przedsiębiorczy człowiek Południa, co?

- Odwracasz kota ogonem, Jankesko. - Zaśmiał się, stwierdziwszy, że został zaatakowany własną bronią.

- Przyznaję się. Teraz jednak nie mów już nic więcej, tylko mnie pocałuj.

Jeszcze raz westchnął i przyciągnął Maggie do siebie, zdecydowany zmusić ją pocałunkiem do zapomnienia o całym świecie. Udało mu się aż za dobrze. Nie mogli się od siebie oderwać. Całowali się i pieścili, a Garrick nie umiał sobie wyobrazić, jak ma czekać jeszcze tydzień albo i dwa, zanim pan Harper przyjedzie na ślub.

I wtedy usłyszał Maggie szepczącą mu do ucha:

- Garricku, najdroższy, chcę, żebyś się ze mną kochał. Znów pomyślał, że się przesłyszał.

- Maggie, czy jesteś tego pewna?

Po raz drugi obdarzyła go bardzo kobiecym uśmiechem.- Nigdy nie byłam niczego bardziej pewna, odkąd przyjechałam do Teksasu - odrzekła. - Jeśli wolisz, możemy poczekać z tym do ślubu, ale tak bardzo cię pragnę... Jeśli jestem zbyt śmiała, możesz udać, że tego nie słyszałeś.

Teraz na niego przysła kolej, by uciszyć ją przytknięciem palca do warg.

- Nie mam zamiaru niczego udawać! Zaczynam się przekonywać, że bardzo lubię, nie... kocham śmiałą, natrętą Jankeskę. W każdym razie tę na pewno. - Otworzył na oścież drzwi jej pokoju i wziął laskę. - Chodź, moja słodka Jankesko.

Lampa naftowa i świeca, stojące przy łóżku, wypełniały spartańsko urządzonej pokój ciepłym, migotliwym światłem. Od jednej ściany do drugiej można było przejść kilkoma niezbyt dużymi krokami. Garrick wiedział, że ten pokój jest ciasny, ale przedtem, gdy wyobrażał sobie, jak śpi w nim drukarz, nie wydawało mu się to problemem. I nie zastanawiał się już nad tym, odkąd ta Jankeska, jak od pierwszej chwili myślał o Maggie, swoim uporem zmusiła go, żeby pozwolił jej tam zamieszkać.

Teraz jednak bardzo się zawstydził, widząc, w jakich surowych warunkach kazał jej żyć. To się musiało zmienić już od jutra! Tymczasem jednak ciasny pokój miał stać się dla nich miejscem jakże pożądanego odosobnienia.

Zauważył, że Maggie ozdobiła pokój, żeby był bardziej przytulny. W glinianym dzbanku stały polne kwiaty, na łóżku leżała tęczowa narzuta, a na półce

stało kilka książek, które Maggie niewątpliwie przywiozła z domu. Wypatrzył na ścianie oprawioną w ramkę podobiznę i podszedł bliżej. Zobaczył starszego pana w okularach.- To mój ojciec - powiedziała, widząc jego zainteresowanie.

Rzeczywiście, dostrzegł pewne podobieństwo: ten sam wysunięty do przodu podbródek znamionujący upór, te same oczy, wyzywające i łagodne zarazem, te same duże usta.

Kocham pańską córkę, panie Harper, powiedział w myślach do fotograficznego wizerunku. Pańska córka zasługuje na kogoś znacznie lepszego niż ja, ale obiecuję, że nigdy jej nie skrzywdzę. I będę ją chronił, najlepiej jak potrafię.

Poczuł na sobie jej wzrok. Pewnie zastanawiała się, dlaczego tyle czasu zajmuje mu wpatrywanie się w portret jej ojca. Uświadomił sobie, że pragnie jej nie mniej, niż ją kocha, i to wzbudziło w nim lęk. Nie chciał jej zawieść.

- Garricku - szepnęła, a on usłyszał w jej tonie niepewność. - O czym myślisz?

Odwrócił się do niej, żeby nie doszła do wniosku, że to z jej winy się zawahał.

- O tym, jak bardzo cię kocham, najdroższa - odparł. - I o tym, jak bardzo chcę cię trzymać w objęciach... - Złościło go, że tak ją przynagła, ale na stojąco było mu bardzo trud* no poruszać się bez laski. Z nadzieją, że Maggie to zrozumie, dokuśtykał do łóżka i rozłożył ramiona.

Wyglądało na to, że Maggie istotnie zrozumiała, bo natychmiast do niego podeszła.

Boże, ona nie ma gorsetu, skonstatował. Zaczął ją pieścić, czując, że oszałamia go to nie mniej niż najlepsza whisky. Zdawało mu się w tej chwili, że ich pocałunki i pieszczoty są wszystkim, co najważniejsze na świecie. Chciał jej dotykać, czuć jej ramiona obejmujące go za szyję i palce rozgarniające mu włosy. Otworzyła usta, zanim sobie uprzytomnił, że właśnie tego pragnie. Ich pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne. Gdy pogłaskał Maggie po piersi, westchnęła, a jej sutka stwardniała od dotyku. Była tak blisko jego palców, dzieliło ją od nich zaledwie kilka

warstw materiału... Przez głowę przemknęło mu, że mógłby dotknąć obnażonego ciała Maggie, gdyby tylko znalazł guziki sukni. Ale musiałyby puścić tę ciepłą, pełną pierś, więc przez dłuższy czas nie mógł się na to zdobyć.

Był bardzo podniecony. Dłonie Maggie wędrowały po jego plecach i przyciągały go bliżej, coraz bliżej, a gdy ich biodra się zetknęły, zupełnie stracił zdolność racjonalnego myślenia. Długo nie był z kobietą... za długo.

- Garricku... - szepnęła i słodkie brzmienie jego własnego imienia w jej ustach przypomniało mu, że to nie markietanka, którą mógł samolubnie wziąć kilkoma mocnymi pchnięciami. To była Maggie. A on nie był już jurnym żołnierzykiem, korzystającym z usług obozowych dziwek. Poza tym chciał, żeby był to najpiękniejszy wieczór w życiu Maggie.

Nie był już jurnym żołnierzykiem także w sensie fizycznym. Pomyślał o tym ze złością, gdy poczuł ból w nodze, której od dawna nie miał.

Musiał szybko zmienić bieg myśli, cofnął więc dłonie od piersi Maggie i odnalazł guziczki ciągnące się rzędem na plecach jej sukni jak żołnierze maszerujący jeden za drugim. Maggie zamknęła oczy i z każdym rozpiętym guziczkiem przysuwała się do niego bliżej, a on odkrywał po kawałeczku jej ciało, a potem koronkową koszulkę. Gdy ostatni guziczek wyskoczył z pętelki, Garrick zdjął Maggie suknię przez głowę i mógł zachwycić się kształtem piersi, rysujących się pod cieniutką bawełną.

Potem miał kłopot ze znalezieniem zapięcia halki, ale nigdy nie szło mu dobrze wyszukiwanie maleńkich guziczków wśród fałd i koronek tej części damskiej bielizny, więc wcale się tym nie dziwił. Wreszcie Maggie zlitowała się nad nim i pokazała mu, gdzie je znaleźć. Gdy kremowa halka zatrzymała się jej na biodrach, Maggie płynnym ruchem pomogła jej opaść na ziemię i nogą odsunęła ją na bok.

- Teraz ty - zachęciła go, a on patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Miała na sobie już tylko koszulkę i reformy. Wyciągnęła ręce i zręcznie zaczęła rozpinać mu koszulkę. Szybko zsunęła mu ją z ramion.

- Maggie... - szepnął - muszę...

- Wiem - przerwała mu z płonącymi oczami. - Ja też. Weź mnie, Garricku.

Och, jak cieszyłby się, gdyby mógł spełnić od razu jej życzenie i nie rozmyślać już o swojej fizycznej ułomności.

- Kochanie, muszę najpierw... - zaczął. - Moja noga... Rozumiesz, że muszę, prawda...? - Nie potrafił zdobyć się na to, żeby po prostu powiedzieć, że musi zdjąć protezę. - Czy mogłabyś zgasić lampę?

W mroku o wiele gorzej ją widział, co bardzo go zasmuciło, musiał jednak przynajmniej w pewnym stopniu oszczędzić Maggie kontaktu z przykrą rzeczywistością.

Spełniła jego prośbę i w pokoiku zapadł mrok. Ostrożnie, nie patrząc na nią, rozpiął spodnie, zsunął je na ziemię i zaczął manipulować dłońmi przy paskach, którymi kikut był połączony ze swym drewnianym uzupełnieniem. Po chwili poczuł lekkie ugięcie materaca. To Maggie usiadła z drugiej strony łóżka.

Zatrzymał dłoń, siłującą się z paskiem. Poczul, że opuszcza go pewność siebie.

- Maggie - szepnął chrapliwie, zerkając na nią przez ramię. - Czy naprawdę tego chcesz? Czy to możliwe? Chcesz mnie? Możemy jeszcze o wszystkim zapomnieć, chyba wiesz. I tak będę cię kochał, ale...

- Cicho! - odszepnęła i delikatnie położyła mu palec na wargach. - Zrób, co musisz, żeby być już tylko dla mnie, kochanie. - Usłyszał szelest materaca i zobaczył kątem oka, jak Maggie opada na poduszki.

Szybko się odwrócił, mając przed oczami obraz jej włosów rozsypanych na poduszkach i lśniących oczu. Jeszcze przez chwilę mozolił się z rzemykami i w końcu się oswobodził. Ostrożnie wsunął drewnianą nogę pod łóżko, żeby była niewidoczna, lecz w zasięgu ręki. Potem zaczął rozwijać bandaż, które opatrywały kikut i chroniły go od skutków tarcia o drewniane gniazdo protezy.

Poczul wieczorny podmuch kojący otartą skórę i przez chwilę rozcierał obolały kikut, odwołując moment, kiedy będzie musiał się odwrócić i zobaczyć, że Maggie

mu się przygląda. Przygląda się jego nodze.

- Garricku... pragnę cię...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Maggie naturalnie doskonale wiedziała, że Garrick jest zdenerwowany, że po złych doświadczeniach ze swoją byłą żoną obawia się jej reakcji na swoje okaleczone ciało.

- Pragnę cię, Garricku - powtórzyła, wkładając w te słowa całe swoje serce. Z nadzieją, że nie zostanie uznana za bezwstydną wszetecznicę, zdjęła koszulkę, a potem uklękła przy Garricku i zaczęła mu rozpinąć podkoszulek. Przez cały czas całowała go po szyi i po policzku.

Czując nagie kobiece piersi ocierające się o plecy, Garrick jęknął i zamknąwszy oczy, pochylił się, żeby Maggie mogła zsunąć mu podkoszulek. Kiedy wreszcie uniósł powieki i odwrócił się, znieruchomiał. Dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że nawet światło pojedynczej świecy wystarcza, by było widać jego ciało. Wzrokiem zachęcił, a nawet zmusił Maggie, żeby na nie spojrzała.

Maggie popatrzyła na okaleczoną nogę, ale wcale nie odniosła wrażenia, by kikut kończący się tuż powyżej kolana był odrażający. Wyglądał dokładnie tak samo jak w dniu, gdy opatrywała go po powrocie Garricka z pościgu za bandytami. Jeśli Cecylia naprawdę kochała męża, to nie miała powodu postąpić tak, jak postąpiła, pomyślała.

- Kocham cię, Garricku - powiedziała. - Chcę być twoja, proszę...Jego oczy rozbłysły, choć oprócz triumfu było w nich widać także ulgę. Pociągnął Maggie i oboje opadli na materac. Wtuleni w siebie, złączyli się w gorącym pocałunku. Wreszcie Garrick uniósł głowę.

- Jedno z nas jest jeszcze za bardzo ubrane - powiedział i znacząco skubnął reformy Maggie.

Była tego samego zdania. Natychmiast rozwiązała tasiemki i reformy znalazły się na podłodze, dzieląc los reszty ubrań.

Garrick zaczął pieścić jej piersi. Wargami objął sutkę i zaczął wodzić po niej językiem, a potem wessał ją głębiej do ust. Maggie wyprężyła ciało. Czowała, jak od miejsca pieszczoty rozchodzą się podniecające dreszcze. Słyszała swój głos powtarzający jak litanie imię Garricka, ale miała wrażenie, że ten głos wcale nie należy do niej.

- Och, Maggie, jesteś moja - westchnął Garrick. - Tak mi z tobą dobrze... Czy chcesz, żeby i tobie było naprawdę dobrze?

Rozumiała, że pyta ją, czy może posunąć się dalej. Odpowiedziała mu namiętym pocałunkiem i zaraz potem poczuła dłoń rozchylającą jej uda. Pieszczota jego ręki wyzwoliła nową falę rozkoszy.

Wciąż leżeli przy sobie, chrapliwie oddychając. Maggie czuła dotyk męskości Garricka.

- Maggie, kochanie, to już tyle czasu... - wyszeptał. - Nie wiem, jak długo jeszcze mogę czekać... Nie chcę cię skrzywdzić, najdroższa... - Jego oczy były pełne czułości.

- Nie martw się - odpowiedziała Maggie. - Chcę cię, Garricku... proszę, chcę cię zaraz.

Jakby nie dość było tych słów, przyciągnęła go jeszcze bardziej do siebie i Garrick jednym mocnym ruchem znalazł się w jej ciele.

Tak bardzo się bała, że gdy odkryje jej utracone dziewictwo, nie będzie chciał mieć z nią nic wspólnego, a on wypełnił ją tak szybko i głęboko, że odruchowo się wzdrygnęła. Natychmiast znieruchomiał i z troską spojrział na jej twarz.

- Przepraszam, kochanie, ale więcej nie będzie bolało. Przyrzekam - powiedział z charakterystycznym akcentem, który tak pokochała.

- Już nie boli - odrzekła z uśmiechem i dla dodania mu odwagi poruszyła biodrami.

Więcej zachęt nie było mu trzeba. Zaczął poruszać się w jej wnętrzu powolnym, rytmicznym ruchem, aż wreszcie Maggie poczuła, że jest u progu spełnienia.

Garrick pomógł jej zrobić ten ostatni, mały krok, a gdy porwał ją wir gorąca i światła, on również osiągnął szczyt. Potem położyli się obok siebie i zasnęli, wyczerpani tym wybuchem namiętności.

- Teraz już nie możesz się wykpić, prawda? - powiedział Garrick, gdy ocknęli się ze snu. Uśmiechał się do niej figlarnie.

Maggie odwzajemniła ten uśmiech. Nigdy w życiu nie czuła się szczęśliwsza.

- Czy na pewno chce pan poślubić Jankeskę, *Mistah* Garrick? - spytała, naśladując teksańską wymowę. - Zadziwiające! To chyba nie może być porządna kobieta? Miejsce porządnej kobiety jest w domu!

- Każdy, kto spróbuje twierdzić, że nie jesteś porządną kobietą, będzie miał ze mną do czynienia - oznajmił groźnie Garrick. - A teraz inna sprawa... Maggie, moja miła, odkąd cię pokochałem, bardzo źle jest mi z myślą, że musisz mieszkać w tym ciasnym pokoiku. Owszem, dziś wieczorem ten pokoik bardzo się przydał - przyznał z uśmiechem - ale chcę, żebyś zamieszkała w moim domu. Od jutra!

- Nie mogę zamieszkać z tobą od jutra - odparła, rozbawiona jego niecierpliwością. - Całe miasteczko byłoby oburzone. A co z Johnnym'? Nie byłby to dobry przykład...

- Nie, naturalnie, że nie. Ale czy nie moglibyśmy jutro wziąć ślubu? Nie jestem pewien, czy będę umiał zachowywać się w twojej obecności jak dżentelmen teraz, gdy wiem już, co kryje się pod tą wykrochmaloną, ciemną suknią- dodał, czule głaszcząc ją po piersi. - Jestem skłonny poczekać, aż wielebny oceni wszystkie przeklęte ciasta.

Wybuchnęła śmiechem.

- Garricku, chciałabym mieć prawdziwy ślub, na którym byłyby obie rodziny, żeby ludzie z Gillespie Springs nie pomyśleli, że jakaś Jankeska usidliła cię w chwili słabości.

Z jękiem opadł na poduszkę.

- Obstajesz przy swoim, co? A ja po prostu boję się, że jeśli dam ci czas do namysłu, odzyskasz rozsądek i zmienisz zdanie.

- Niemożliwe, kochanie. A pomyśl też o tym, że Johnny będzie mógł podawać nam obrączki! Myślisz, że mu się spodoba ta rola?

- Johnny cię uwielbia. Będzie podskakiwał z radości przez całą drogę do ołtarza - odrzekł Garrick. - Trudno. Jeśli naprawdę chcesz uroczystego ślubu, będziesz go miała. Ale zgódź się przynajmniej na przeprowadzkę do Cala i Livy. Gdy ogłosimy nasze zaręczyny, nie będziesz mogła dłużej tutaj mieszkać.

- Dlaczego nie? - spytała, choć z góry znała odpowiedź Garricka.

- Kochanie, to małe miasteczko. Ludzie zaczną plotkować i na pewno będą uważnie obserwować, o której wieczorami wychodzę z redakcji... i czy potem nie wracam.

- Czy dziś wieczorem ktoś cię widział? Wzruszył ramionami.

- Myślę, że nie.

- Wobec tego musimy być bardzo, bardzo sprytni - powiedziała, przesuwając dłonią po jego twardym brzuchu i wyczuwając, że znów narasta w nim podniecenie. - Bo ja nie zamierzam zrezygnować z tego, czego dałeś mi dziś skosztować. Jankeskie kobiety są nienasycone. - Dla poparcia tej tezy pochyliła głowę i językiem podrażniła jego sutkę.

- Nie wiedziałem - odparł kpiąco. - Pokaż mi to. Spoglądał na nią wyzywająco niebieskimi, przenikliwymi oczami, więc podjęła wyzwanie. Przełożyła nogę nad jego udami i uklękła. Wolno, bardzo wolno opuszczała się, aż wreszcie znowu połączyła się z nim w jedno.

- Kochana Maggie - szepnął Garrick - jeśli wszystkie kobiety z Północy są

podobne do ciebie, to wasi generałowie powinni byli wysłać do boju armię kobiet. Zaręczam, że poddalibyśmy się znacznie wcześniej.

Maggie pojawiła się na festynie razem z Garrickiem, w towarzystwie dokazującego, podnieconego do granic możliwości Johnny'ego. Nie dotykali się, bo Garrick uparł się, że chce nieść koszyk piknikowy, a w drugiej ręce trzymał laskę, lecz widocznie musieli patrzeć na siebie w niezwykły sposób albo wyjątkowo promiennie się uśmiechać, bo ludzie natychmiast zauważyli, że między tymi dwojgiem coś się zmieniło.

- Ho, ho, oboje wyglądacie dzisiaj jak koty, które dobrały się do śmietanki - zawołała do nich Oliwia Devlin z zacienionego miejsca pod strzelistą topolą na brzegu strumienia. Obok niej siedział Cal. W pobliżu odpoczywali również burmistrz Long i właściciel saloonu, obaj ze swoimi żonami, a także Phoebe Stone i pastor z żoną. Eureka Jones i jego siostra Bessie oraz Jowita Mendez z synem i synową, a także gromadka dzieci o ciemnej skórze rozsiedli się pod sąsiednim drzewem.

Johnny natychmiast zostawił Garricka z Maggie i puścił się pędem do Oliwii.

- Mój tata nie jest kot! Panna Maggie też nie jest kot! - zaprotestował gwałtownie.

- Mówi się „nie jest kotem” - poprawił go Garrick, lecz wciąż się uśmiechał, gdy podeszli do Cala i Oliwii. - Ciocia chciała przez to powiedzieć, że wyglądamy tak, jakbyśmy mieli jakąś tajemnicę. Livy, Cal, witajcie!

- Nie jest kotem - posłusznie powtórzył Johnny. - Mają tajemnicę! A tajemnica jest taka, że mój tata się żeni! Z panną Maggie! Panna Maggie będzie moją nową mamą!

Maggie poczuła, że się rumieni, a Garrick objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Zewsząd rozległy się radosne okrzyki i gratulacje. Jedna tylko Phoebe Stone zrobiła obrażoną minę.

- Wiedziałam, że coś się szykuje! - usłyszała Maggie głos Bessie. - Wczoraj podczas kolacji ta panna wyglądała tak, jakby coś knuła, no i już wiemy co! I

nareszcie rozumiem, dlaczego pani Jowita od dłuższego czasu ma taką minę, jakby wiedziała coś, czego inni nie wiedzą.

- Bardzo się cieszę, Maggie - powiedziała Oliwia, ujmując ją za rękę i zapraszając do zajęcia miejsca obok siebie, na kocu. Garrick wkrótce usiadł przy niej, najpierw jednak musiał znieść przyjacielskie poklepywanie i docinki mężczyzn twierdzących, że Maggie jest dla niego o wiele za dobra.

- Twoja matka będzie zachwycona, Cal! - oświadczyła Livy. - Czy już ustaliliście datę ślubu? Mam nadzieję, że niedaleką! Wiesz, Cal, myślę, że nasze podwórze byłoby idealnym miejscem na weselne przyjęcie.

- Nie tak szybko, Livy! - odparł Cal z uśmiechem. - Mój brat i jego przyszła oblubienica mogą mieć własne pomysły i życzenia!

Maggie czuła się tak, jakby nagle znalazła się w cudownym śnie i wcale nie miała ochoty się z niego ocknąć. Tymczasem Garrick powiedział, że jeszcze nie wybrali daty, ale nie zgodzi się na zbyt odległą, żeby oblubienica nie zdążyła się rozmyślić. A potem Maggie usłyszała swój głos, potwierdzający słowa Garricka.

Tego ranka zbudziła się sama, umówili się bowiem wcześniej z Garrickiem, że wyjdzie od niej przed świtem, żeby nie zaszkodzić jej reputacji. Mgliście przypomniała sobie, że w środku nocy Garrick pocałował ją na do widzenia po ostatnim razie, gdy się kochali. Do redakcji wkroczył akurat wtedy, gdy Maggie schodziła ze schodów, po czym razem poszli na South Street i przy śniadaniu ogłosili szczęśliwą nowinę Jowicie i Johnny'emu.

Maggie obrzuciła narzeczonego ukradkowym spojrzeniem, a tymczasem ludzie zasypywali ich pytaniami i dobrodusznymi kpinkami. W dniu swego przyjazdu do Gillespie Springs Maggie odniosła wrażenie, że Garrick Devlin jest przystojnym, lecz surowym mężczyzną. Teraz jednak, gdy jego zgorzknienie i podejrzliwość znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wydawał jej się bardzo pociągający. Właśnie odpowiedział na jakiś żart uśmiechem, który rozjaśnił mu całą twarz.

- Panno Maggie, jestem głodny - powiedział Johnny. - Czy pomoże mi pani

znaleźć w tym koszyku kanapkę z galaretką?

- Naturalnie, króliczku - odpowiedziała, sięgając po wiklinowy koszyk, przygotowany przez Jowitę. Wielki Boże, wcale nie należy mi się druga szansa na szczęście, ale proszę cię, nie pozwól, bym kiedykolwiek rozczarowała tego mężczyznę i jego syna, pomyślała.

- Czy nie dość już tego miłego gruchania? - spytała uszczypliwie Phoebe Stone. - Moim zdaniem najwyższy czas na to, żeby wielebny osądził ciasta. W tym upale mój wyborny placek truskawkowy wkrótce będzie pływał... - Urwała. Wszyscy usłyszeli tętent kopyt i metaliczne pobrzękiwanie.

- Co to jest? - spytał ktoś.

- Brzmi tak, jakby od strony miasta nadjeżdżał duży oddział jeźdźców.

Niedługo potem do parku wjechała kompania federalnej kawalerii w niebieskich mundurach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Na widok niebieskich mundurów Garrick zeszywniał. Musiał powtórzyć sobie w myśli, że wojna skończyła się przed ponad trzema laty. Wprawdzie w Teksasie wciąż obowiązywało federalne prawo wojenne, ale wszyscy ludzie w parku byli porządnymi, przestrzegającymi przepisów obywatelami, nie mieli się więc czego obawiać. Mimo to Garrick poczuł ściskanie w żołądku i pulsujący ból w amputowanej nodze.

- Tato, kto to? - spytał Johnny, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w kawalerzystów.

Garrick otoczył chłopca ramieniem.

- Żołnierze, synu - wyjaśnił cichym głosem, kątem oka widząc, że Cal zbliża

się do dowódcy przybyłego oddziału.

- Po co?

Garrick wiedział, że chłopiec pyta, po co żołnierze przyjechali. Sam chciałby znać odpowiedź, przeczuwał jednak, że nie należy się spodziewać niczego dobrego.

Cal stanął przed oficerem, ciemnowłosym mężczyzną z wąsikami, który wyglądał tak, jakby wodził rej na wszystkich oficerskich balach.

- Dzień dobry, kapitanie - powiedział, dotykając róna kapelusza. - No, wreszcie widzę jakichś ludzi! Przejechaliśmy przez całe miasto i już myślałem, że zostało opuszczone! - zawołał oficer, dosiadający parszającego gniadosza. - A to tutaj wszyscy się ukryli!

- Ukryli? - powtórzył Cal, cedząc każdą głoskę. - Skądże, panie kapitanie. Po prostu mamy festyn i zeszło się tutaj całe miasto. Jestem szeryf Devlin. Czy mogę w czymś pomóc? Jeśli chcecie napić konie, to w tym strumieniu jest najlepsza woda w okolicy, ale jakieś pięćdziesiąt metrów dalej jest łatwiejszy dostęp. - Wskazał drogę.

- Kapitan Richard Burke, sir - przedstawił się dowódca oddziału i energicznie skinął głową. - Owszem, napoimy konie, mamy za sobą długą drogę z San Antonio. Ale nie po to przyjechaliśmy. - Potoczył wzrokiem po tłumie, jakby chciał się przekonać, czy wszyscy na niego patrzą.

- Naturalnie udzielimy wam wszelkiej pomocy, jeśli wyjaśni nam pan, czego wam potrzeba - zapewnił go Cal.

- Mam nadzieję, szeryfie, że nie zmieni pan zdania, kiedy podam powody naszego przybycia - odrzekł kapitan Burke z kpiącym grymasem na wargach. - A powody są dwa - dodał - choć moim zdaniem sprowadzają się do jednego. Moją kompanię przysłano tutaj dla zbadania informacji o maruderach dokonujących napadów...

- Dzięki Bogu - przerwał mu burmistrz Long, występując z tłumy. - Cal, wygląda na to, że twoje modlitwy o pomoc zostały w końcu wysłuchane, bez wątplenia dzięki dobrej pracy drugiego z braci Devlinów - skinął ku Garrickowi -

który publikuje artykuły o tych aktach bezprawia.

Kapitan Burke uniósł dłoń odzianą w rękawiczkę.

- Jak powiedziałem, mamy zbadać informacje o maruderach dokonujących napadów i na pewno położymy temu kres.

- Alleluja! - zawołał wielebny Poole. - Najwyższy czas! Kapitan Burke uśmiechnął się chłodno.

- A drugi powód? - spytał Cal w chwili, gdy Garrick uświadomił sobie, że twarz Maggie pobrała i nabrała chorobliwie zielonkawego odcienia.

- Co się stało, kochanie? - spytał, ale odpowiedziała mu uciszającym gestem i odwróciła głowę.

- Gillespie Springs zwróciło uwagę naszego dowództwa jako siedlisko oporu konfederatów - mówił tymczasem kapitan Burke do Cala. - Czy to może pan wydaje gazetę? Tę szmatę, zwaną zdaje się „Gillespie Springs Gazette”?

Garrick zobaczył, że brat przesyła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Chwileczkę, kapitanie - wycedził Cal - jakie ma pan prawo do wygłaszania takich krytycznych uwag pod adresem naszej gazety?

- Niech pan odpowie mi na pytanie, szeryfie - uciał stanowczo Burke. - Czy to pan jest Devlinem, który wydaje gazetę?

Garrick poczuł, że nie może dłużej milczeć.

- Siedlisko oporu konfederatów? - powtórzył kpiąco. - Baniałuki. Użyłbym mocniejszego określenia, gdyby nie było tu kobiet, kapitanie. Jaka jest podstawa do tak absurdałnej oceny?

- Czy pan jest...

- Garrick Devlin, właściciel i wydawca „Gillespie Springs Gazette”.

Uśmiech oficera stał się bardzo nieprzyjemny. - No, no. Pyta pan o podstawę? O, tu mam podstawę. - Z kieszeni na piersi wyciągnął złożoną kartkę. Gdy ją rozłożył, Garrick ujrzał nagłówek „Gazette”. - To właśnie ta wywrotowa szmata doprowadziła nasze dowództwo do takiego wniosku - oświadczył kapitan Burke,

potrząsając dowodem rzeczowym jak pies złapanym szczurem. - Gazeta regularnie publikuje oszczercze krytyki pod adresem wojska, wojskowego rządu Teksasu i władz w Waszyngtonie. Czy pan temu zaprzecza?

- Nie zaprzeczam, sir - odparł gniewnie Garrick. - O ile wiem, żyjemy w kraju, w którym istnieje wolność prasy. Nie opublikowałem ani słowa, które nie byłoby poparte dowodem bądź nie wyrażało poglądu, mojego poglądu. A może mieszkańcy Południa nie mają już prawa do własnych poglądów?

- Mieszkańcy Południa - powiedział kapitan - powinni mieć dość rozsądku, by pamiętać, kto jest zwycięzcą, a kto zwyciężonym, zwłaszcza jeśli liczą na ponowne przyjęcie do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Pamiętajcie, co stało się z Atlantą i Vicksburgiem. Takie nadzwyczajne środki można zastosować w każdym ze zbuntowanych stanów, jeśli okoliczności to usprawiedliwiają. Chcę, żeby wszyscy mieszkańcy Gillespie Springs dobrze o tym pamiętali, dlatego aresztuję pana i ogłaszam przepadek maszyny drukarskiej, żeby położyć kres publikacji wywrotowych materiałów. Brać go!

Czterej żołnierze otaczający kapitana Burke zsiadli z koni i z wyciągniętymi pistoletami ruszyli w stronę Garricka.

- Kapitanie, nie! Nie może pan tego zrobić! - Ten krzyk wydała Maggie. Garrick odwrócił głowę i zobaczył, jak podbiega do konia kapitana, z twarzą zalaną łzami. Spróbowałby ją powstrzymać, ale w tej samej chwili przyłączył się do niej Johnny. Zacisnąwszy ręce w pięści, krzyknął:

- Nie! Nie możecie zabrać mojego taty! Nie dotykajcie go! - Przerażony, że gniadosz kapitana stanie dęba i zmiażdży malca swymi kopytami, Garrick chwycił syna z tyłu za koszulę i przyciągnął do siebie.

Ludzie w niebieskich mundurach natychmiast ich otoczyli. Garrick podniósł ręce do góry.

Tymczasem Maggie znalazła się już przy oficerze i ciągnęła go za rękaw. Obawy Garricka były słuszne. Nerwowy gniadosz stanął dęba, ale Maggie szybko

odskoczyła poza zasięg jego kopyt.

- Prr! - krzyknął Burke, ściągając wędzidła, póki koń z powrotem nie postawił przednich kopyt na ziemi. Potem zwrócił się do Maggie: - Czy pani odebrało rozum? Koń mógł panią stratować. Każę... - Nagle wytrzeszczył oczy i Garrick zobaczył, jak kapitan zmienia się na twarzy. Miejsce surowości zajęła jowialność.

- Wielkie nieba, przecież to Margaret Harper! - powiedział, mierząc ją pożądlivym spojrzeniem. - Co robisz w tej teksańskiej dziurze? Co za wspaniała niespodzianka! Nie miałem pojęcia, że wyjechałaś z Austin.

Garrick nie widział twarzy Maggie, ale słyszał jej bezbarwny, ponury głos:

- A ja myślałam, że pan wciąż przebywa w Waszyngtonie, kapitanie Burke. Pracuję w „Gillespie Springs Gazette” i mówię panu, że nie ma pan podstaw do aresztowania Garricka Devlina! Składałam każde słowo tej gazety, a dobrze znam prawa wydawcy! Może rzeczywiście Garrick nieszczególnie chwalił wojskowe i cywilne władze stanu, ale nie napisał niczego, co można nazwać wywrotowym! Nie ma pan prawa go aresztować i dobrze pan o tym wie! Nie ma pan również prawa skonfiskować jego maszyny drukarskiej!

Kapitan Richard Burke wyprostował się w siodle z pogardliwą miną.

- Maggie, kochanie, zawsze uwielbiałem w tobie ten ogień i namiętność - powiedział z rozbawieniem.

Garrick z obrzydzeniem patrzył, jak osłonięta rękawicą dłoń kapitana dotyka policzka Maggie. Ale ona wzdrygnęła się i cofnęła.

- Tato, o czym ten pan mówi? Powiedz im, żeby sobie poszli! - zażądał przejęty i bardzo zaniepokojony Johnny.

- Pst, synu.

- No, no, Maggie - szydził Burke. - Bronisz tego wywrotowca? I w dodatku jesteś z nim po imieniu? Co tu się dzieje w tej zabitej deskami dziurze? Czyżbyś znalazła szczęście w ramionach innego mężczyzny po tym, co nas łączyło? Kochanie, czyżbyś całkiem o mnie zapomniała?! - Nawet nie próbował zniżyć głosu.

Garrick nie wierzył własnym uszom. Co najgorsze, zdawał sobie sprawę z tego, że mieszkańcy miasteczka natężają słuch. Niektórzy zaczęli nawet podchodzić bliżej.

- To, co tu robię, nie ma związku z panem, kapitanie - odparła cicho Maggie, tak cicho, że usłyszeli ją tylko Burke, Garrick i kilku żołnierzy.

Burke przeniósł wzrok z Maggie na Garricka i z powrotem. Wyraźnie rozkoszował się tą sytuacją.

- Nie, kochanie, rzeczywiście nasz związek, niestety, się skończył. Widzę, że nie darzysz mnie już ciepłymi uczuciami.

- Ty zawszony skur... - Nie zważając na uzbrojonych żołnierzy, Garrick rzucił się ku kapitanowi, zamierzając ściągnąć go z konia i zamienić mu twarz w krwawą miazgę.

Nie zdążył jednak zbliżyć się więcej niż o metr, gdy chwycili go dwaj z czterech żołnierzy, a dwaj pozostali przystawili mu lufy pistoletów do głowy.

- Tato! - krzyknął Johnny i chwycił Garricka za nogawkę spodni. Żołnierze na koniach unieśli i odbezpieczyli karabiny.

Maggie głośno krzyknęła. Chwyciła chłopca, zmusiła go, żeby puścił Garricka, i zaniósła płaczącego malca do Livy.

- Nie strzelać! - zawołał Burke, przekrzykując Maggie i Johnny'ego. Jego gnadosz znów się spłoszył, musiał więc skupić uwagę na opanowaniu konia.

- Garrick, nie ruszaj się! I na miłość boską, zachowaj spokój! - błagał brata Cal. - Nie będziesz mógł bronić Maggie, jeśli pozwolisz się zabić!

Maggie spojrzała na niego z przerażeniem, a potem zwróciła się do Burke'a, który już zapanował nad koniem.

- Kapitanie, niech pan każe tym ludziom schować broń! - powiedziała stanowczo, wskazując żołnierzy trzymających Garricka. - Czy pan nie widzi, że śmiertelnie przerażili to dziecko?

Burke, poczerwieniały na twarzy, odgarnął z czoła włosy, których nie przytrzymał już oficerski kapelusz, leżący w błocie i stratowany przez końskie

kopyta.

- Widzę, że bardzo się przejmujesz tymi żalonymi resztkami mężczyzny - parsknął, mierząc Garricka pogardliwym spojrzeniem. - Czy mogę spytać, co was łączy?

Maggie milczała, ale jej zielone oczy potępiająco spoglądały na Burke'a.

- To nie jest czas na dyskrecję - odezwał się znów kapitan. - Mogłabyś oszczędzić swojemu kochankowi wielu zmartwień!

Maggie, czerwona jak piwonia, wysyczała przez zaciśnięte zęby:

- Niech pana diabli wezmą, Richardzie! Garrick Devlin jest moim narzeczoną, mamy się pobrać.

- Aha. - Oczy Burke'a zabłyśły złośliwie. - Już rozumiem, moja Maggie.

- Niech pan mnie w ten sposób nie nazywa! Znaczy pan dla mnie mniej niż to, co przed chwilą zrobił pański koń - wybuchnęła, wskazując kupę nawozu, pozostawioną przez gniadosza na trawie.

Widać było, że Burke jest wściekły, ale tylko pogroził Maggie palcem.

- Nie powinno być między nami złości, skoro kiedyś byliśmy sobie tacy bliscy. - Rozejrzał się dookoła, żeby sprawdzić, czy mieszkańcy Gillespie Springs wciąż mu się przyglądają, i dodał: - Wyświadczę ci przysługę, moja droga, przez wzgląd na dawne czasy. Jestem gotów zawiesić aresztowanie twojego kalekiego wybrańca, jeśli za niego poręczysz.

- Już to zrobiłam, ty bydlaku!

Burke zignorował tę obelgę i uśmiechnął się.

- Puśćcie go.

Garrick poczuł, że przytrzymujące go ręce dwóch żołnierzy się cofają, choć dwaj pozostali wciąż stali z bronią gotową do strzału.

- Jestem gotów wykazać nawet więcej dobrej woli - oświadczył Burke. - Zawieszam również konfiskatę maszyny drukarskiej, pod warunkiem, że dopóki gościmy w Gillespie Springs, nie zostanie na niej wydrukowane ani jedno

wywrotowe słowo. - Zwrócił się do Garricka, któremu brat podawał łaskę: - Wszystkie teksty, Devlin, mają trafiać do mnie, zanim nasza piękna Maggie zacznie cokolwiek drukować. Zrozumiano?

- Prędzej ty trafisz do piekła, jankeski gadzie! - odburknął Garrick. - Nie zgodzę się na żadną cenzurę!

Cał stanął między Garrickiem a kapitanem.

- Mój brat w pełni zgadza się na współpracę podczas waszego, miejmy nadzieję krótkiego, pobytu w Gillespie Springs. Proponuję, żeby kompania rozbiła obóz tutaj, w parku. Jest tu dużo miejsca, woda w pobliżu... Będzie pan mógł, kapitanie, skupić się na swoim głównym zadaniu, to znaczy na ujęciu bandytów. Nie ma pan się czego obawiać ze strony mojego brata, który jest przykładnym, praworządnym obywatelem.

- Nie mam? - syknął Burke. - Gdyby spojrzenie mogło uśmiercać, byłbym już w drodze do zakładu pogrzebowego, szeryfie. Ale niech się pan nie martwi. Złapiemy tych bandytów, jak tylko nabiorę pewności, że pański brat nie spiskuje z resztą miasteczka w celu wywołania buntu! Dziękuję za propozycję miejsca na obozowisko, sir, jednak muszę ją odrzucić. Park jest stanowczo za daleko od centrum, żebym mógł skutecznie przyglądać się stąd pańskiemu buntowniczemu bratu i jego ewentualnym współnikom. Moja kompania z przyjemnością przejmie na kwaterę ten miły hotel, który mijaliśmy po drodze. Wtedy będziemy w centrum wydarzeń, jeśli można tak powiedzieć.

Burmistrz Long splunął z obrzydzeniem i ruszył ku kapitanowi.

- W moim hotelu? To jest moje przedsiębiorstwo, sir. Jak mam zarobić na życie i dać schronienie podróżnym, jeśli pańska kompania zajmie mi wszystkie pokoje? Ci ludzie bez wątpienia będą się kładli w butach do łóżka i wypalali dziury w materacach.

Burke uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Czyżby sugerował pan, że moi ludzie nie są dobrze wychowani? Któregoś

dnia, sir, rząd sowiec panu to wynagrodzi... - Jego głos utonął w radosnym rechocie żołnierzy. Zaraz jednak Burke wydał rozkaz, by cała kompania skierowała się w stronę strumienia, żeby napoić konie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Festyn w Gillespie Springs był nie do uratowania.

- I co ja zrobię z tymi wszystkimi ciastami? - złościła się Phoebe Stone, choć nikt jej nie słuchał. Wszyscy byli zajęci pakowaniem koszyków piknikowych oraz koców i pilnie uważali, żeby przypadkiem nie spojrzeć na Garricka i Maggie.

- Tato, dlaczego wszyscy sobie idą? - spytał Johnny. - Co będzie z piknikiem?

- Wytlumaczę ci później - odrzekł Garrick. - Kiedy sam to zrozumiem.

W kilka minut park opustoszał. Zostali tylko Garrick, Maggie, Cal, Livy, Jowita Mendez i Johnny.

Nikt z dorosłych nie wiedział, co powiedzieć. Wreszcie Jowita odkaszlnęła i zaproponowała:

- Wezmę Johnny'ego do domu, senior Devlin. Na pewno chce pan porozmawiać z senioritą Maggie.

Porozmawiać? Na to zupełnie nie miał ochoty, zwłaszcza z Maggie. Chciał zostać sam, potrzebował tego.

- Dziękuję, Jowito. Johnny, idź z Jowitą. Tata wróci do domu trochę później - powiedział, kładąc synowi rękę na ramieniu. Począł, aż gospodyni z małym nieco się oddała, i zwrócił się do Cala: - Bracie, byłbym ci wdzięczny, gdybyście z Livy odprowadzili Maggie do redakcji. Może weźmiecie również mój koszyk? Odbiorę go od was później. Zobaczył, że Maggie kuli się, jakby ją uderzono. Nie mógł jej pocieszyć, za bardzo sam cierpiał.

- Ale... - zaczęła Livy, zawiesiła jednak głos. Podeszła do Maggie, otoczyła ją ramieniem i szepcząc jej coś dla dodania otuchy, zaczęła ją prowadzić w stronę swojego domu, stojącego po drugiej stronie drogi.

Cal z wahaniem położył rękę na ramieniu Garricka.

- Tylko nie unieś się dumą i nie zrób przez to czegoś głupiego, bracie. Nieważne, co było dawniej między Maggie a jakimś mężczyzną. Ważna jest miłość, która łączy was teraz. Ona jest zdruzgotana. Ten arogancki bydlak publicznie ją upokorzył.

Mówisz, że to ją upokorzył? - miał ochotę krzyknąć Garrick. A mnie? Wolność i maszynę drukarską zwrócił mi były kochanek mojej narzeczonej! Nie chciał jednak tego powiedzieć głośno, żeby, nie daj Boże, nie usłyszała go Maggie.

- Porozmawiam z nią, Cal - obiecał - ale nie wiem kiedy. Zróbcie tak, jak was proszę. Zaprowadźcie ją z powrotem do redakcji.

Cal wpatrywał się w niego przez długą chwilę. Wydawało się, że chce jeszcze coś powiedzieć, jednak w końcu się rozmyślił i odszedł śladem Maggie i Livy.

- Nie martw się, moja droga, przejdzie mu - mówiła Livy, gdy wchodziły na ganek. Ramieniem otaczała Maggie. - Mężczyźni to dziwne stworzenia, bardzo dumne, a już zwłaszcza mój drogi szwagier. Na pewno wkrótce się uspokoi i wtedy zrozumie, że nadal cię kocha i że są dużo ważniejsze sprawy niż kłamstwa tego człowieka...

- On nie kłamał - powiedziała bezbarwnym głosem Maggie, ocierając łzy. - Ja... my... Burke i ja... - Zaczerpnęła powietrza, a potem wyrzuciła z siebie: - Kocha... nie, to nie jest dobre słowo. On mnie nigdy nie kochał. Teraz to wiem. Wykorzystał mnie. Byłam głupia, niewinna i głupia! Zniszczył moje dobre imię w Austin i poszedł swoją drogą. O Boże, Livy. Jaka zbrukana się czuję! Jak mi strasznie wstyd!

Były już w domu, więc Livy posadziła ją na bujanym fotelu w salonie i przyklękła obok.

- Nie mów tak. Nie jesteś zbrukana. Popełniłaś błąd, to wszystko. Pozwoliłaś się oszukać staremu uwodzicielowi. Wielu kobietom się to zdarzyło. Garrick jest dobrym człowiekiem i...

Maggie jej przerwała.

- Biedny Garrick! Jak bardzo muszę mu przypominać jego zmarłą żonę. Jowita opowiedziała mi o niej, wiesz. Muszę... muszę wyjechać - powiedziała, wstając, a łzy znowu popłynęły jej ciurkiem po policzkach. - Idę spakować rzeczy... wyjadę dokądś..,

- Nie zrobisz tego - oświadczyła stanowczo Livy i położyła Maggie rękę na ramieniu, jakby w razie potrzeby gotowa była użyć siły. - Cal, wytłumacz jej, że nie może wyjechać - powiedziała błagalnie, gdy tylko jej mąż wszedł do salonu.

Cal skinął głową. Poczul się bardzo nieswojo, widząc załzawioną twarz Maggie. Sięgnął do kieszeni i podał jej chustkę.

- Livy ma rację. Niech pani da Garrickowi trochę czasu. Znam mojego brata. Czasem trochę go ponosi, ale niedługo się uspokoi, zobaczy pani. Maggie pokręciła głową.

- Nie. Wszyscy zawsze będą to wiedzieć. Będą patrzeć na mnie i myśleć: ta ladacznica. Naprawdę nie mogę wymagać od Garricka, żeby jeszcze chciał mieć ze mną coś wspólnego. Nie po tym, co Burke powiedział całemu miastu. I nie po tym, co Garrick musiał znieść przez Cecylię. Wiem, popełniłam błąd, myśląc, że będę mogła zacząć wszystko od początku... - Ukryła twarz w chustce Cala. Po chwili poczuła, jak Livy ją obejmuje. Szlochała, szlochała i długo nie mogła przestać.

Wreszcie jej łzy obeschły. Podniosła głowę. Cal wydawał się bardzo zakłopotany, ale pozostał w pokoju.

- Livy, kochanie, może powinnaś jej powiedzieć... - zaczął swoim głębokim, śpiewnym głosem.

Livy wymieniła spojrzenia z mężem i znów zwróciła się do Maggie:

- Posłuchaj mnie, kochanie. Wkrótce ludzie znajdą sobie inny temat do plotek.

Wiem to dobrze, bo przeżyłam podobny skandal. Cal mi pomógł. - Mąż i żona znowu wymienili czułe i bardzo ciepłe spojrzenia.

W innych okolicznościach Maggie z pewnością głośno wyraziłaby zdziwienie, w jaki sposób Oliwia Devlin mogła wywołać skandal. Była przecież kimś tak pocziwym, że Maggie nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, by mogło jej przejść przez gardło głupie „do licha”, a co dopiero mówić o dawaniu ludziom powodów do plotek. Ale ta tajemnica musiała pozostać własnością małżonków Devlin, przynajmniej na razie.

Garrick nie był Calem i na pewno nie był gotów pogodzić się z kompromitującą prawdą o kobiecie, której zaufał i którą pokochał. Jeszcze zanim tu przyjechała, jego zaufanie do ludzi zostało wystawione na ciężką próbę, a ta katastrofa z pewnością zniszczyła te jego resztki, które jeszcze pozostały.

- Wstawię wodę i zaparzę nam trochę herbaty rumiankowej - zaofiarowała się Livy. - Zawsze czuję się po niej lepiej. A ty, Maggie, możesz potem iść do pokoju gościnnego, położyć się i trochę pospać. Jestem pewna, że gdy odpoczniesz, zobaczysz świat w jaśniejszych barwach.

- Dziękuję ci, Livy, jesteś bardzo miła - odparła Maggie, ujmując jej dłoń i delikatnie ściskając. - Ale chyba powinnam wrócić do pokoiku nad redakcją.

Livy musiała wyczuć jej zdecydowanie, bo tylko wzruszyła ramionami.

- Dobrze, moja droga, pamiętaj jednak, że gdybyś nas potrzebowała, to jesteśmy tutaj. Tylko nie waż się wyjechać! Cal, odprowadź ją do „Gazette” - poleciła mężowi. - I pilnuj, żeby nikt nie śmiał powiedzieć jej niczego przykrego.

Gdy Garrick został sam w parku, zszedł nad strumień, usiadł i zapatrzył się w jego przejrzystą wodę skaczącą po kamieniach. Widział jednak tylko twarz Maggie. Nie słyszał też radosnego szmeru strumienia, lecz jedynie jadowite słowa Burke'a: „Czyżbyś znalazła szczęście w ramionach innego mężczyzny...?”

Innego. A to znaczyło, że on, Garrick, nie był pierwszym mężczyzną, który kochał się z Margaret Harper.

Prawdę mówiąc, liczył się z tą możliwością, gdy pojął, że się w niej zakochał. Piękna, pracująca kobieta, mieszkająca daleko od domu, z pewnością mogła wcześniej mieć kochanka. Poprzedniego wieczoru tak bardzo spalała go namiętność, że w ogóle nie zwrócił uwagi na śmiałość Maggie i na brak śladów krwi na prześcieradle. Wtedy nie miało to dla niego znaczenia. Bez względu na to, czy był jej pierwszym kochankiem, czy nie, chciał żyć w domu pełnym miłości z nią, Johnnym i wszystkimi dziećmi, które w przyszłości mogły przyjść na świat. Przemknęło mu nawet przez myśl, że może powinien być wdzięczny temu pierwszemu mężczyźnie, bo Maggie się nie bała, cieszyło ją, że mogą dać sobie rozkosz. Doszedł do wniosku, że jej pierwszy mężczyzna prawdopodobnie był żołnierzem i zginął na wojnie, więc nie zdążył poślubić panny, którą uczynił kobietą.

W ogóle nie przyszło mu do głowy, że może spotkać jej dawnego kochanka, a tym bardziej znosić jego obelgi w obecności mieszkańców całego miasta.

Obraz, który widział w przejrzystej wodzie strumienia, zmienił się nagle. Teraz t>yła to twarz Cecylii.

Nie mogłam znieść twojego widoku, ty kuternego. Wszyscy wiedzieli, że wzbudziłeś we mnie obrzydzenie, więc nie mogłam pozostać twoją żoną, dzielić z tobą łoża, pozwolić ci, żebyś mnie dotykał! Tak, przyprawiłam ci rogi z Willem Prentice'em, zdrowym, nie okaleczonym mężczyzną! A teraz znowu wystawiłeś się na pośmiewisko, bo wszyscy wiedzą, że zakochałeś się w Jankesce, która się łajdaczy. Głupiec!

Jak Maggie mogła oddać się temu zarozumiałemu, aroganckiemu Jankesowi? Richard Burke całował ją, dotykał jej wszędzie tymi lubieżnymi łapskami, nawet w najintymniejszych miejscach...

Nie! O tym Garrick nie mógł myśleć. Bał się, że oszaleje. Jednak nie był w stanie myśleć o czymkolwiek innym. Podciągnął zdrowe kolano pod brodę i pierwszy raz odkąd stracił nogę, zapłakał.

Bardzo żałował, że strumień nie jest dość głęboki, by można się było w nim

utopić. Co gorsza, nie miał przy sobie ani pistoletu, ani liny, ani nawet noża.

Wreszcie uniósł głowę, kompletnie wyczerpany. Nie wolno ci wybrać wyjścia tchórza, powiedział sobie. Masz syna. Wprawdzie Cal i Livy na pewno zajęliby się Johnnym, ale jak malec przeżyłby śmierć drugiego rodzica? Poza tym Garrick był Devlinem, a Devlinowie nie zwykli chować głowy w piasek.

Oznaczało to, że musi radzić sobie dalej. Nie wiedział jednak, jak wytłumaczyć synowi, że to, co ogłosili rano z Maggie, jest już nieaktualne. Nie będzie ślubu i Maggie nie zostanie mamą Johnny'ego. Garrick bardzo się cieszył, że trzyletni chłopiec jeszcze nie może zrozumieć tych ohydztw, które Burke powiedział o Maggie, Tylko jak to wszystko malcowi wytłumaczyć?

Przyszła mu do głowy inna myśl, mniej ważna, lecz nie mniej bolesna. Jak będzie mógł się teraz pokazać w mieście, wiedząc, że wszyscy o nim mówią, że wszyscy poznali jego najbardziej prywatne sprawy? Już słyszał szept na swój widok: O, Garrick Devlin, ten nieszczęśnik. Stracił nogę na wojnie, potem zostawiła go żona, a kiedy umarła, okazało się, że popełniła bigamię, ale ma z Devlinem syna! A następna kobieta, którą sobie znalazł, miała bogatą przeszłość... Tak, tak, moja droga, czemu się dziwić, skoro wybrał jakąś dziwną Jankeskę, która dopiero co przyjechała do miasteczka. No i zjawił się kochanek tej Jankeski i powiedział wszystkim, że z nią obcował. Straszny pechowiec z tego Devlina, nie ma szczęścia w miłości, ale z małżeństwa z tą puszczalską pierwszą żoną został mu syn, musi go więc wychowywać. A kobiecie nigdy już nie zaufał, został na resztę życia zgorzkniałym wdowcem, kuśtykającym po miasteczku...

Nie, na Boga, już nigdy nie zaufa kobiecie, to prawda.

Uznawszy, że powinien wrócić do domu, niezgrabnie wstał ze stromego brzegu. Jowita będzie się o niego martwić, a Johnny na pewno zasypuje ją pytaniami, na które gospodyni nie potrafi odpowiedzieć.

Ale najpierw postanowił zajrzeć do redakcji i sprawdzić, czy jest tam Maggie. Nie potrafił wyjaśnić nawet przed samym sobą, dlaczego nie chce odłożyć do

następnego dnia rozmowy, która prawdopodobnie będzie bardzo krępująca. Wiedział jednak, że musi ją przeprowadzić. Chciał mieć to za sobą.

Nie zastanawiał się, co powie. Garrick Devlin, który wrócił z wojny, wyrzuciłby Maggie bez referencji i dopilnował, żeby wsiadła do pierwszego dyliżansu odjeżdżającego z Gillespie Springs, wszystko jedno dokąd. Im szybciej Maggie by wyjechała, tym szybciej mógłby zacząć porządkować swoje życie, nawet gdyby zamiast serca miał już tylko ziejącą, czarną otchłań.

Z pomocą Eureka Jonesa jakoś dotrwałby do dnia, kiedy udałoby mu się zatrudnić innego drukarza. Tym razem pamiętałby jednak, by w ogłoszeniu podkreślić, że szuka mężczyzny. Ale na razie, gazeta wydawała mu się mniej ważna. Bez sprawdzenia nawet nie potrafiłby powiedzieć, kiedy ma się ukazać następny numer.

Teraz jednak Garrick nie był już tym samym człowiekiem, który wrócił z wojny. Johnny stopił lód, który skuł jego serce, a przyjazd Maggie oznaczał prawdziwą wiosnę. I mimo że romans z Margaret Harper należał już do przeszłości, Garrick nie wiedział, czy będzie umiał zamienić tę wiosnę na ponurą zimę.

Bardzo cierpiał, ale nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby nie zobaczyć więcej Maggie.

Nie musisz decydować już dzisiaj, powtórzył sobie w myślach. Nigdy nie był impulsywnym człowiekiem - z tego słynał w rodzinie Sam. Cal miał miękkie serce. A on zawsze był tym, który ostrożnie wszystko planuje, który decyduje głową, nie sercem. Postanowił, że po prostu zobaczy się z Maggie i może wtedy łatwiej mu będzie podjąć decyzję.

Głupiec z niego. Rozważa tę sprawę tak, jakby tylko on miał tu coś do powiedzenia. A może Maggie już zdecydowała, że nie powinna dłużej mieszkać w Gillespie Springs, skoro wszyscy dookoła wiedzą, co zrobiła.

Przypomniał sobie, jak Livy, wtedy jeszcze Gillespie, przeżyła publiczną kompromitację, gdy zaszła w ciążę, chociaż wszyscy wiedzieli, że jej zmarły mąż nie

może być ojcem. Poroniła, ale to nie powstrzymało mieszkańców miasteczka od traktowania jej jak trędowatej. Livy w niczym nie zawiniła, została zgwałcona, jednak przez wiele miesięcy żyła jak parias, zanim prawda wyszła na jaw.

Maggie nie była związana z Gillespie Springs tak jak Livy. Nie miała powodów, by tu zostać, jeśli nie liczyć pracy. Dobrzy drukarze byli wszędzie potrzebni.

Ta myśl sprawiła, że Garrick przyspieszył kroku.

Wreszcie wszedł do redakcji, ale zanim jego oczy zdażyły przyzwyczać się do półmroku, z głębi pomieszczenia rozległ się głos Eureka Jonesa. - Ona jest na górze, panie Devlin. Pakuje się. Chyba nie pozwoli jej pan odejść, prawda?

Eureka Jones siedział przy stole z nożem i drewnianym klokiem w dłoniach, jednak Garrick miał wrażenie, że nie wycina formy dla „Gazette”, lecz po prostu coś rzeźbi.

- Myślę, że decyzja należy do panny Harper. Murzyn podszedł do niego. Patrzył nań z wielką powagą.

- Wiem, panie Devlin, że nie powinienem dawać panu rad, ale niech pan nie pozwoli odejść swojej kobiecie. Nieważne, co ten diabeł zrobił jej dawno temu. Ważne jest to, czym jesteście teraz dla siebie.

Rzeczywiście, nie była to sprawa Eureka, ale Garrick dostał już tę samą radę od Cala.

Przygryzł wargę, żeby powstrzymać ironiczną odpowiedź cisnącą mu się na usta.

- Musimy poczekać, Eureka. Zobaczymy, jak to się ułoży. Jednak bez względu na to, co zajdzie między mną a panną Harper, chcę, żebyś nadal dla mnie pracował.

Spodziewał się zobaczyć wyraz ulgi w ciemnych oczach Murzyna, ale się omylił.

- Wiem, panie Devlin, Wcale nie dlatego to powiedziałem. - Eureka wrócił na swoje miejsce i znowu zajął się drewnianym klokiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Maggie z wielką pieczołowitością składała suknię w zielony wzór. Cieszyła się, że znowu zobaczy ojca. Pomyślała o nim, zdejmując jego podobiznę ze ściany i owijając ją w stary numer „Gazette”, żeby nie potłukło się szkło. Na myśl o tym, że znowu będzie musiała zwierzyć się ojcu ze swej klęski, łzy zaczęły cisnąć jej się do oczu. Wcześniej napisała mu w liście, że jej uczucie do Garricka jest coraz silniejsze, nie mogła więc teraz przypisać swego powrotu jedynie nieciekawej pracy. Zresztą ojcu wystarczyłoby uważnie jej się przyjrzeć i od razu wszystko by wiedział, nawet gdyby nie zdradziła się ani słowem.

Pukanie do drzwi zaskoczyło ją tak bardzo, że upuściła na podłogę pantofelek, który zamierzała schować do sakwojazu. Serce zabiło jej mocniej, kolana się pod nią ugięły.

- Ma... Panno Harper? - usłyszała zza drzwi głos Garricka.

Pomyślała, że przyszedł zapłacić jej odprawę. I powiedzieć, że oczekuje jej wyjazdu w pierwszym możliwym terminie. Może chce również powiedzieć jej, co o niej myśli. Trudno, nie mogła go za to winić. Bądź co bądź, zaraz po przyjeździe to ona uniosła się ambicją, gdy Garrick wyraził przekonanie, że pracująca kobieta nie może być porządną kobietą. Niestety, miał rację. Nie była porządną kobietą. Porządna kobieta nie próbuje uchodzić za niewinną jak lilia, jeśli taką nie jest. Z tą myślą Maggie podeszła do drzwi.

Szerokim gestem zaprosiła Garricka do środka i odsunęła się na bok, żeby mógł wejść. Twarz miał posępną, oczy bez wyrazu. Szybko przeniósł wzrok z jej twarzy na suknię podróżną, którą miała na sobie.

- Eureka mówi, że pani wyjeżdża - powiedział szorstko. Skinęła głową, ale nie mogła się zdobyć na to, żeby głośno potwierdzić swój zamiar.

- Nie musi pani wyjeżdżać, panno Harper. Nadal potrzebuję pani jako drukarza.

Nawet jeśli nie potrzebuję pani jako narzeczonej, dokończyła za niego w myśli.

- Jest wielu mężczyzn, którzy mogą mnie zastąpić - odparła. - Znajdzie pan kogoś. Tymczasem może panu pomagać Eureka, pod warunkiem, że będzie pan pisał dość starannie, by umiał pana odczytać. Ja chyba nie mogę zostać. Z pewnością pan to rozumie.

Widziała, że rzeczywiście rozumie. Przez chwilę Garrick wpatrywał się w podłogę, potem spojrzał jej w oczy.

- Ale gazeta... Chyba nie chce zostawić mnie pani z tym całym majdanem.

Już miała mu powiedzieć, że jego przekłeta gazeta jest w tym wszystkim najmniej ważna, ale w porę ugryzła się w język.

- Przecież nowy numer wyszedł nie dalej jak wczoraj. Ma pan mnóstwo czasu na złożenie następnego, nawet bez mojej pomocy.

Nie wydawał się przekonany. - Przyjechali żołnierze. To temat na ciekawy artykuł. Sądzę, że należy przygotować specjalne wydanie.

Na myśl o tym, jak Garrick Devlin może opisać okupację teksańskiego miasteczka przez federalne wojska, poważnie się strapiła, całkiem wbrew sobie.

- Niech pan uważa, Garrick, bo inaczej skończy pan w więzieniu, a pański drogocenny Washington stanie się kupą złomu - ostrzegła.

- Wobec tego lepiej niech pani zostanie i przypilnuje, żeby do tego nie doszło - odparł.

Nie potrafiła nic wyczytać z jego twarzy, uznała więc, że powinna te słowa zinterpretować w przykry dla siebie sposób. Znowu zawrzał w niej gniew. I znowu odezwał się wstyd.

- Chce pan, żebym nadal wywierała wpływ na kapitana Burke'a? - spytała, zaciskając dłoń na drugim pantofelku. - Może chce pan, żebym poszła do niego do hotelu i zaproponowała swoje usługi? Lepiej niech pan wyjdzie, Garricku. Wyjadę

stąd tak szybko, jak to tylko możliwe.

Uniósł dłoń i ruszył ku niej.

- Źle mnie pani zrozumiała, Maggie. Chciałem powiedzieć tylko tyle, że gdyby czytała pani moje brudnopisy, mogłaby mnie pani powstrzymać tam, gdzie mnie poniosło.

Tym razem to mnie poniosło, pomyślała.

- Przepraszam. Sądziłam, że chodzi panu... ach, mniejsza o to. W każdym razie wydaje mi się, że jankeski cenzor jest całkowitym przeciwieństwem tego, czego pan potrzebuje.

- Sam już nie wiem, czego teraz potrzebuję - mruknął. - Oprócz jednego. Na pewno chcę tylko tego, żeby pani nie wyjeżdżała... przynajmniej jeszcze przez tydzień albo dwa. A potem, jeśli nie zmieni pani zdania...

- Garricku, nawet pan nie wie, o co prosi - odrzekła zakłopotana. - Czy potrafi pan sobie wyobrazić, czym będzie dla mnie tak długie pozostawanie w miasteczku? Zwłaszcza że w hotelu naprzeciwko zamieszkał Richard Burke.

Garrick nagle skulił ramiona.

- Chyba o tym nie pomyślałem - przyznał. - Widzę, że naprawdę proszę o wiele. Może powiem Bessie, żeby przynosiła pani posiłki, jeśli pani tak woli. Mogę też poprosić o to Jowitę. Albo może się pani przenieść do Cala i Livy, tak jak proponowałem poprzednio.

- Skoro mowa o Richardzie Burke, Garricku, to muszę powiedzieć Calowi, że chyba widziałam go w obozowisku bandytów. On albo człowiek bardzo do niego podobny stał przy koniach, kiedy ich obserwowałam. Nie miał munduru, ale... - Urwała, bo nagle ją olśniło. - Garricku, on szczotkował gniadego konia! Tego samego, na którym dzisiaj wjechał do miasteczka.

Garrick zmarszczył czoło.

- Maggie, to niemożliwe. Jak Richard Burke mógł być dwa dni temu w cywilnym ubraniu w obozowisku bandytów, a dzisiaj wjechać na czele kompanii do

Gillespie Springs? Nie. Wprawdzie bardzo chciałbym zobaczyć tego skur... tego łajdaka w więzieniu, ale prawdopodobnie widziała pani człowieka, który po prostu jest do niego podobny. Wróćmy jednak do tematu. Co pani sądzi o tym, żeby jeszcze trochę u nas zostać?

Westchnęła.

- Nawet nie powinnam się nad tym zastanawiać... Mimo wszystko zostanę, chociaż nie zamierzam się tu ukrywać, jakbym była w areszcie domowym. Będę tak jak zawsze chodzić na posiłki do hotelu. - Wyciągnięciem ręki powstrzymała jego sprzeciw. - I nie zatrzymuje mnie chęć bycia pańskim cenzorem. Poczekam, aż się okaże, że Burke jest jednym z bandytów.

- Maggie, jeśli wyobraża sobie pani, że znowu wyruszy pani obserwować tę bandę...

- Niech się pan nie martwi. - Wzruszyło ją, że Garrick wciąż się o nią troszczy. - Chcę tylko, żeby się wydało, jaki z niego kłamliwy gad.

- „I piekło nie zna ognia straszliwszego...

- ...niż gniew kobiety urażonej wzgardą" - dokończyła. - Dowiodę panu, że nie tylko o to chodzi. Ale proszę... niech pan mi pozwoli powiedzieć to, co muszę powiedzieć, Garricku. Jest mi przykro, że nie byłam z panem uczciwa; Zasługiwał pan na prawdę. Nie...

Znowu uniósł dłoń i ruszył do drzwi.

- Niech pani nie mówi nic więcej, Maggie. Nie teraz.

Maggie celowo odczekała do wieczora, żeby przemknąć się do hotelu i przynieść sobie kolację. Miała nadzieję, że żołnierze już zjedli i przenieśli się do saloonu. Wprawdzie sala jadalna była o tej porze zamknięta, ale Bessie prawdopodobnie schowała coś dla niej, jak to bywało wcześniej, gdy Maggie pracowała do późna i czasem zapomniała o jedzeniu. Postanowiła wziąć to, co kucharka dla niej zapakowała, i zjeść u siebie w pokoju.

Bessie rzeczywiście zostawiła dla niej kanapkę z wołowiną i duży kawałek

ciasta brzoskwiowego.- Masz, słoneczko - powiedziała, wyciągnęła ręce z mydlin i wytarłszy je w ręcznik, podała jej zawiniątko. - Gdyby pani nie przyszła, sama bym jej zaniósła. Ma pani zjeść wszystko, do ostatniego okrucha. Zawsze mówię, że ciało musi jeść. I proszę się nie martwić panem Devlinem, on na pewno wszystko zrozumie. Niech pani nie wyjeżdża. Eureka mówi, że pan Devlin prosił, żeby pani została, a to znaczy, że nie chce pani stracić.

Maggie łzy zakręciły się w oczach.

- Dziękuję pani, Bessie. Myślę, że on... myślę, że już jesteśmy dla siebie straceni, ale bardzo dziękuję za słowa pociechy.

Bessie nie wydawała się przekonana.

- Proszę uważać na żołnierzy, panno Maggie - powiedziała. - Byli w łaźni, więc teraz na pewno pójdą do żłóbka. Niech pani idzie prosto do głównego wejścia i nie próbuje przechodzić tym zaułkiem do drzwi od tyłu. Na wszelki wypadek wyjdę przed hotel i popatrzę, jak pani będzie przechodzić przez ulicę.

- Dziękuję za dobrą radę, Bessie, ale nie musi pani tego robić. I tak ma pani dość pracy - odparła Maggie, wskazując górę brudnych naczyń; które kucharka musiała jeszcze pozmywać przed pójściem do domu. - Wejdę od frontu i na pewno nic się nie stanie.

Gdy wyszła na dwór i otoczył ją mrok, okazało się, że obawy Bessie nie miały podstaw. Nikogo w pobliżu nie było.

Właśnie wkładała klucz do zamka frontowych drzwi, gdy zza rogu budynku wyłonił się Richard Burke. Zaskoczył ją tak bardzo, że aż upuściła torebkę.

- Nie wierzyłem własnemu szczęściu, kiedy zobaczyłem cię dzisiaj wśród tych buntowników, moja Maggie - oświadczył i zbliżył się do niej o krok.

- To nie są buntownicy, a pańskie szczęście, Richardzie, nie ma już nic wspólnego ze mną - odparła. - Przecież pan mnie rzucił. Wtedy nawet nie wiedziałam, jakie miałam szczęście.

- Ja cię rzuciłem? - Pokręcił głową. - Maggie, przecież chciałem, żeby

wszystko było tak jak wcześniej. Powiedziałem ci tak, pamiętasz? Nie chcesz przyjść teraz do mnie i dać mi buzi przez wzgląd na dawne czasy? A może będzie coś więcej? Jeśli zaprosisz mnie do siebie na górę... przypomnę ci, jak umiem czarować, moja Maggie.

To uwodzicielskie zaproszenie, od którego kiedyś przebiegłyby ją ciarki, teraz wzbudziło w niej tylko odrazę.

- Pan nie czaruje, tylko mydli oczy, Richardzie. Czy Beatrice też tak łatwo oszukać, czy może doskonale wie, jakiego ma męża? I gdzie właściwie jest pani Burke? W Waszyngtonie?

Przez chwilę patrzył na nią beznamiętnie, a potem wybuchnął śmiechem.

- Beatrice? Nie ma żadnej Beatrice. To tylko widmo, które przywołuję, gdy... - Zmienił ton i znowu zaczął się przymilać. - Chcę powiedzieć, że wymyśliłem ją, kiedy bałem się, że przez ciebie pęknie mi serce.

Teraz roześmiała się Maggie, ale był to bardzo gorzki śmiech.

- Serce? Pan nie ma serca, Richardzie. I niech pan już idzie. Nie chcę mieć z panem nic wspólnego.

- Co, wciąż jesteś na mnie zła, że zniszczyłem twój romans z tym kaleką, tak? - zakpił Burke. - To nawet dobrze. Uwielbiam całować rozzłoszczoną kobietę, wtedy budzę w niej większe pożądanie...

Błyskawicznym ruchem przyciągnął ją do siebie/Stawiała opór, czuła jednak, że popycha ją coraz bardziej ku ścianie budynku.

Ogarnęła ją panika. Jedna dłoń Richarda zamknęła się na jej piersi, druga zasłoniła jej usta.

- Pamiętasz, jak to było, Maggie? - szepnął chrapliwie. Poczula zapach whisky. - Głaskałbym cię, a ty byś wzdychała...

Zrobiło jej się niedobrze, ale jakoś się opanowała. Zacisnęła dłonie w pięści i uderzyła go po uszach.

- Ty suko! - syknął i puścił ją.

Skoczyła po torebkę, leżącą na deskach pomostu. Otworzyła ją i wyciągnęła pistolet, który dostała od Garricka. Odciągnęła kurek.

- Ty przewrotny wężu - powiedziała. - Teraz chcesz zamydlić oczy nie tylko mnie, ale i swoim kompanom z wojska. Oni nie wiedzą o twojej podwójnej grze, co?

Spojrzał na nią czujnie.

- O czym ty mówisz, u diabła?

- Widziałam cię wśród bandytów tego dnia, gdy znalazłam ich obozowisko.

Byłeś bez munduru, ale poznałabym cię nawet na końcu świata. Poza tym przyjechałeś dzisiaj na tym samym gniadoszu. Wiedz, że szeryf cię złapie. A ja będę się temu z radością przyglądać.

Burke popatrzył na Maggie z nienawiścią. Ogarnęło ją uczucie triumfu, zrozumiała bowiem, że zgadła.

- Sama nie wiesz, co mówisz, Maggie - odezwał się znowu. - Zresztą nawet gdybyś miała rację, i tak nikt by ci nie uwierzył. Nikt nie wierzy dziwce. Teraz odłóż pistolet i pokaż mi, jak bardzo mnie przepraszasz - syknął.

- Jeszcze jeden krok i wyślę cię prosto do piekła - zagroziła Maggie. - Zrobię to z prawdziwą przyjemnością.

- A chciałabyś z przyjemnością zawisnąć na stryczku? - spytał prowokująco i postąpił krok w jej stronę. - Prawdę mówiąc, sądzę, że nie trafiłabyś z pistoletu nawet słonia, ale tak czy owak moi chłopcy zlinczowaliby cię jeszcze dziś wieczorem.

- Spróbuj zbliżyć się do niej jeszcze krok, Jankesie - rozległ się niski głos - a wyręcę pannę Maggie i sam cię zabiję.

Maggie poznała głos Eureka. Lufa jego strzelby dotykała pleców Richarda. Wyszczерzone w uśmiechu zęby Murzyna bieleły się w mroku.

Odetchnęła z ulgą.

Burke podniósł ręce do góry.

- Na twoim miejscu pomyślałbym dwa razy, zanim zagroziłbym bronią

oficerowi armii Stanów Zjednoczonych, czarnuchu - warknął.

- Czarnuchu? - powtórzył Eureka i cmoknął językiem.- No, no, czy tak mówi Jankes, który walczył o to, by znieść niewolnictwo? Owszem, pomyślałem dwa razy. Nawet trzy. Ale i tak najchętniej nafaszerowałbym ci łeb ołowiem za to, że niepokoisz pannę Maggie. Wynoś się stąd, gadzie. Nie chcę słyszeć o tym, że jeszcze próbowałaś ją nachodzić.

- Pożałujesz tego, że się wtrącasz - syknął Burke, wciąż trzymając ręce w górze. - Następnym razem, jak cię zobaczę...

- Spokojnie, nie zobaczysz mnie - zapewnił go bynajmniej nie przestraszony Eureka. - Ja na pewno zobaczę cię pierwszy. A teraz wynoś się!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Następnego ranka Garricka zbudził deszcz. Lało jak z cebra, co bardzo dobrze pasowało do jego nastroju. Bardzo bolała go noga, przysięgłby, że czuje każdy z palców, których przecież nie miał.

Żałował, że nie może przeleżeć całego dnia w łóżku, wpatrując się w sufit. Nie chciał, żeby ludzie z miasteczka obrzucali go współczującymi spojrzeniami, nie chciał musieć unikać ich ciekawości maskowanej troską.

Zastanawiał się, czy Maggie przespała tę noc. On przez wiele godzin przewracał się z boku na bok, zdrzemnął się dopiero nad ranem, ale wkrótce przeszkodził mu we śnie odgłos deszczu. Wstał więc, zszedł na dół i przekonał się, że Jowita z Johnnym jedzą już śniadanie.

Chłopiec podniósł głowę. Garrickowi krajało się serce na widok jego opuchniętych oczu. Poprzedniego dnia miał z Johnnym długą rozmowę, ale był przekonany, że chłopiec nadal nie rozumie, dlaczego ślub taty z panną Maggie się nie

odbędzie.

- Chyba zasnęłam - powiedział Garrick. - To pewnie znaczy, że jestem leniwy, co, Johnny? Dobrze, że zostawiliście mi trochę boczków.

Chłopiec próbował się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

- Przecież jest pan swoim własnym szefem - zwróciła mu uwagę Jowita. - Nie musi pan tak się spieszyć. Dzisiaj gazeta nie wychodzi, prawda?

- Nie, ale muszę iść do redakcji. Przygotowujemy specjalny numer.

Prawdopodobnie wrócę późnym wieczorem.

Poniewczasie przypomniał sobie, że Jowita mówiła mu, że musi pomóc synowej, ale gospodyni nie wydawała się przykro zaskoczona.

- Niech pan idzie, senior Devlin. Wezmę Johnny'ego do mojego syna.

- Dziękuję, Jowito.

Gdy wszedł do redakcji, Eureka wycinał klocek z żołnierzem siedzącym na koniu i trzymającym flagę Stanów Zjednoczonych. Miała to być ilustracja do tekstu Garricka. Maggie już złożyła nagłówek artykułu wstępnego: „Kompania wojsk federalnych przybywa złapać bandytów. Festyn przełożony”.

- Dobry tytuł, Maggie - pochwalił ją Garrick, zaniepokojony tym, że sam jej widok sprawił mu taką przyjemność. - Nie jest może taki dosadny jak ten, który wolałbym widzieć na jego miejscu, ale przynajmniej nie trafię przez niego za kraty - oświadczył kwaśno. - Może w czasie, gdy będę pracował nad artykułem wstępnym, chciałaby pani napisać dla uzupełnienia coś o ostatnich napadach?

Skinęła głową i poszła do swojego biurka w głębi pomieszczenia. Garrick bardzo chciał ją objąć albo chociaż dotknąć jej ramienia i zastanawiał się, ile czasu musi minąć, żeby jego uczucia trochę ostygły.

- Przepraszam panią - rozległ się męski głos, który wyrwał z zamyślenia Maggie, wychodzącą po obiedzie z hotelu. Patrzyła akurat na dwóch żołnierzy wypoczywających przed saloonem i zastanawiała się, czy na nią zagwiżdżą, kiedy będzie przechodziła obok nich w drodze do biura Cala. Odwróciwszy się, zobaczyła

sierzanta wojsk federalnych, z którym niechybnie by się zderzyła, gdyby dalej szła prosto.

- Och, przepraszam! Zdaje się, że nie patrzyłam, dokąd idę - powiedziała.

- Nic się nie stało, szanowna pani - odrzekł sierżant, uchylając wojskowej czapki i grzecznie odsuwając się na bok, żeby umożliwić jej przejście po drewnianym pomoście.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni żołnierze wtopili się w pejzaż Gillespie Springs. Chodzili parami po ulicach, jedli w hotelu, a pili w saloonie.

Okupacja Gillespie Springs przebiegała znacznie mniej konfliktowo, niż spodziewali się mieszkańcy miasteczka, a zwłaszcza Maggie. Wprawdzie wieczorami żołnierze żłopali whisky bez umiaru, nie doszło jednak do żadnych przykrych incydentów z cywilami. Żołnierze zachowywali się uprzejmie wobec kobiet, a swoimi względami obdarzali wyłącznie panie pracujące w żłóbku, które wydawały się bardzo zadowolone z takiego stanu rzeczy. Nie zdarzały się również bójki między żołnierzami i mieszkańcami Gillespie Springs, nawet w saloonie.

Co pewien czas żołnierze wyjeżdżali patrolować okolicę albo całą kompanią, albo grupkami po trzech, czterech. Widocznie jednak bez zbytnich sukcesów, bo nadal stacjonowali w miasteczku. W każdym razie po publicznym upokorzeniu w parku Maggie nie miała odwagi, by zaczepić któregoś z nich i poprosić o informacje dla „Gazette”. Chciała ruszyć dalej w stronę biura szeryfa, ale sierżant znowu się do niej odezwał:

- Bardzo panią przepraszam, wiem, że niepotrzebnie się wtrącam, ale chcę powiedzieć, że jest mi bardzo przykro z powodu tego, w jaki sposób nasz kapitan potraktował panią w dzień przyjazdu. Zachował się okropnie, bez względu na to, co między wami zaszło. Większość z nas tak uważa, ale...

- Ale kapitan jest kapitanem. Rozumiem, sierżancie.

- Tak, proszę pani. - Wydawał się zakłopotany, lecz zarazem zdecydowany powiedzieć wszystko do końca. - Widzę, że jest pani osobą godną szacunku, chociaż

na pewno nie żyje się tu pani łatwo po tym, co kapitan powiedział. W każdym razie, gdyby spotkała panią jeszcze jakaś przykrość z jego strony lub ze strony któregoś z naszych żołnierzy, może się pani do mnie zwrócić. - Niepokojnie miał w dłoniach czapkę. - Jestem sierżant O'Reilly, proszę pani. Brendan Aloysius O'Reilly.

Rzeczywiście wyglądał na Irlandczyka, miał czarne włosy i niebieskie oczy. Kobieta, której serce nie skłoniło się jeszcze ku nikomu, z pewnością mogłaby go pokochać. Maggie miała teraz kamień w miejscu serca, lecz mimo to była wdzięczna sierżantowi za jego uprzejmość.

- Dziękuję, sierżancie, na szczęście kapitan w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. - W każdym razie nie zwracał od tego wieczoru, gdy zaczepił ją przed redakcją „Gazette”, ale o tym odosobnionym epizodzie sierżant nie musiał wiedzieć. - Pańscy ludzie w ogóle mnie nie niepokoją, a co do kapitana, to znacznie więcej kłopotów przysporzył mojemu pracodawcy niż mnie. - I Eureka, pomyślała. Murzyn uparł się, by pozwoliła mu każdego wieczoru odprowadzać się do hotelu i z powrotem, poza tym nocował w pomieszczeniu redakcji, żeby Burke więcej nie próbował jej się narzucać. Garrickowi o tym nie powiedzieli, a Eureka zawsze znikał przed świtem, ale Maggie bardzo się martwiła, że cały swój wolny czas poświęca ochronie jej osoby.

Kapitan Burke w towarzystwie jednego żołnierza składał co tydzień wizytę w redakcji i czytał rękopisy artykułów, zanim zostały złożone i wydrukowane. Ilekroć przychodził, Maggie znajdowała pretekst, by schronić się w swoim pokoju.

Naturalnie zawsze podsłuchiwała przy dziurce od klucza. Słyszała większą część rozmów. Burke nigdy nie znalazł niczego, co mógłby zakwestionować, nie przestawał jednak prowokować Garricka. Ale on jak dotąd panował nad sobą bez zarzutu.

- Rozumiem, proszę pani - powiedział sierżant O'Reilly. - Wyjedziemy stąd prawdopodobnie zaraz po złapaniu tych bandytów. Mój kapitan nie znalazł niczego, za co mógłby zamknąć pana Devlina.

- Ale na ślad bandytów też nie wpadliście, prawda? - spytała Maggie, bo sierżant wydawał się rozmowny. Może powie jej coś, czym będzie mogła dodać Garrickowi otuchy.

- Nie, proszę pani. Przykro mi to mówić... Dziwne, ale oni jakby wiedzieli, kiedy nadjeżdżamy, bo zawsze udaje im się w porę uciec, nawet jeśli dzielimy kompanię na patrole i każdy jedzie inną drogą.

To znaczy, że Burke rzeczywiście może być związany z bandytami, pomyślała Maggie. Mimo że w Gillespie Springs stacjonowali żołnierze, napady zdarzały się nadal, tak samo jak przedtem.- Dziękuję, sierżancie. Życzę miłego dnia. I jeszcze raz dziękuję za pańską uprzejmość.

Wyjazd żołnierzy z pewnością ułatwiłby życie Garrickowi i Eurece, a także burmistrzowi Longowi, którego hotel został przez nich w całości zajęty. Ale dla Maggie oznaczałoby konieczność opuszczenia Gillespie Springs. Codziennie przeżywała mękę, gdy musiała być tak blisko Garricka, a jednak nie mogła być z nim.

Jak Burke śmiał pokazać się w kościele, to przechodziło pojęcie Garricka. Kapitan Jankesów usadowił się w ławce za nim i Johnnym i spokojnie czekał, aż wielebny Poole zacznie odprawiać nabożeństwo. Garrick bez trudu domyślił się, że Burke wybrał to miejsce specjalnie, żeby go zirytować.

Johnny odwrócił się i zmierzył kapitana nieprzychylnym spojrzeniem.

- Tato, dlaczego ten człowiek tutaj siedzi?

- Johnny, patrz w stronę ołtarza - powiedział surowo Garrick i pociągnął chłopca za rękaw. - Nie jest grzecznie gapić się na innych ludzi. - Nawet jeśli ci ludzie są równie mile widziani jak smrodliwy skunks, dokończył w myśli.

- Nie lubię go - oświadczył chłopiec. - Przez niego panna Maggie płakała.

- Bądź cicho, Johnny - polecił Garrick i zrobił minę, która miała przekonać chłopca, że nie żartuje.

Przez minutę Johnny milczał, bawiąc się guzikami świeżo wykrochmalonej koszuli.

- Tato, tęsknię za panną Maggie. Nawet już nie idzie do kościoła.

- Nie przychodzi do kościoła - machinalnie poprawił go Garrick. - Obawiam się, synu, że to nie nasza sprawa - dodał łagodnie, lecz stanowczo. I nagle poczuł zadowolenie, że Maggie nie ma w kościele, bo wprawdzie mógłby wtedy zaspokoić tęsknotę i zerknąć na nią ukradkiem, lecz przecież czułaby się bardzo niezręcznie, widząc tu tego jankeskiego kapitana.

On też czuł się niezręcznie, świadomy, że Burke słyszał jego rozmowę z synem. Nie chciał, żeby ten drań wiedział cokolwiek o nim albo o jego rodzinie. Może to było nie po chrześcijańsku, ale nienawidził Richarda Burke'a.

Gdyby dowiedział się, że Burke okazał Maggie choćby cień lekceważenia, zabiłby go. Wbrew staraniom Eureka i Maggie wiedział, że Eureka trzyma nocami wartę w redakcji, bo powiedział mu o tym Cal, który kilka razy widział Murzyna późną porą.

Przypuszczał, że Eureka ma powód do takiego zachowania. Wiedział, że nie powie mu o tym ani słowa i że prawdopodobnie Maggie prosiła go o zachowanie sekretu. Czyżby sądziła, że jej bezpieczeństwo już Garricka nie obchodzi? A może obawiała się, że gniew skierowany przeciwko kapitanowi może go skłonić do popełnienia jakiegoś głupstwa?

Garrick był bardzo wdzięczny Eurece, że chroni Maggie, nie wątpił jednak, że jakakolwiek wzmianka na ten temat bardzo by Murzyna zakłopotła. Dlatego milczał, ale oczy miał szeroko otwarte.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

- Senior Garrick! Seniorita Maggie! - Jowita wpadła jak szalona do redakcji „Gazette”. W ogóle nie zauważyła Maggie, pospiesznie wracającej z hotelu po południowym posiłku.

Za to Maggie słyszała krzyki Meksykanki już z daleka. Ogarnął ją niepokój. Jowita była zazwyczaj wzorem opanowania, musiało więc zajść coś niezwykłego.

Podciągnęła spódnice i pobiegła do budynku redakcji.

- Co się stało, Jowito? - spytała. Meksykanka stała pośrodku pomieszczenia i ciężko dyszała. Ujrzawszy Maggie, natychmiast zajrzała jej za spódnice, jakby tam czegoś lub kogoś - szukała.

- Czy Johnny jest z panią? Nie mogę go znaleźć! Zginał!

- Zginał? - powtórzyła Maggie. - Kiedy ostatnio pani go widziała?

- Nie było go z panią? Och, miałam nadzieję, że poszedł do pani tak jak kiedyś.

- Nie. Byłam na obiedzie w hotelu. Kiedy ostatnio pani go widziała? - Jowity nie należało posądzać o zaniedbanie. Maggie wiedziała, że gospodyni opiekuje się chłopcem jak kura jedynym kurczęciem. Wiedziała też jednak, że dziecku wystarczy minuta, by gdzieś się oddalić, tak jak było poprzednio.- Bawił się z kotkiem na podwórku, a ja łuskałam groch na ganku. Poszedł w stronę stodoły. Weszłam na chwilę do środka, żeby odstawić groch. Przy drzwiach zatrzymał mnie jakiś człowiek, który chciał narąbać drewna na opał, ale powiedziałam mu, że nie potrzeba. A potem, kiedy znowu wyszłam na dwór, Johnny'ego już nie było. Poszłam do stodoły, ale tam też go nie było!

- Może jest w stajni z Tobym - podsunęła Maggie, czując, że udziela jej się panika Jowity.

- Sprawdziłam. Nie ma go w stajni! Nie ma go nigdzie! Wołałam go i nie

przyszedł! Mówię pani, że zginął! *Ay de mi*, muszę powiedzieć o tym seniorowi Garrickowi! Gdzie on jest?

- Poszedł do Cala i Livy na obiad.

Jowita wybiegła na dwór, ale Maggie popędziła za nią, wołając:

- Niech pani poczeka! Jestem młodsza, szybciej biegam! Ja zawiadomię Garricka, a pani niech zacznie szukać Johnny'ego w mieście! Znajdziemy go! To mały chłopiec, nie mógł zejść daleko.

Gdy to mówiła, wiedziała, że tylko dodaje sobie otuchy. Szóstym zmysłem przeczuwała, że zniknięcie Johnny'ego Devlina miało poważniejsze przyczyny niż chęć poznawania świata.

Na szczęście Jowita uznała jej argument za przekonujący.

- Dobrze. Rozejrzę się po mieście! - krzyknęła i zaczęła się oddalać.

- Niech pani sprowadzi do pomocy Eurekę! - zawołała jeszcze Maggie przez ramię. Godzinę później całe Gillespie Springs było dokładnie przeszukane. Nawet żołnierze, nie pełniący służby, zgłosili się na ochotnika do pomocy. Nie natrafiono jednak na żaden ślad Johnny'ego.

- Gdzie jest wasz kapitan? - spytał zdenerwowany Garrick sierżanta O'Reilly. Stał przy swoim osiodłanym wałachu, gdyż przed budynkiem redakcji zbierała się grupa, która miała rozpocząć poszukiwania wokół miasteczka.

- Dzisiaj rano wyjechał, proszę pana - odrzekł sierżant O'Reilly. - Chciał sam obejrzeć jakieś miejsce, w którym już byliśmy. Podejrzewał, że bandyci mogą wracać tam, gdzie już ich szukaliśmy. Myślę, że po południu powinien wrócić.

- Niech mu pan powie o zaginięciu chłopca. Będę potrzebował pomocy kapitana - oznajmił Cal z grzbietu swojego konia.

- Tak jest - odrzekł z szacunkiem O'Reilly. - Naturalnie. Tymczasem będziemy go dalej szukać, szeryfie.

- Będę bardzo zobowiązany, sierżancie.

Garrick nagle postarzał się o wiele lat. Twarz mu poszarzała. Maggie bardzo

chciała go jakoś pokrzepić, choćby tylko dotknięciem ręki, wiedziała jednak, że nie byłoby to mile widziane. Odkąd powiedziała mu o Johnnym, wydawał się nieobecny duchem.

Dosiadł konia i zerknął na nią kątem oka.

- Maggie...

- Tak? - Podeszła do niego ze ściśniętym gardłem, zupełnie nie wiedziała bowiem, co Garrick chce powiedzieć.

- Sprawdziła pani w swoim pokoju? Może Johnny poszedł na górę, bo pani szukał.

Westchnęła.

- Oczywiście. Sprawdziłam zaraz po tym, jak pana zawiadomiłam, chociaż byłam pewna, że wychodząc do hotelu, zamknęłam drzwi. - Bardzo pilnowała zamykania drzwi pokoju, żeby uchronić się przed takimi gadami jak Burke albo Barbee, bo Garrick przez cały dzień trzymał drzwi „Gazette” otwarte.

- Garricku...

Odwrócił się do niej zniecierpliwiony. Widać było, że chce już wyruszyć.

- Znajdziemy go, zobaczy pan. Nic mu się nie stanie. - Och, żeby to tylko była prawda, modliła się.

- Miejmy nadzieję, że się pani nie myli - odrzekł. - Gdyby coś mu się stało... - Zawiesił głos i odwrócił głowę, zdążyła jednak zobaczyć łzy, które zalśniły mu w oczach.

Odwróciła się i weszła do budynku. Chciała przez kilka minut odpocząć w ciszy swojego pokoju, zanim przyłączy się do poszukiwań. Musiała się wypłakać, bo inaczej groziło jej, że dostanie ataku hysterii. Zamierzała też spędzić chwilę na modlitwie. Była gotowa obiecać Bogu wszystko, byle tylko zwrócił Johnny'ego jego ojcu.

Zanim jeszcze stanęła u szczytu schodów, łzy przesłoniły jej widok. Bała się, że będzie miała kłopot z trafieniem kluczem do zamka, jednak ku jej zdziwieniu

drzwi były uchylone. Wbrew swemu przekonaniu widocznie ich nie zamknęła. Może Johnny jest w środku! Otarła oczy wierzchem dłoni, nie chcąc, żeby dziecko przestraszyło się łez.

Ale chłopca w pokoju nie było, za to na łóżku leżała złożona kartka zaadresowana „Maggie”.

Natychmiast poznała śmiałe, zamaszyste pismo. Wyszło spod tej samej ręki co listy miłosne, które kiedyś dostawała. Listy żywiące jej namiętność, która skończyła się bezbrzeżną rozpaczą, gdy odkryła w Richardzie kłamcę.

Drżącymi palcami rozłożyła kartkę i zamrugała powiekami, żeby pozbyć się ostatnich łez.

Moja Maggie!

Mamy chłopca. Jest bezpieczny. Wypuścimy go, ale tylko pod tym warunkiem, że zamiast niego będziemy mieli ciebie. Wyjedź z miasta w stronę Austin, a my cię znajdziemy. Masz być sama i bez broni. I nie mów o tym nikomu. Jeżeli nie pojawisz się przed zapadnięciem zmroku, chłopiec umrze. Jeśli ktokolwiek z tobą przyjdzie, umrze i on, i chłopiec.

Moi kamraci niecierpliwie czekają, żeby się przekonać, czy nie przesadziłem, opowiadając o twoich niezwykłych wdziękach. Zwłaszcza Zeke Barbee. Obawiam się, że potraktowałaś go dość niemilo, więc i on może być dla ciebie niezbyt miły. Gdy przejedziemy granicę Meksyku, będziesz już tylko moja. Przyjedź niedługo, Maggie.

R.B.

Maggie wpatrywała się w słowa listu, chociaż litery rozmazywały jej się przed oczami. Miała rację. Richard Burke był w zмовie z bandytami. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nawet im przewodził. Nie rozumiała, w jaki sposób mógł wieść podwójne życie. Oficer miał dużo swobody, mógł bez przeszkód jeździć, gdzie chciał, ale żeby jednocześnie być kapitanem wojsk federalnych i przywódcą bandy!

To jednak doskonale pasowało do Richarda. Był to zwykły rabuś w przebraniu dżentelmena. Gdy odebrał jej niewinność, okazało się, że nie chce z nią mieć więcej nic wspólnego. Prawdopodobnie uwielbiał niszczyć innym życie i odbierać dobytek.

Teraz ona też nie chciała mieć z kapitanem nic wspólnego, jego jednak zupełnie to nie obchodziło. Przeciwnie, obrzydzenie, jakie w niej budził, jeszcze go podniecało i z tym większą satysfakcją zażądał, żeby przysłała do niego w zamian za uwolnienie Johnny'ego. Co więcej, zamierzał podzielić się nią z całą bandą, nie wyłączając odrażającego Zeke'a Barbee.

Zadrżała na myśl, że będzie musiała znieść te wszystkie splamione krwią, brudne ręce na swoim ciele. Boże, czy była zdolna do takiego poświęcenia? Mogła przecież podrzeć ten liścik i pozostać w Gillespie Springs, gdzie była bezpieczna.

I patrzeć, jak Garrick Devlin chodzi w żałobie po odnalezieniu martwego syna, choć wiedziałyby, że mogła mu oszczędzić tej tragedii.

Nie miała wyboru. Nie mogła pozwolić na śmierć dziecka, zwłaszcza że chodziło o syna Garricka. Machinalnie włożyła kilka przedmiotów do torebki. Szczotkę i grzebień, zmianę bielizny. Czego jeszcze potrzebuje kobieta, która ma zamieszkać w obozowisku bandytów? Długo wpatrywała się w pistolet, żywiąc nadzieję, że zdoła go zachować do czasu, aż Johnny będzie wolny. Czy wtedy powinna go skierować ku sobie, żeby uratować się przed losem gorszym od śmierci? Tak z pewnością postąpiłaby przyzwoita kobieta z Południa! Na tę myśl wykrzywiła usta w gorzkim grymasie. Do diabła z przyzwoitymi kobietami z Południa! Użyje tej broni przeciwko bandytom i zabije ich tylu, ilu tylko będzie mogła, póki jej nie rozbiorą. Miała nadzieję, że Zeke Barbee i Richard Burke umrą pierwsi. Przed wyjściem z „Gazette” przystanęła jeszcze przed kasztą z czcionkami i szybko złożyła ostatnią wiadomość dla Garricka, żeby mógł ją przeczytać po odnalezieniu Johnny'ego.

Najdroższy Garricku!

Johnny'ego porwali bandyci. Poszłam do nich, żeby go wypuścili w zamian za mnie. Nie próbuj mnie szukać. Zawsze będę cię kochać.

Maggie Harper

„Wyjedź z miasta w stronę Austin”, mówił list. To znaczyło, że musi skierować się na zachód. Nie mogła jednak jechać, skoro nie miała żadnego zwierzęcia. A wszystkie konie w Gillespie Springs, z tymi ze stajni włącznie, wzięli ludzie, którzy szukali Johnny'ego. Eureka na pewno pojechał na mule Bessie.

Maggie opuściła miasteczko pieszo.

Tak jak obiecał Burke, bandyci znaleźli ją sami. Gdy szła traktem wysadzonym drzewami, otoczyli ją z bronią gotową do strzału. Było ich trzech: Burke, Metys i Murzyn. Maggie zwróciła uwagę, że Burke zmienił niebieski wojskowy mundur na cywilne ubranie, koszulę i drelichowe spodnie. Bez munduru wyglądał dość pospolicie.

- Zaczynałem się już zastanawiać, czy przyjdiesz, moja Maggie - powiedział z szerokim uśmiechem. - Ale teraz rozumiem, dlaczego zajęło ci to tyle czasu. Nie przypuszczałem, że nie masz nawet podłej szkapy. Czy chcesz powiedzieć, że ten twój kulawy kochanek nie kupił ci jeszcze nawet klaczy? Ho, ho, widocznie jednak nie kocha cię tak bardzo, jak myślałem.

- Nie przyszłam tutaj rozmawiać o Garricku - odburknęła, obrzucając spojrzeniem Metysa i Murzyna, również siedzących na koniach. - Gdzie jest chłopiec? Jeśli choćby jeden włos mu spadł z głowy, to...

Jej wybuch nie zrobił na nikim wrażenia.

- Szczeniak jest całkiem bezpieczny, siedzi w naszej kryjówce. Poczciwy Zeke Barbee dobrze się nim opiekuje.

Myśl o tym ohydny typie zajmującym się synem Garricka była dla niej

trudna do zniesienia. Panuj nad sobą, Maggie, pomyślała.

- A co pan robi w towarzystwie Zeke'a Barbee? - spytała kpiąco. - Czy taki kompan nie jest dla człowieka pańskiego pokroju trochę poniżej aspiracji? By nie wspominać o tym, że jest też buntownikiem. - Chciała dodać coś jeszcze o tych dwóch, którzy byli z Richardem teraz, ale się bała.

Burke tylko się roześmiał.

- Stary Zeke nie jest najlepiej wychowany, przyznaję, ale ma swoje zalety. Na przykład umie wypełniać rozkazy. Ty też powinnaś poćwiczyć tę umiejętność, moja Maggie.

Zignorowała ten przytyk.

- Jak mam się przekonać, że Johnny'emu nic nie grozi? Czy go zobaczę... zanim dokonamy wymiany?

Burke zachichotał.

- Lubisz szczeniaka, co? Owszem, zobaczysz go. Tymczasem daj Indiańcowi torebkę, żeby sprawdził, co tam masz.

Serce jej zamarło. Nie będzie miała szansy użyć broni. W chwilę później Metys wydał radosny okrzyk i wyciągnął z torebki pistolet.

- Niegrzeczna Maggie - skarcił ją Burke. - Czy naprawdę sądziłaś, że uda ci się zatrzymać przy sobie broń? A teraz muszę zawiązać ci oczy. Pojedziemy do naszej kryjówki. Nawet się cieszę, że przysłałaś pieszko - dodał, po czym ściągnął z twarzy chustkę, zrobił z niej przepaskę i zasłonił nią oczy Maggie.

- Czyżby? - Bardzo zaniepokoiło ją to, że nagle przestała cokolwiek widzieć, lecz postanowiła nie okazać strachu.

- No pewnie - potwierdził. Poczula, że rozpina jej bluzkę, wsuwa dłoń za gorset i szczypie ją w sutkę.

Omam nie zwymiotowała z obrzydzenia, ale ponieważ chciał, żeby głośno zaprotestowała, zdusiła w sobie krzyk protestu.

- Mmm, już zapomniałem, jak miło cię dotykać, Maggie. Musisz mnie mocno

trzymać przez całą drogę, żebym czuł, jak ocierasz się o mnie cycuszkami. To przecież przedsionek raj, nie, chłopcy?

Usłyszała rechot dwóch pozostałych.

- Ale oni dadzą ci poznać przedsionek piekła - dodał po chwili Burke. -
Wciąż gniewają się na twojego kochanka, który postrzelił ich kumpla w nogę. Od tego postrzału chłopak umarł na gangrenę, moja Maggie, więc nie licz na ich dobry humor.

Zamknęła oczy. Miała nadzieję, że starczy jej sił, żeby znieść tę mękę.

- I nie waż się grymasić, bo wtedy dzieciak umrze. Masz, tu jest strzemień, włącz na konia.

Zadrżała, gdy Richard oparł dłonie na jej pośladkach i popchnął ją ku górze.

- Niech cię diabli wezmą - szepnęła, ale posłusznie dosiadła konia. Czowała, jak Richard siada przed nią.

- Prr... - powściągnął gniadosza, który zaczął się boczyć pod dodatkowym obciążeniem. - Obejmij mnie w pasie, Maggie - polecił, a gdy to zrobiła, związał jej rękę kawałkiem rzemienia. - No, teraz nigdzie beze mnie nie pójdziesz - zachichotał znowu i ścisnął boki konia. Zwierzę ruszyło klusem, potem przyśpieszyło do krótkiego galopu. Wkrótce po bokach rozległ się tętent dwóch pozostałych koni. Maggie, zmuszona trzymać się swojego prześladowcy, czowała, jak po twarzy płyną jej łzy bezsilnej wściekłości i rozpacz.

- Dlaczego, Richardzie? - spytała po kilku minutach jazdy.

- Co dlaczego?

- Dlaczego prowadzisz podwójne życie? Dlaczego narażasz swoją wojskową karierę, próbując jednocześnie być oficerem i bandytą?

- Ja nie próbuję. Mnie się to udaje! Myślisz, że jedyne, czego chciałem od życia, to zdobywać kolejne stopnie, aż odejdę w stan spoczynku jako pułkownik, jeśli nie generał? Nie, nie, moja Maggie, życie to coś więcej. Odkąd skończyła się wojna i nie ma już buntowników do zabijania, w wojsku zrobiło się strasznie nudno.

Kiedyś wzmianka o zabijaniu „buntowników” nie zrobiłaby na niej wrażenia, teraz jednak przyprawiła ją o dreszcz.

- Podoba ci się niszczenie i zabijanie, bo wydaje ci się to bardziej podniecające niż służba w armii Stanów Zjednoczonych?

Zachichotał.

- Można tak powiedzieć.

Jechali prawdopodobnie około godziny, ale kierunku Maggie nie umiałyby wskazać. Wreszcie Burke powściągnął konia.

- Jesteśmy na miejscu, moja Maggie. - Rozwiązał ją, a potem zsiadł z konia i bezceremonialnie ściągnął ją na ziemię, podczas gdy wciąż rozcierała nadgarstki, żeby odzyskać czucie w zdrętwiałych rękach.

- Gdzie jest Johnny? - spytała stanowczo.

- Przyrowadź chłopaka, Barbee - polecił Burke, manipulując przy jej przepasce.

Zanim jednak rozluźnił węzeł, usłyszała krzyk Johnny'ego:

- Panna Maggie, panna Maggie! - Chłopiec objął ją za nogi. Zaraz potem zdjęto jej opaskę z oczu i mogła ukłęknać, by wziąć w ramiona zapłakanego Johnny'ego.

Mocno go uściskała, przyglądziła mu włosy i w milczeniu podziękowała Bogu, że choć dziecko jest wystraszone, nic mu się, jak dotąd, nie stało. Rozejrzała się dookoła. „Kryjówkę” stanowiła jama wykopana w stoku wzgórza. Prowadziła do niej wąska ścieżka, po obu stronach której znajdowała się stromizna. Bandyci dobrze wybrali to miejsce. Gdy jeden trzymał wartę na wzgórzu, trudno było niepostrzeżenie wślizgnąć się do ich kryjówki. Poza tym nie mogło tam podjechać jednocześnie nawet dwóch jeźdźców.

- Wspaniałe miejsce - powiedziała z ironią, starając się naśladować teksański akcent, który tyle razy słyszała u Garricka.

- Nie jest może szczytem marzeń, ale tymczasem stanowi nasz dom - odparł

Burke. - Często się przemieszczamy, czego na pewno się domyśliłaś. Za to w Meksyku mamy pałac, moja Maggie.

Powstrzymała się od komentarza.

- Czy to nie uroczy obrazek? - zapytał Zeke Barbee, stając za plecami chłopca. - Prawie tak samo uroczy jak widok poczciwego Garricka Devlina nadjeżdżającego tutaj na spotkanie śmierci.

Maggie odwróciła się gwałtownie i spojrzała w twarz Richarda Burke.

- Powiedział pan...

- Powiedziałem, że Johnny'emu nic się nie stanie i dotrzymam słowa. Zostawię szczeniaka na skraju miasta, kiedy już będziemy bezpieczni. Sam dojdzie do domów, a szeryf i jego kobieta na pewno się nim zaopiekują, przecież jest ich krewnym. Ale jeśli chodzi o twojego kuternogę, to niczego nie obiecywałem, prawda? Ostatnio dużo się nad tym zastanawiałem i coraz mniej mi się podobało, że wciąż będziesz rozmyślać o jakimś typie, który zostanie w Teksasie. Doszedłem do wniosku, że szybciej o nim zapomnisz, jeśli znajdzie się na tamtym świecie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

- Jeśli znajdzie się na tamtym świecie... - powtórzyła drętwo Maggie. - Sądzi pan, że Garrick tu przyjedzie? Przecież szuka Johnny'ego razem z innymi.

- Poszukujący was ludzie w końcu wrócą do miasta i wtedy Garrick natrafi na list.

- Jak pan zostawił te listy? Sierżant wspomniał, że rano wyjechał pan z miasta. A ja przysięgłabym, że zamknęłam drzwi pokoju na klucz.

- Zamknęłaś. Ale nie ma takiego zamka, z którym nie poradziłby sobie nasz Indianiec - odrzekł Burke, wskazując Metysa. - Nie na darmo jest półkrwi

Komanczem. Potrafi w biały dzień wślizgnąć się wszędzie jak duch. Nie było mu trudno podrzucić listy, kiedy ty, ta meksykańska gospodyni i cała reszta biegała jak kurczaki z poobcinanymi łbami.

Maggie zobaczyła, że Metys uśmiecha się od ucha do ucha, i poczuła, że ma ochotę uderzyć go pięścią w tę rozradowaną twarz. Wyobraziła sobie, jak Garrick wraca do domu przygnębiony niepowodzeniem, z bolącą nogą, i znajduje list.

- Myślicie, że tak sprytnie wybraliście miejsce na kryjówkę, a ja wam mówię, że ludzie, którzy szukają chłopca, znajdą nas, zanim wrócą do miasta - powiedziała prowokująco i mocniej przytuliła Johnny'ego. Chłopiec zaczął płakać. Może nie zrozumiał wszystkiego z groźby kapitana, ale na pewno dosyć, żeby się bać.

Burke parsknął śmiechem, a pozostali mu zawtórowali.

- Nieprawdopodobne, miła pani - odparł Murzyn. - Jeśli do tej pory nas nie znaleźli, to i teraz nie znajdą.

- W razie czego jesteśmy gotowi na ich przyjęcie - dodał Metys, znacząco potrząsając strzelbą.

- Ale nie znajdą nas - podsumował Barbee. - Za to mój stary przyjaciel Garrick zjawi się tu bardzo szybko, niech tylko przeczyta wskazówki, jak się do nas dostać. Będzie się łudził, że zabierze syna do domu.

- A co tymczasem? - Musiała to wiedzieć. Boże, nie pozwól, żeby rzucili się na mnie w obecności chłopca, modliła się.

- Poczekamy.

- Wiem, jak możemy zabić czas - stwierdził Barbee, oblizując wargi i mierząc Maggie chciwym spojrzeniem.

- Nic z tego dopóki Devlin nie padnie trupem i nie znajdziemy się wiele kilometrów stąd - uciął Burke. - Nie chcesz chyba, żeby złapali cię z opuszczonymi spodniami, Barbee - dodał z paskudnym uśmiechem. - Musimy zachować czujność, żeby wszystko poszło po naszej myśli.

Barbee zmrużył swoje świńskie oczka.

- Dobra, dobra, ale ja będę ją miał pierwszy. Burke zacisnął usta.
- Będziemy losować. A tymczasem pilnuj, żebyś miał zapięte spodnie.

Zmierzchało, gdy poszukujący wrócili z pustymi rękami do Gillespie Springs wbrew stanowczym sprzeciwom Garricka Devlina. Chciał szukać chłopca nawet całą noc, w coraz większej odległości od miasteczka, gdyby okazało się to konieczne.

- Większość z nas chętnie wyjedzie drugi raz. Jest pełnia, co nam ułatwi zadanie. Może chłopiec tymczasem się znalazł - argumentował Cal. - Na pewno chce jak najszybciej zobaczyć tatę.

- Nie znalazł się - obstawał przy swoim Garrick i grzmotnął się pięścią w tors.
- Czułbym to tutaj, gdyby się znalazł. Na pewno nie.

- Zgoda. Jeśli się nie znalazł, wrócimy. Prawda, ludzie?

- Większość mężczyzn potwierdziła zapewnienie szeryfa skinieniem głowy. - Nie możemy ciągnąć poszukiwań, jeśli nie napoimy koni i nie damy im odpocząć. Jedźcie, ludzie, do domów na kolację. Zajmijcie się końmi. Jeśli chłopak wróci albo będę was potrzebował wcześniej, niż się Umówimy, każę uderzyć w dzwon. A jeśli nie, to spotkamy się tutaj o wpół do dziesiątej.

Garrick pomyślał, że najpierw powinien zajrzeć do redakcji. Był absolutnie pewien, że Johnny się nie znalazł, musiał jednak zobaczyć Maggie. Chciał przytulić głowę do jej ciepłych piersi i wypłakać swój niepokój.

Wiedział już, że był głupcem. Że nie ma znaczenia nic oprócz miłości, jego miłości do Johnny'ego i Maggie. Wszystko, co powiedział, wszystko, co Maggie zrobiła, jest bez znaczenia. Gdyby tylko Bóg dał mu jeszcze jedną szansę i zwrócił dziecko oraz ukochaną kobietę...

Wolno przejechał koło redakcji, ale nie zauważył, żeby ktoś stał w drzwiach i czekał na niego, więc nie zatrzymał konia. Postanowił najpierw powiedzieć Jowicie, że chłopiec się nie znalazł, usłyszeć od niej to samo i dopiero potem poszukać Maggie.

Jowita czekała na niego na progu i ledwie mogła ustać, tak się niecierpliwiła.

Na jej twarzy malowała się panika.

- Senior Devlin, porywacze, ci bandyci, zostawili wiadomość! - krzyknęła. Z podniecenia miała znacznie silniejszy meksykański akcent niż zwykle i Garrick musiał dobrze się wsłuchać, żeby ją zrozumieć. Zamachała mu przed oczami kawałkiem papieru.

- Porywacze? O czym ty mówisz, kobieto? - Garrick wyszarpnął jej kartkę z ręki, jeszcze zanim zsiadł z konia.

- Porwali pańskiego syna! Uprawdzili! I pannę Maggie też!

- To niemożliwe, przynajmniej jeśli chodzi o Maggie! Kiedy stąd wyjeżdżaliśmy, była w redakcji - powiedział, czując, że oblewa go zimny pot.

- Ale teraz jej nie ma. Sprawdziłam! Panna Maggie też zginęła! - upierała się Jowita.

Znaczenie tych słów dotarło do niego w pełni, gdy rozłożył kartkę. Przez chwilę litery tańczyły mu przed oczami i nie chciały się ułożyć. Ogarnęła go trwoga, gdy wyobraził sobie syna i ukochaną kobietę w rękach bandytów.

Niestety, list potwierdził słowa Jowity.

Mamy twojego chłopaka i twoją kobietą. Po odebraniu tego listu wyjedź z miasta na północ. Weź latarnią, gdyby było już ciemno. Znajdziemy cię. Miej przy sobie tysiąc dolarów. Bądź sam, bo jeśli nie, to nigdy więcej nie zobaczysz ich żywych.

- Skąd wiesz, co tu napisano, Jowito? Myślałem, że nie umiesz czytać i pisać.

- Przyniosła ten list do mnie - odezwał się drugi głos kobiecy. Garrick podniósł głowę i ujrzał Oliwię opartą o framugę. - Ja jej przeczytałam. Och, Garricku, co teraz zrobimy?

- Jak mogą mieć Maggie? - zastanawiał się głośno. - Niemożliwe, do diabła! - Musiał natychmiast się przekonać, że Maggie jest w redakcji cała i zdrowa, zawrócił

więc konia i galopem ruszył z powrotem.

Gdy jednak wbiegł do redakcji i zawołał ją po imieniu, okazało się, że rzeczywiście jej nie ma. Po chwili przyszła Livy, do której po drodze przyłączył się Cal. Zanim Garrick wrócił na dół z pustego pokoju Maggie, oboje czekali na niego u podnóża schodów. Stał tam również Eureka z bardzo zatroskaną twarzą.

- Livy powiedziała mi o liście - odezwał się Cal, zanim Garrick zdążył cokolwiek wyjaśnić. - Mamy w banku pięćset dolarów, możesz je wziąć. Czy masz jakieś pieniądze, bracie?

- Tylko pięćdziesiąt dolarów - odparł Garrick i zaśmiał się gorzko. - Rozruch gazety jest kosztowny. To daje w sumie pięćset pięćdziesiąt. Skąd mam wziąć resztę, zanim tamci znudzą się czekaniem i zabiją mojego syna i Maggie?

- Będziesz miał pieniądze, choćbym sam miał obrabować bank - oświadczył stanowczo Cal i wyszedł na dwór.

Eureka przechadzał się po redakcji, spoglądając to tu, to tam, jakby spodziewał się znaleźć Maggie pod jakąś ryzą papieru. Mocno rozstrojonemu Garrickowi działało to na nerwy. Właśnie miał powiedzieć Eurece, żeby przestał tak chodzić albo się wynosił, gdy Murzyn znieruchomiał przy stole obok maszyny drukarskiej i wbił w coś wzrok.

- Panie Devlin, powinien pan to przeczytać - powiedział, podnosząc ciężką szufelkę z czcionkami.

- Później, Eureka - odparł, bo pomyślał, że Maggie zabijała czas oczekiwania na powrót poszukiwaczy składaniem jakiegoś tekstu do gazety. Czyżby porywacze byli na tyle zuchwali, że wpadli do siedziby „Gazette” i zmusili Maggie do pójścia z nimi? - Artykuły mogą poczekać.

- Trudno jest czytać jak w lustrze, ale to chyba nie jest artykuł - powiedział Eureka, wskazując złożony tekst. - Wydrukuję to panu. To potrwa dosłownie chwilę.

Na dworze zadźwięczał dzwon. Garrick patrzył bez szczególnego zainteresowania, jak Murzyn wyciera płytę dociskową, usztywnia skład i wtacza go

pod płytę. Odszedł do okna, by przyrzeć się tłumowi, gromadzącemu się przed kościołem.

- Panie Devlin, niech pan spojrzy! - zawołał Eureka. - Miałem rację! To list do pana od panny Maggie! - Podał kartkę Garrickowi, który stanął z nią przy drzwiach, gdzie mógł wykorzystać do czytania resztki dziennego światła.

- Jej nie porwano. Poszła do nich sama - stwierdził tępo Garrick. - Napisała, że w zamian za nią uwolnią Johnny'ego. Wielki Boże, ona uwierzyła, że jeśli tam pójdzie, to ci dranie puszcza chłopca! Nie wiedziała, że mnie też zostawili list! Była tutaj całkiem bezpieczna i poszła do nich z własnej woli, bo chciała ratować chłopca!

- Poczuję, że uginają się pod nim nogi, nawet ta drewniana! Bezwładnie opadł na krzesło, przytrzymując się oparcia.

- Panie Devlin, pojedę z panem - oświadczył Eureka. - Wybijemy tych bandytów co do jednego!

- Nie możesz - odparł zrozpaczony Garrick. - Zabiją Maggie i Johnny'ego, jeśli nie pojedę sam.

- Nie możesz jechać sam! - powiedziała stanowczo Livy. Zaskoczyła go, zupełnie zapomniał o jej obecności.

Właśnie miał ponownie przeczytać list, gdy do redakcji wpadł Cal.

- Mamy pieniądze - oznajmił, pokazując pękaty woreczek z grubego płótna.

- Co? - Słowa brata wydały się Garrickowi całkiem pozbawione sensu.

- Całe tysiąc dolarów - wyjaśnił Cal. - Na moje żądanie dyrektor otworzył bank. Powiedziałem, w czym rzecz, wszystkim, którzy się zeszli. No i ludzie wybrali z rachunków tyle, ile tylko mogli.

- Ludzie? Niech ich Bóg błogosławi. - Po tym, co Burke publicznie powiedział o Maggie, był to prawie cud. Widocznie zrobili to dla dobra jego niewinnego dziecka.

Cal jakby czytał w myślach Garricka, bo powiedział:

- Po tym zdarzeniu z kapitanem ludzie znacznie bardziej współczują Maggie,

niz ci się zdaje. Nie podoba im się, że jakiś Jankes przyjeżdża nie wiadomo skąd do miasta i chce skompromitować uczciwą kobietę. Nawet niektórzy żołnierze przyszli, i wyłożyli własne pieniądze.

Garrick nie wierzył własnym uszom.

- A co na to ich przeklęty kapitan?

- Nie ma go. Od rana nie dał znaku życia. Sierżant O'Reilly jest zdania, że zdezerterował.

- A więc Maggie miała rację.

- W czym?

- Kapitan pojechał do bandytów. Jest jednym z nich. Maggie powiedziała, że wtedy w obozowisku widziała człowieka bardzo do niego podobnego. A ja... ja jej nie uwierzyłem, Cal. Powiedziała mi o tym w dniu, w którym Burke ją znieważył, i myślałem, że chce odwrócić moją uwagę od jego zarzutów. Dlatego nie powtórzyłem ci tego. Boże, ale jestem głupcem!

To Burke musiał być autorem listu znalezionego przez Jowitę. Napisał go człowiek mający pewne wykształcenie, na pewno nie Metys, nie wyzwolony niewolnik i nie taki tuman jak Barbee. Dlaczego jej nie uwierzyłem? - wyrzucał sobie Garrick. Mogłem obserwować tego podstępnego drania...

- Nie miej do siebie pretensji. I tak brakowałyby dowodów. Kto by pomyślał, że ten drań porwie dziecko, a potem Maggie? Ważne jest, żebyśmy ich z tego wyciągnęli.

- Nie my, bracie, tylko ja. W liście jest napisane, że mam przyjechać sam, bo inaczej Johnny i Maggie umrą. Dam bandytom pieniądze, a potem wyjadę stąd z Johnnym i Maggie. A ty powiesz tym dobrym ludziom z Gillespie Springs, że zwrócimy im wszystko do ostatniego centa. Jeszcze nie wiem jak, ale...

- Do diabła z pieniędzmi! - krzyknął Cal, zaskakując tym wszystkich, bo jako były kaznodzieja przeklinał bardzo rzadko. - Nie rozumiesz, że to pułapka? Oni cię zabiją! Nie mogą puścić cię wolno, jeśli będziesz wiedział, jak wyglądają, zwłaszcza

teraz, gdy znasz jednego z imienia i nazwiska.

- Dwóch - mruknął Garrick i przypomniał Calowi o Zeke'u Barbee.

- Niech będzie dwóch. Oni zatrzymają i pieniądze, i Maggie, a kto wie, co zrobią z Johnnym?

Garricka ogarnęło przerażenie na myśl, że mogą zabić jego syna tylko dlatego, że będzie im przeszkadzał.

- Muszę spotkać się z nimi sam! - upierał się. - Jeśli zobaczą jeszcze kogoś, to ich zabiją. Nie jedź za mną, Cal, i nie pozwól na to nikomu innemu. Jeśli oni zginą, Cal podniósł ręce na znak, że ustępuje.

- Dobrze, już dobrze. Nie pojedę za tobą. Nie pojedziemy. Ale uważam, że powinieneś poczekać do rana.

Garrick spojrzał na brata takim wzrokiem, jakby Cal zaczął nagle mówić po grecku.

- Oszalałeś? Mam zostawić w ich rękach Maggie i mojego syna przez całą noc? Czy wiesz, co oni mogą zrobić z Maggie?

Cal wbił wzrok w czubki swoich butów, a potem znowu spojrzał na brata.

- Jeśli weźmiesz latarnię, tak jak ci kazali, wystawisz się na cel. Będzie im dziecinnie łatwo cię zaskoczyć.

- Muszę zaryzykować - odparł Garrick. - Nie zostawię Johnny'ego i Maggie bez pomocy ani chwili dłużej niż to konieczne. Zaraz wyruszam w drogę i niech nikt nie próbuje za mną jechać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

- Skoro upierasz się jak muł, to pewnie cię nie powstrzymam - powiedział Cal. - Ale powinieneś pojechać uzbrojony po zęby.

Garrick wzruszył ramionami.

- Każą mi oddać broń.

- Oddasz im to, co znajdują. Resztę będziesz miał schowaną. Livy, Eureka, możecie iść do domów... - Objął żonę i odprowadził ją do drzwi. Eureka ruszył za nimi.

Garrick patrzył przez okno, jak Cal całuje żonę w policzek, a potem mówi kilka słów Eureka. Murzyn zdawał się słuchać go w skupieniu, wreszcie skinął głową i odszedł śladem Livy.

- Co wy knujecie z Eureka? - spytał podejrzliwie Garrick, gdy brat wrócił.

- Och, nic. Prosiłem go, żeby odprowadził Livy do domu - odparł Cal. - W każdym razie powinieneś tam jechać uzbrojony po zęby, tak jak mówiłem.

Garrick dał się przekonać, więc poszli do biura szeryfa. Cal skinął w stronę stojaka przy ścianie.

- Weź tego winchestera i mały pistolet do buta - podał mu derringera - i nóż do drugiego buta. A tu masz parę pistoletów na pasie. Jeden możesz trzymać w pochwie, drugi zatknij za pas. Garrick pomyślał, że Cal dziwnie łatwo ustąpił.

- W porządku, jestem gotowy do wyjazdu - oświadczył, gdy miał już przy sobie tyle broni, że więcej by się nie zmieściło, i wziął również latarnię.

- Nie, jeszcze nie. Najpierw wstąpisz do domu zmienić koszulę.

- Po co? - spytał Garrick zirytowany myślą o niepotrzebnej zwłóce. Johnny i Maggie byli w niebezpieczeństwie, a jego brat nudził go o koszulę!

- W tej koszuli widać cię na dziesięć kilometrów - odrzekł Cal. - Przecież masz w domu coś ciemnego, prawda? Wystarczy ci parę minut, żeby się przebrać.

Choćby po to, żeby ustąpić bratu.

Słyszał w głosie Cala szczere zatroskanie. Garrick zrezygnował, ponieważ łatwiej było szybko zmienić koszulę, niż stać i sprzeczać się z Calem.

- Niech ci będzie.

Na północ jechał mniej więcej godzinę. Chmury, które pokrywały niebo, gdy opuszczał miasto, gęstniały z każdą chwilą i zasłaniały tarczę księżyca. Garrick był zadowolony, że kazano mu wziąć latarnię. Z pewnością nie mógłby pomóc Maggie i Johnny'emu, gdyby Toby złamał nogę.

Raz czy dwa zdawało mu się, że słyszy w pobliżu dziwny odgłos, stuk kamienia, trzask łamanej gałęzi, toteż spodziewał się lada chwila zobaczyć bandytów. Gdy jednak powściągał wodze Toby'ego, zapadała absolutna cisza. Pewnie spłoszyło się jakieś zwierzę, ty głupcze, myślał wtedy.

Wreszcie z mroku dobiegł go głos:

- Jedź dalej tą drogą, mister.

- Gdzie jesteś, człowieku? - Garrick próbował przeniknąć wzrokiem ciemność, ale bez powodzenia. Mężczyzna musiał kryć się w krzakach przy drodze.

- Nie musisz mnie widzieć, mister - odparł tamten. - Po prostu jedź tak, jak cię prowadzę. Jesteś na dobrej drodze.

Po kilku minutach głos kazał mu skrócić w lewo. Początkowo Garrick nie widział przerwy między drzewami, wreszcie jednak dostrzegł wśród sosen ścieżkę, niewiele szerszą niż szlak jeleni. Ścieżka prowadziła łagodnie w dół. Wkrótce z pomocą latarni Garrick zobaczył po obu jej stronach wysokie, pokryte liśćmi zbocza. Świetne miejsce na zasadzkę, pomyślał.

Głos odezwał się znowu.

- Jestem za twoimi plecami, mister. Jedź dalej, ale nie próbuj żadnych sztuczek. Mam cię na muszce.

- Słyszę ich - mruknął Barbee i zbudził Maggie. Natychmiast się ocknęła, zdziwiona, że w ogóle zdołała zasnąć w tak niewygodnej pozycji. Była przywiązana

do drzewa, a na kolanach miała Johnny'ego. Jak mogła zapaść w sen, wiedząc, że Garrick ma zginąć natychmiast po przyjeździe? Próbowwała wypluć knebel, żeby móc ostrzec go krzykiem, gdy tylko zjawi się w polu widzenia.

Tak, teraz i ona słyszała już daleki odgłos końskich kopyt.

Barbee zasypał ziemią niewielkie ognisko i obóz pogrążył się w mroku, rozjaśnionym tylko srebrzystą poświatą.

Z góry rozległ się głos Metysa:

- Są. Devlin jedzie prosto na nas.

- Jak jagnię na rzeź - zachichotał Richard Burke. Wystąpił naprzód i stanął w smudze światła, która sączyła się z luki między chmurami. Jego gniadosz zarżał, wyczuwając obcego konia.

Maggie ujrzała Garricka. Światło latarni padało na jego pobladłą twarz i wykrzywiało rysy. W swoim ciemnym stroju mógłby być jeźdźcem Apokalipsy.

- Witaj w naszej kryjówce, Devlin. Dziękuję bardzo, że przyjąłeś moje zaproszenie - odezwał się ironicznym tonem Burke. - Może zsiądziesz z konia.

Maggie ujrzała w rękach kapitana dwa pistolety wymierzone prosto w Garricka. Na jej kolanach Johnny westchnął przez sen, nieświadom obecności ojca. Boże, żeby tylko nie zobaczył, jak jego ojciec ginie, próbując nas ratować, pomyślała.

- Cała przyjemność po mojej stronie - wycedził Garrick, zsiadł z konia i odpiął laskę od siodła. - Tu macie pieniądze - powiedział, kładąc woreczek u swoich stóp, lecz wciąż trzymając latarnię zapaloną. - Gdzie jest Maggie i mój syn?

- Tam, pod drzewem - odparł Barbee, który wstał i podszedł do Garricka. - Czekają na ciebie. Ale najpierw musimy zabrać ci broń. Odstaw latarnię i podnieś ręce do góry. Nie próbuj sztuczek, nie tylko Burke ma cię na muszce. Indianiec czai się gdzieś wyżej... - zarechotał.

Maggie zobaczyła, jak Garrick wolno obraca głowę, próbując dostrzec coś w mroku. Wiedziała, że zauważył ją i Johnny'ego, bo nieznacznie skinął głową. Była jednak pewna, że nie widzi Metysa.

Garrick zmarszczył czoło, ale posłusznie wykonał polecenie. Odstawił latarnię i podniósł ręce do góry. Barbee wyjął mu kolta z pochwy na biodrze. Potem obmacał go i wyjął jeszcze drugi pistolet zza pasa, komentując to karcącym cmoknięciem. Garrick miał nieruchomą twarz, jakby utrata broni nic dla niego nie znaczyła.

- Teraz pozwólcie mi ich zobaczyć - powiedział beznamiętnie, ignorując Barbee i zwracając się wprost do kapitana.

- Może nawet ci pozwolimy - odparł Burke.

Gdzieś w górze rozległ się szelest i zduszony krzyk, potem zapadła cisza.

- Co to było? - spytał zaniepokojony Burke, przypadł do ziemi i skierował broń w stronę, z której rozległ się hałas. - Indianiec, jesteś tam?

Cisza.

- Hej, Indianiec, odpowiedz! - zawołał Burke. Barbee wyraźnie się zdenerwował.

- Ej, chłopcy, jesteście drażliwi jak koty na patelni - zakpił Murzyn. - Pewnie sowa złapała jakiegoś gryzonia i to wszystko. A Indianiec nie chce zdradzić swojej pozycji.

Burke zastanowił się.

- Chyba masz rację - mruknął. Skinął w stronę drzewa, do którego byli przywiązani Maggie z Johnnym. - Możesz tam podejść, Devlin. Zobacz swojego szczeniaka i swoją dziwkę.

Maggie zamarła, widząc, że Garrick cały drętwieje. Jednak spokojnie wziął latarnię i ruszył naprzód, jak zwykle pociągając nogą. Widok tego znajomego chodu ucieszył Maggie jak najczulsza pieśczoła. Garrick podszedł do niej i natychmiast wyciągnął jej szmatę z ust.

- Czy nic ci nie jest, kochanie? - szepnął chrapliwie i uważnie jej się przyjrzał, zanim przeniósł wzrok na śpiącego syna.

Pokręciła głową.

- Jeszcze... jeszcze nic mi nie zrobili - odszepnęła. - Pozwolili mi zajmować

się Johnnym. Ale chcą cię zabić! - Musiała go ostrzec, nawet gdyby mieli ją za to zastrzelić. Nie wydawał się zaskoczony.

- Cał też tak uważał... Mimo wszystko spróbuję nas jakoś stąd wydostać, kochanie. Jeśli mi się uda, weźmiemy ślub, naturalnie pod warunkiem, że mnie zechcesz. Bez względu na to, co się stanie, kocham cię, i to się nigdy nie zmieni. - Łzy zabłysły jej w oczach, a Garrick schylił się i szybko ją pocałował. Potem pocałował również śpiącego syna.

- Ja też cię kocham...

Burke wyraźnie miał dość tej sceny.

- Wystarczy!

Nagle za jego plecami, po lewej stronie Garricka i Zeke'a coś się sturlało ze stoku. Coś ciężkiego i długiego, co uderzyło o ziemię z głuchym łomotem. Ciało!

Barbee podbiegł w tamto miejsce.

- Jezu, to Indianiec! Ma nóż w plecach. Ktoś tam musi być.

Teraz wszystko zaczęło się dziać jednocześnie. Garrick zamachnął się laską i stłukł latarnię. Kiedy Barbee, zdezorientowany nagłą ciemnością, zaczął się rozglądać, Garrick wyrwał mu pistolet z pochwy przy biodrze.

- Barbee, ośle, zabrał ci twój pistolet! - krzyknął z ciemności Burke.

Murzyn, stojący przy kaniach, strzelił, ale chybił. Hałas obudził Johnny'ego, który wybuchnął płaczem. Nagle zobaczył ojca i zaczął krzyczeć:

- Tata, tata! - Próbował się oswobodzić, na szczęście liny, którymi Maggie była przywiązana do drzewa, trzymały go na jej kolanach. Murzyn strzelił ponownie i Garrick ciężko upadł. Żył, ale Maggie nie wiedziała, czy nie został trafiony. Zanim zdążyła do niego krzyknąć, padł jeszcze jeden strzał, tym razem z góry, i Murzyn bezwładnie osunął się na ziemię.

Burke odwrócił się i strzelił na oślep w górę, ale nie było potem ani krzyku, ani łoskotu padającego ciała.

W tym momencie księżyc wyszedł zza chmur. Na szczęście Garrick zdążył

wcześniej wpełznąć w cień pod drzewem i jak żywa tarcza uklęknął przed Maggie i synem. Barbee zwrócił się ku niemu, mierząc z pistoletu, który mu odebrał. Jednak w odróżnieniu od Garricka stał w plamie światła.

Huknął strzał, który prawie ogłuszył Maggie. To Garrick pierwszą kulą trafił swojego dawnego kompana. Ale zanim zdążył skierować broń przeciwko kapitanowi, rozległ się następny strzał ze stoku. Burke, trafiony w przegub dłoni, zawył z bólu i upuścił pistolet na ziemię.

- Rzuć drugi pistolet, Burke, i podnieś ręce do góry, bo inaczej zginiesz na miejscu! - zakomenderował znajomy głos. To był Cal.

Maggie wstrzymała dech.

Burke spojrział w stronę, z której dobiegł go głos. Wyraźnie rozważał swoje szanse, ale po chwili rzucił broń.

- Garrick, gdzie cię trafili? - spytała niespokojnie Maggie.

- W nogę.

Serce jej zamarło. Czyżby Garrick miał stracić drugą nogę? Musiał dostrzec jej rozpacz.

- Nie, Maggie, nie w zdrową nogę, w tę przeklętą drewnianą! - Zaczął się śmiać. - Rzuciło mną, jakby kopnął mnie muł, ale kula trafiła w drewno. W tym momencie pomiędzy nimi stanął Cal, który ześlizgnął się z trawiastego stoku. Za nim pojawił się drugi człowiek... Eureka! Cal skinął na niego i Murzyn zebrał z ziemi pistolety, a potem skuł kapitana kajdankami.

- Richardzie Burke, jest pan aresztowany - oznajmił Cal.

- Powinien stanąć pan przed sądem, ale jeden fałszywy ruch i zastrzelę pana na miejscu.

Burke w milczeniu zwiesił głowę. Zdawało się, że zuchwalstwo całkiem go opuściło.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Garrick, który przeciął więzy Maggie nożem wyciągniętym z buta, czule ścisnął na przemian syna i narzeczoną. Wreszcie głosem

drżącym ze wzruszenia powiedział:

- Bracie, cieszę się, że cię widzę, chociaż kazałem ci zostać w mieście.

- Tato, wujek Cal ma całą buzię brudną! - zawołał Johnny.

- Wymazałem ją sadzą - wyjaśnił Cal. - Nie mogłem pozwolić, żeby ktoś mnie zauważył. Eureka obwiązał koniom kopyta szmatami, a do tego jechaliśmy na oklep, żeby było ciszej. Ale ledwie nadażyliśmy za Garrickiem, chociaż Eureka i Livi zaczęli przygotowywać konie natychmiast po powrocie z „Gazette”. - Widać było, że jest dumny i z siebie, i z Eureka.

- Po drodze nawet mi się zdawało, że słyszę coś z tyłu - przyznał Garrick. - Który z was zabił Metysa?

Eureka podniósł rękę.

- Jestem panu bardzo zobowiązany - powiedział Garrick spokojnie, ale Maggie, która odsunęła głowę od jego torsu, łatwo wyczytała z jego oczu, ile wdzięczności kryje się w tych słowach. Eureka wyprostował się, sprawdzwszy najpierw, co stało się z pozostałymi bandytami.

- Reszta nie żyje, szeryfie - powiedział. - Wygląda na to, że sam pójdziesz na szubienicę, Burke.

Burke zdawał się go nie słyszeć, nie poruszył się bowiem i nie powiedział ani słowa.

- Nic się pani nie stało, Maggie? I chłopcu też nie? - dopytywał się Cal.

Zapewniła go, że wszystko jest w porządku, i wtedy szeryf zainteresował się bratem.

- Eureka będzie musiał trochę popracować nad moją nogą, ale poza tym mnie też nic się nie stało - powiedział Garrick i podwinął nogawkę, żeby brat mógł zobaczyć szkody, wyrządzone przez kulę jego „łydce”.

- Wszystko naprawię, panie Devlin! - obiecał Eureka.

- Dobrze. Przywiążmy tego drania do końskiego grzbietu i wracajmy do miasta - zaproponował Cal.

Niedługo potem wrócili szlakiem pod górę na główną drogę do Gillespie Springs. Cal i Eureka jechali po obu stronach skutego kajdankami kapitana. Cal trzymał wodze gniadosza.

Za nimi jechali Maggie na Tobym i Garrick z Johnnym na jednym z koni bandytów.

Wkrótce ciemność, kołyszący ruch i zmęczenie zmorzyły Johnny'ego i chłopiec znowu zasnął. Chmury się przerzedziły, przy księżycu Maggie i Garrickowi było łatwiej wymieniać spojrzenia.

- Nadal podtrzymuję to, co powiedziałem wcześniej - oświadczył Garrick. - Kocham cię i zawsze będę kochał. Byłem głupcem. To, że Cecylia...Maggie wyciągnęła ramię i dotknęła palcem jego warg.

- Nie mów o tym. Rozumiem, co czułeś. Omal nie umarłam, kiedy on powiedział, że cię...

Garrick pokręcił głową.

- A ty nie mów o tym. Zresztą wolałbym zginąć, niż cię stracić. Nie ma znaczenia, co powiedział. To już skończone. Ja zresztą i tak za dzień lub dwa odzyskałbym rozum. Już do końca życia będę wierzył w każde twoje słowo, Maggie. Nawet jeśli powiesz mi, że koty fruwiają. Nie będę miał do ciebie pretensji, jeśli okaże się, że nie chcesz mnie więcej widzieć.

- Pst. Dość już tego. Kocham ciebie i tego chłopca, którego trzymasz. Zastanówmy się... Gdybyśmy jutro wysłali telegram do mojego ojca, to za parę dni mógłby przyjechać do Gillespie Springs. A jeśli Livy pożyczy mi ślubną suknię, będziemy mogli się pobrać znacznie wcześniej, niż planowaliśmy.

- Teraz pomyślałaś po mojemu, moja wścibska Jankesko - powiedział Garrick, powściągając konia. Maggie zrobiła to samo i oboje ostrożnie, żeby nie zbudzić Johnny'ego, pochylili się ku sobie, by przypieczętować podjętą decyzję czułym pocałunkiem w świetle księżyca.

Johnny Devlin uśmiechnął się przez sen.